

# SARAH DESSEN

kolysanka



**Czerwiec.**

**Rozdział pierwszy.**

Piosenka nosi tytuł *Kołysanka*. Słyszałam ją z milion razy.

Przez całe życie opowiadano mi, że ojciec napisał ją w dniu moich narodzin. Jechał wtedy jakąś teksańską drogą, już po rozstaniu z moją matką. Podobno usłyszał, że ma córkę, usiadł z gitarą i od razu wymyślił piosenkę w pokoju w Motelu 6.

Poświęcił temu sześćdziesiąt minut. Ułożył kilka akordów, dwie zwrotki i refren. Pisał muzykę przez całe życie, ale koniec końców zastynał tą jedną piosenką. Okazał się autorem jednego hitu –

ewentualnie dwóch, jeśli liczyć mnie.

Piosenka dobiegała z głośników, kiedy w pierwszym tygodniu czerwca siedziałam na plastikowym krześle w salonie samochodowym. Zrobiło się ciepło, wszystko kwitło, lato zbliżało się wielkimi krokami, co naturalnie znaczyło, że matka znowu wyjdzie za mąż.

To był jej czwarty raz – piąty, jeśli liczyć ojca. Ja go nie liczyłam, ale jej zdaniem byli małżeństwem, o ile można nazwać ślubem ceremonię poprowadzoną na środku pustyni przez kogoś, kogo poznali za ledwie chwilę wcześniej, przy okazji postoju podczas podróży. Matka uważa, że ślub to ślub. Inna sprawa, że wychodzi za mąż z powodów, dla których inni zmieniają kolor włosów: z nudy, z apatii albo po prostu z przekonania, że następny facet naprawi wszystko raz na zawsze. Kiedy byłam młodsza i pytałam o tatę oraz o to, jak się poznali, bo wtedy jeszcze mnie to obchodziło, wzdychała tylko, machając ręką.

– Remy – mówiła. – To były lata siedemdziesiąte. No wiesz.

Matka uważa, że wiem wszystko, ale się myli. Znam lata siedemdziesiąte ze szkoły i z kanału History: Wietnam, prezydent Carter, disco.

A o ojcu wiem tylko tyle, że napisał *Kołysankę*.

Odkąd sięgam pamięcią, nieustannie słyszę ją w tle reklam i filmów, na ślubach i w radio, jako obowiązkowy *evergreen*. Mój ojciec odszedł, ale piosenka, cikliwa, głupia i nijaka, trwa w najlepsze. Przeżyje nawet mnie.

W połowie drugiego refrenu Don Davis z Don Davis Motors wystawił głowę z biura.

– Remy, skarbie, przepraszam, że musiałaś czekać – powiedział na mój widok. – Wchodź.

Za osiem dni Don miał zostać moim ojczymem i tysiącami wstąpić do niespecjalnie ekskluzywnego klubu. Spośród mężów matki był pierwszym sprzedawcą samochodów, drugim facetem spod znaku Bliźniąt i jak na razie jedynym z własnymi pieniędzmi.

Poznał moją matkę tu, w swoim salonie, kiedy przyszłyśmy kupić nową toyotę camry. Towarzyszyłam matce, bo dobrze ją znam. Od razu zapłaciłaby pełną kwotę, wychodząc z założenia, że cena jest ustalona, tak jak cena pomarańczy albo papieru toaletowego w sklepie. Naturalnie, w salonie wzięliby całą sumę, bo matka jest dość znana i uchodzi za bogaczkę.

Pierwszy sprzedawca był młodziakiem, pewnie świeżo po studiach. Ona nie zemdlą, kiedy matka pomaszzerowała prosto do wypasionego tegorocznego modelu i wetknęła głowę do środka, żeby odetchnąć zapachem wnętrza auta prosto z fabryki. Nabrała powietrza w płuca i uśmiechnęła się szeroko.

– Biorę! – obwieściła z charakterystycznym dla siebie teatralnym gestem.

– Mamo – mruknęłam, starając się nie zgrzytać zębami.

Ona jednak wiedziała swoje. Przez całą drogę mówiłam jej, co dokładnie ma powiedzieć i jak się zachować, żebyśmy ubiły dobry interes. Powtarzała, że słucha, chociaż w tym samym czasie bawiła się kratkami nawiewu klimatyzacji i przyciskami do otwierania okien. Jak Boga kocham, właśnie przez to napaliła się na nowy samochód – skoro ja miałam auto, to ona też chciała.

Kiedy zawałiła sprawę, przejęłam pałeczkę. Zasypałam sprzedawcę konkretnymi pytaniami, przez co się speszył i zaczął zerkać na matkę tak, jakbym była tresowanym psem obronnym, którego powinna

usadzić. Przywykłam do tego. Kiedy jednak naprawdę zaczął się denerwować, przerwał nam Don Davis we własnej osobie. Szybko zaprowadził nas do gabinetu i w kwadrans zakochał się w mamie. Siedzieli tam i robili do siebie maślane oczy, a ja zdołałam zbić cenę auta o trzy tysiące i jeszcze skłoniłam Dona, żeby dorzucił gratis plan serwisowy, metaliczny lakier i zmieniarkę do płyt CD. Chyba ubiłam najlepszy interes w historii Toyoty, chociaż nikt tego nie docenił. Oczekuje się ode mnie, że ze wszystkim sobie poradzę, bo jestem menedżerką matki, jej terapeutką, złotą rączką, a teraz także organizatorką ślubu. Ale ze mnie szczęściara.

– No więc, Remy... – Don rozwałił się na wielkim obrotowym fotelu za biurkiem.

Usiadłam na dość niewygodnym krześle, które miało skłaniać klientów do szybszego podejmowania decyzji. Wszystko w tym salonie pomagało w praniu mózgow klientów. Taki cel miały karteczki z informacjami dla handlowców, niby

przypadkowo rozsiane tam, gdzie każdy mógł je przeczytać.

Dlatego też odpowiednio rozplanowano gabinety, żeby łatwo było „podслуchać”, jak sprzedawca, rzekomo w imieniu klienta, pertraktuje z menedżerem. Do tego dochodził jeszcze fakt, że okno, naprzeciwko którego siedziałam, wychodziło na tę część parkingu, gdzie ludzie odbierali nowiutkie samochody. Co kilka minut jeden z handlowców podchodził do kogoś za oknem, wręczał mu błyszczące kluczyki, a potem uśmiechał się przychylnie, gdy klient odjeżdżał w stronę zachodu słońca, zupełnie jak w reklamach. Dno i wodorosty.

Don usiadł wygodniej w fotelu i poprawił krawat. Był krępy facetem ze sporym brzuchem i z widoczną łysinką na czubku głowy. Kojarzył się ze słowem „zakalcowaty”, ale uwielbiał mamę. Biedaczysko.

– Czego sobie dzisiaj życzysz? – spytał.

– Okej – zaczęłam, sięgając do kieszeni po listę. – Jeszcze raz skontaktowałam się z zakładem krawieckim, masz się zjawić w tym tygodniu na końcowe przymiarki. Na próbnej kolacji weselnej będzie siedemdziesiąt pięć osób, a firma obsługująca przyjęcie spodziewa się ostatniej raty do poniedziałku.

– W porządku. – Otworzył szufladę i wyciągnął z niej skórzaną teczkę, w której trzymał książeczkę czekową, a następnie sięgnął do kieszeni marynarki po długopis. – Ile trzeba dla tej firmy?

Popatrzyłam na kartkę i przełknęłam ślinę.

– Pięć tysięcy – odparłam.

Skinął głową i zabrał się do pisania. Pięć tysięcy było dla Dona jak kieszonkowe. Samślub miał go kosztować ponad dwadzieścia tysięcy, ale i to nie zrobiło na nim wrażenia. Jeśli dodać do tego remont w naszym domu, żebyśmy mogli żyć jak jedna szczęśliwa rodzina, dług, który Don darował mojemu bratu za pikapa, oraz koszty życia z moją matką, nie ulegało wątpliwości, że sporo inwestował. Z drugiej strony zenił się po raz pierwszy. Był nowicjuszem, a moja rodzina miała status profesjonalistów.

Wyrwał czek i przesunął go po blacie.

– Co jeszcze? – spytał mnie z uśmiechem.

Ponownie spojrzałam na listę.

– Chyba tylko zespół muzyczny – powiedziałam – Ludzie od sali bankietowej pytali, czy...

– Wszystko jest pod kontrolą – przerwał mi i pomachał ręką.

– Będzie zespół. Powiedz mamie, żeby się nie przejmowała.

Uśmiechnęłam się, bo tego ode mnie oczekiwał. Oboje jednak wiedzieliśmy, że matka wcale nie martwi się weselem.

Wybrała suknię i kwiaty, a resztę obowiązków zrzuciła na mnie, twierdząc, że potrzebuje każdej sekundy do pracy nad nową książką. Tak naprawdę jednak nie znosiła szczegółów. Uwielbiała nowe projekty, zajmowała się nimi przez dziesięć minut, a potem traciła zainteresowanie. W całym domu piętrzyły się stosiki rzeczy, które kiedyś ją fascynowały: zestawy do aromaterapii, programy do tworzenia drzew genealogicznych, książki o kuchni japońskiej.

Nie brakowało też akwarium o ścianach pokrytych glonami, z jednym ocalałym lokatorem, czyli grubą, białą rybką, która zeżarła wszystkie pozostałe.

Większość ludzi kładła niekonsekwentne zachowanie matki na karb tego, że była pisarką, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

Moim zdaniem, to zwykła wymówka. Przecież neurochirurdzy też mogą zachowywać się jak wariaci, jednak nikt nie twierdzi, że to w porządku. Na szczęście dla matki nikt nie podziela mojej opinii.

– ...już tak niedługo! – Don postukał palcem w kalendarz. –

Możesz w to uwierzyć?

– Nie – odparłam, zastanawiając się, jak brzmiała pierwsza część zdania. – To niesamowite – dodałam.

Uśmiechnął się do mnie, a potem popatrzył na kalendarz.

Dopiero teraz zauważyłam kilka kolorowych kółek na dacie ślubu, dziesiątego czerwca. Chyba nie było nic dziwnego w tym, że Don tak się entuzjazmował. Gdy poznał mamę, był w wieku, w którym większość jego przyjaciół pogodziła się z myślą, że zostanie kawalerem. Przez ostatnich piętnaście lat mieszkał sam w dużym mieszkaniu tuż przy autostradzie i niemal cały czas spędzał na sprzedawaniu większej liczby toyot niż ktokolwiek w naszym stanie. Teraz, już za osiem dni, nie tylko miał dostać Barbarę Starr, niezwyklej autorkę romansów, ale w komplecie jeszcze mojego brata Chrisa i mnie – i w dodatku się z tego cieszył. To rzeczywiście było niesamowite.

Nagle interkomna jego biurku zabrzączała donośnie i rozległ się kobiecy głos:

– Don, Jason zgłasza osiem-pięć-siedem, potrzebuje twojego wsparcia. Mamich wpuścić?

Don popatrzył na mnie i wcisnął przycisk.

– Jasne – powiedział. – Daj mi pięć sekund.

– Osiem-pięć-siedem? – zapytałam

– To taki slang handlowy – wyjaśnił szybko i wstał.

Przyglądził włosy, zasłaniając łysy placek, widoczny tylko wtedy, kiedy siedział. Za oknem, za jego plecami, rumiany sprzedawca wręczał kobiecie z małym dzieckiem kluczyki do nowego auta. Przyjęła je, a dzieciak pociągnął za jej spódnicę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Chyba nawet tego nie zarejestrowała.

– Nie chcę cię poganiać, ale...

– Już skończyłam – Wsunęłam listę do kieszeni.

– Naprawdę jestem ci wdzięczny za to, co dla nas robisz, Remy – oświadczył.

Okrzyknął biurko i ojcowskim gestem położył rękę na moim ramieniu. Staralam się nie myśleć o wszystkich ojczymach przed nim, którzy robili to samo, mówili to samo i mieli takie same intencje. Każdemu z nich wydawało się, że zostanie na zawsze.

– Nie ma problemu – odparłam, a on zabrał rękę i otworzył przede mną drzwi.

Na korytarzu czekał na nas sprzedawca w towarzystwie osoby, którą określono mianem osiem-pięć-siedem. Najwyraźniej ten kod oznaczał niezdecydowanego klienta. W tym wypadku była to niska kobieta

ściskająca w dłoniach torebkę, ubrana w bluzę z aplikacją przedstawiającą kotka.

– Don, to Ruth – powiedział sprzedawca. – Robimy, co się da, żeby załatwić jej nową corollę.

Ruth popatrzyła nerwowo na Dona, na mnie, a potem znów na Dona.

– Ja tylko... – zająknęła się.

– Ruth, Ruth... – przerwał jej Don kojącym tonem –

Usiądźmy na chwileczkę i pogadajmy o tym, co mógłbym dla ciebie zrobić, dobrze?

– Tak jest – przytaknął sprzedawca, lekko popychając kobietę. – Pogadajmy.

– No dobrze – odparła Ruth nieco niepewnie i ruszyła do biura Dona.

Po drodze zerknęła na mnie, jakby brała w tym udział, a ja ugryzłam się w język, bo miałam ochotę poradzić jej, żeby stąd uciekała, nie oglądając się za siebie.

– Remy – odezwał się Don cicho, jakby to zauważył. –

Zobaczymy się później, okej?

– Okej – odparłam i powiodłam wzrokiem za Ruth, kiedy wchodziła do gabinetu.

Sprzedawca pokierował ją do niewygodnego krzesła

naprzeciwko okna. Właśnie w tej chwili para Azjatów wsiadała do nowego pikapa. Oboje z uśmiechem poprawiali fotele i podziwiali wewnątrz. Kobieta opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przejrzała się w lusterku. Odetchnęli głęboko, napawając się zapachem świeżo wyprodukowanego auta, a potem mąż wsunął kluczyki do stacyjki.

Odjeżdżając, pomachali obsługującemu ich sprzedawcy. Następne ujęcie: zachód słońca.

– No dobrze, Ruth. – Don usiadł w fotelu. Drzwi się zamykały, więc ledwie widziałam jego twarz. – Jak mogę cię uszczęśliwić?

Byłam już w połowie drogi do salonu sprzedaży, kiedy nagle uświadomiłam sobie, o co prosiła mnie matka. Miałam koniecznie, ale to koniecznie przypomnieć Donowi o wieczornym koktajlu. Jej nowa wydawczyni wpadała dziś do miasta, rzekomo w drodze powrotnej z Atlanty. Tak naprawdę matka spóźniała się z powieścią i wszyscy zaczęli się lekko niecierpliwić.

Wróciłam korytarzem do gabinetu Dona. Drzwi nadal były zamknięte, ale słyszałam za nimi głosy, więc usiadłam na krześle, żeby poczekać.



Zegar na sąsiedniej ścianie był taki sam jak w szkołach: z dużymi, czarnymi cyframi i chwiejącą się wskazówką sekundową.

Minęło już piętnaście po pierwszej, a ja, dzień po ukończeniu szkoły średniej, nie szłam na plażę ani nie odsypiałam kaca, jak reszta. Załatwiałam sprawy związane ze ślubem, jak płatny pracownik, podczas gdy matka leżała w swoim łóżu królewskich rozmiarów, za opuszczonymi roletami. Jak twierdziła, sen był

konieczny dla jej twórczej sprawności intelektualnej. Tyle wystarczyło, żebym znów poczuła nieprzyjemne pieczenie w brzuchu, jak zawsze, kiedy docierało do mnie, jak bardzo idę matce na rękę. Była to manifestacja niechęci albo niezaleczonej choroby wrzodowej, ewentualnie jednego i drugiego.

Muzyka sącząca się przez głośniki w budynku dudniła coraz głośniejsze, jakby ktoś bawił się pokrętem nateżenia dźwięku. Nagle zaatakowała mnie nowa wersja starej piosenki Barbry Streisand, więc założyłam nogę na nogę i zamknęłam oczy, zaciskając palce na poręczach krzesła. Powtarzałam sobie, że jeszcze tylko kilka tygodni i znikam.

Nagle ktoś opadł ciężko na krzesło po lewej stronie i przy okazji pchnął mnie na ścianę. Rąbnęłam łokciem o listwę profilową i poczułam elektryzujący ból, który przeszył mi całą rękę, docierając aż do palców. Momentalnie się wkurzyłam, i to na serio. Zdumiewające: wystarczy jedno popchnięcie, żeby człowiek dostał szału.

– Co jest, cholera?

Odepchnęłam się od ściany, gotowa urwać łeb głupiemu sprzedawcy, który najwyraźniej postanowił się ze mną zaprzyjaźnić. Nadal rwał mnie łokieć i czułam, że po mojej szyi pełnie gorący rumieniec. To były niepokojące objawy – wiedziałam, do czego jestem zdolna.

Odwróciwszy się, zobaczyłam, że to wcale nie sprzedawca, tylko chłopak mniej więcej w moim wieku, z czarnymi

kędzierzawymi włosami i w pomarańczowej koszulce. Uśmiechał się, nie wiedząc czemu.

– Cześć – powiedział radośnie. – Jak leci?

– Masz jakiś problem? – warknęłam, rozcierając łokieć.

– Problem? – powtórzył.

– Pchnąłeś mnie na ścianę, zasrańcu.

Chłopak zamrugał.

– Mój Boże, co za język – powiedział w końcu.

Popatrzyłam na niego i przyszło mi do głowy, że ma pecha.

Trafił na mnie w bardzo kiepskim momencie.

– Wiesz, w czym rzecz? – ciągnął, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie albo o polityce. – Chodzi o to, że widziałem cię w salonie. Byłem przy stoisku z oponami.

Piorunowałam go wzrokiem, on jednak nie przestawał gadać:

– I nagle pomyślałem sobie, że coś nas łączy, jakaś naturalna chemia. Chyba można tak to nazwać. Czułem, że coś wielkiego przydarzy się nam obojgu, bo jesteśmy sobie pisani.

– Tak cię olśniło przy stoisku z oponami? – upewniłam się.

– A ty nic wtedy nie poczułaś?

– Wtedy nie. Ale poczułam coś przed chwilą, jak rąbnąłeś mną o ścianę – odparłam bez zająknięcia.

– Zrobiliśmy to niechcący – wyjaśnił cicho i pochylił się ku mnie. – Doszło do przykrego wypadku. To był niefortunny skutek uboczny entuzjazmu, który ogarnął mnie na myśl, że z tobą porozmawiam.

Patrzyłam na niego. Wokoło rozbrzmiewało radosne

brzdąkanie i pitolenie, czyli muzyczka reklamowa Don Davis Motors.

– Kiedy sobie pójdziesz? – zapytałam.

Znowu się uśmiechnął i przeczesał palcami włosy. Muzyczka była coraz donośniejsza. Głośnik nagle zatrzeszczał, jakby miał zaraz spowodować krótkie spięcie. Oboje podnieśliśmy wzrok, a potem popatrzyliśmy po sobie.

– Wiesz co? – powiedział chłopak, wskazując głośnik, który znowu zatrzeszczał, a potem zasyczał i ryknął na pełny regulator. –

Od teraz, po wsze czasy... – wycelował palec w urządzenie – ...to będzie nasza piosenka.

– Łojezu – jęknęłam.

W tym samym momencie drzwi biura Dona się otworzyły i ze środka wyłoniła się Ruth w towarzystwie handlowca. W rękach trzymała plik dokumentów, a na jej zmęczonej twarzy malowało się oszołomienie typowe dla kogoś, kto właśnie rozstał się z grubymi tysiącami. Dostała za to darmowy breloczek z tombaku.

Wstałam, a chłopak obok również zerwał się z krzesła.

– Czekaj, chcę tylko...

– Don?! – krzyknęłam, ignorując go.

– Masz tutaj.

Chwył mnie za dłoń i odwrócił ją spodem do góry. Zanim zdążyłam zareagować, wyciągnął z kieszeni spodni długopis i –

naprawdę nie żartuję – napisał swoje imię i numer telefonu między moim kciukiem a palcem wskazującym

– Jesteś nienormalny – powiedziałam, wrywając rękę z jego uścisku.

Ostatnie cyfry się rozmazały, a długopis spadł na podłogę i wtoczył się pod automat z gumami do żucia.

– Ej, Romeo! – wrzasnął ktoś z salonu, po czym rozległ się wybuch śmiechu. – No chodź, stary, idziemy!

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Gość grubo przesadził. W klubach zdarzało mi się wylewać drinki na facetów tylko za to, że mnie musnęli, a ten miał czelność chwycić mnie za rękę i coś na niej nabazgrać.

Chłopak obejrzał się za siebie, po czym spojrzał na mnie.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedział i uśmiechnął się szeroko.

– Żebyś się nie zdziwił – burknęłam, ale on już odchodził.

Minął pikapa oraz minivana w salonie i wyszedł przez szklane drzwi na zewnątrz, gdzie przy krawężniku czekała poobijana biała furgonetka z silnikiem na wolnych obrotach.

Chłopak otworzył tylne drzwi samochodu i już miał wsiąść, kiedy auto gwałtownie ruszyło. Zachwiał się i niemal przewrócił, a wtedy samochód się zatrzymał. Chłopak westchnął, oparł dłonie na biodrach i wznosił oczy ku niebu, po czym ponownie chwycił

klamkę. Usiłował wskoczyć do samochodu, kiedy ten znowu ruszył, tym razem przy akompaniamencie klaksonu. Powtarzało się to przez całą długość parkingu, sprzedawcy chichotali, aż w końcu ktoś wyciągnął rękę zza tylnych drzwi samochodu, którą chłopak zignorował. Palce dłoni się poruszyły, najpierw lekko, potem gwałtownie, aż w końcu chłopak chwycił za nią i wskoczył do środka. Drzwi się zatrzasnęły, klakson znowu zatrząbił i furgonetka opuściła parking, przy okazji waląc tłumikiem o nawierzchnię.

Popatrzyłam na swoją dłoń, na której czarnym tuszem wypisane były cyfry 933-54-cośtam-cośtam oraz jedno słowo pod spodem, zanotowane naprawdę okropnym charakterem pisma.

Duże D, rozmazana ostatnia litera. Dexter. Jakie głupie imię.

Po powrocie do domu usłyszałam muzykę klasyczną, która wypełniała dom zawodzącym brzmieniem obojów i jęklwym dźwiękiem skrzypiec. Poczulałam waniliowy zapach świec, na tyle drażniący i słodki, że się skrzywiłam. Na koniec dostrzegłam coś, co wszystko wyjaśniało: szlak wyznaczony zmiętymi kartkami, które jak okruchy chleba prowadziły z holu przez kuchnię na werandę.

Bogu dzięki, pomyślałam. Znowu pisała.

Rzuciłam kluczyki na stół przy drzwiach i pochyliłam się, żeby podnieść papierową kulę u moich stóp. Rozprostowałam ją w drodze do kuchni. Matka była bardzo przesadna w kwestiach związanych z pracą i pisała tylko na starej, zniszczonej maszynie, którą dawniej wozila po całym kraju, kiedy jeszcze jako wolny strzelec dostarczała artykuły o muzyce dla jednej z gazet w San Francisco. Hałaśliwe urządzenie było wyposażone w dzwoneczek, którego dźwięk rozbrzmiewał za każdym razem, gdy matka dotarła do końca wiersza, i wyglądało jak pozostałość po czasach poczty z Dzikiego Zachodu. Nowiutki drogi komputer przydawał się matce jedynie do stawiania pasjansa.

Kartka w mojej dłoni, oznaczona jedynką w prawym górnym rogu, zaczynała się w typowy mdła matki stylu.

*Melanie lubiła wyzwania. Dotyczyło to i pracy, i miłości: zawsze stawiała czoło przeciwnościom, gdyż dzięki temu zwycięstwo przynosiło jej większą satysfakcję.*

*Tego chłodnego listopadowego dnia weszła do hotelu Plaza, po czym ściągnęła chustkę z głowy. Wcześniej nie miała w planach spotkania z Brockiem Dobbinem. Nie widziała go od pobytu w Pradze, kiedy rozstali się w równie nieprzyjemnych okolicznościach jak te, w których się poznali. Teraz jednak, rok później, tuż przed ślubem Melanie, Brock znów zjawił się w mieście, a ona przyszła tu, żeby się z nim spotkać. Tym razem zamierzała wygrać. Była*

Była... co? Za ostatnim słowem widniała tylko smuga tuszu, która ciągnęła się aż do dołu wyszarpiętej z maszyny kartki.

Zbierałam porzucane papiery, przy okazji czytając to, co matka napisała. W jednej wersji akcja toczyła się w Los Angeles, nie w Nowym Jorku, a w innej Brock Dobbin stał się Dockiem Brobbinem tylko po to, by na następnej kartce wrócić do poprzedniego nazwiska. To były drobiazgi, jednak zawsze trochę trwało, nim matka wpadła w odpowiedni rytm. Potem pracowała niezamordowanie – ostatnią książkę, tak grubą, że mogłaby pełnić funkcję odboju do drzwi, napisała w trzy i pół tygodnia.

Muzyka i stukanie maszyny stały się głośniejsze, kiedy  
weszłam do kuchni, gdzie mój brat Chris prasował koszulę na kuchennym stole.  
Solniczkę, pieprzniczkę i serwetnik odsunął na bok.

– Hej. – Odgarnął włosy z twarzy.

Żelazko syknęło, gdy je podniósł, żeby przejechać nim po kołnierzyku,  
dociskając z całej siły.

– Długo pisze? – zapytałam.

Wyciągnęłam spod zlewu kosz i wyrzuciłam do niego  
pomięte kartki. Chris wzruszył ramionami, upuścił trochę pary z żelazka i  
rozprostował palce.

– Chyba ze dwie godziny – odparł.

Zerknęłam za niego, na znajdującą się za jadalnią werandę, gdzie przy świecy  
zgarbiona nad maszyną matka tłukła w  
klawisze. Zawsze dziwnie się czułam, gdy ją obserwowałam.

Naprawdę mocno waliła w klawiaturę, angażując się całym ciałem, jakby nie  
nadażała w wyrzucaniem z siebie słów. Potrafiła siedzieć tak przez kilka godzin, by w  
końcu wyłonić się z werandy z przykurczempalców, obolałym kręgosłupem i co  
najmniej

pięćdziesięcioma stronami gotowego tekstu. Taka objętość powinna chwilowo  
zadowolić nowojorską wydawczynię.

Usiadłam przy stole i przejrzałam pocztę obok miski z  
owocami, a Chris odwrócił koszulę i wyprasował jeden mankiet.

Robił to naprawdę powoli, do tego stopnia, że zdarzało mi się już wrywać mu  
żelazko z rąk. Nie mogłam znieść tego, jak długo prasował kołnierzyk. Powolność to  
jedyne, czego nie cierpię bardziej od niechlujstwa.

– Ważny wieczór? – zapytałam go.

Pochylał się teraz nad koszulą, całkowicie skupiony na  
kieszeni.

– Jennifer Anne organizuje przyjęcie – odparł. – Obowiązuje elegancki luz.

– Elegancki luz?

– To znaczy nie džinsy, ale i nie marynarka – odparł powoli, nadal się  
koncentrując. – Krawat opcjonalnie. Rozumiesz.

Przewróciłam oczami. Pół roku temu mój brat nawet nie  
wiedział, co to jest elegancja, już nie mówiąc o eleganckim luzie.

Dziesięć miesięcy temu, w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin, został

przyłapano na sprzedaży marihuany. To nie był jego pierwszy zatarg z prawem. Już w liceum odpowiadał sędownie za kilka włamań (ugoda), jedną jazdę pod wpływem (powództwo oddalone) i jedno posiadanie nielegalnych substancji (prace społeczne i wysoka grzywna, mało brakowało, a byłoby gorzej).

Ostatnie wykroczenie go jednak załatwiło i trafił do więzienia.

Dostał tylko trzy miesiące, ale kara tak go przeraziła, że się pozbierał i znalazł sobie pracę w miejscowym warsztacie samochodowym, gdzie poznał Jennifer Anne, która przyjechała saturnem na przegląd po pięćdziesięciu tysiącach kilometrów.

Jennifer Anne należała do dziewczyn określanych przez

matkę mianem „twardych sztuk”, co oznaczało, że nie bała się żadnej z nas i miała w nosie, że o tym wiemy. Była drobną blondynką, bardzo bystrą, co przyznawałyśmy z niechęcią, i w pół

roku zrobiła dla mojego brata więcej, niż nam się udało przez dwadzieścia jeden lat. Zmusiła go, żeby się lepiej ubierał, ciężiej pracował i prawidłowo wysławiał, a do tego używał nowych słów, takich jak „kontaktowość”, „wielozadaniowy” czy „elegancki luz”.

Była recepcjonistką w klinice, jednak przedstawiała się jako

„specjalistka biurowa”. W ustach Jennifer Anne wszystko brzmiało lepiej niż w rzeczywistości. Ostatnio usłyszałam, jak mówi o Chrisie „wysokiej klasy specjalista w dziedzinie smarów do urządzeń mechanicznych”, zupełnie jakby robotą w warsztacie samochodowym niespecjalnie różniła się od pracy w NASA.

Chris podniósł koszulę z blatu i strzepnął ją ostrożnie przy akompaniamencie dzwonka maszyny matki.

– I co ty na to? – zapytał.

– Wygląda niezłe – przyznałam – Ale przegapiłeś spore zagniecenie na prawym rękawie.

Spojrzał na fałdkę.

– To cholernie trudne – westchnął i ponownie położył koszulę na stole. – Nie wiem, po co ludzie tak się starają.

– A ja nie wiem, po co ty się tak starasz. Odkąd to musisz nosić wyprasowane rzeczy? Kiedyś wkładałeś spodnie i to był dla ciebie szczyt elegancji.

– Bardzo śmieszne. – Skrzywił się. – I tak byś nie rozumiała.

– Tak, jasne. Wybacz, panie Mądraliński, zapomniałam, że pozjadałeś wszystkie rozumy.

Wyprostował koszulę, nie patrząc na mnie.

– Chodzi mi o to, że musiałabyś wiedzieć, jak to jest, kiedy chce się zrobić dla kogoś coś miłego – powiedział powoli. – Przez wzgląd na czyjeś uczucia. Z miłości.

– Jezu – jęknęłam.

– No właśnie. – Ponownie podniósł koszulę. Zagniecenie nie znikło, ale nie zamierzałam o tym wspominać. – O tym mówię.

Zrozumienie. Związki. To dwie rzeczy, o których, niestety, nie masz pojęcia.

– Jestem królową związków – oznajmiłam z oburzeniem. – A poza tym spędziłam cały ranek na planowaniu wesela mamy. Co to jest, jeśli nie cholerne zrozumienie?

– A jednak... – zaczął, przewieszając koszulę przez ramię, jak kelner ściereczkę – ...jeszcze nigdy się poważnie nie zaangażowałaś.

– Co?

– A do tego tak narzekasz i stękasz w kwestii wesela, że trudno tu mówić o zrozumieniu.

Stałam i patrzyłam na niego. Ostatnio nie można było się z nim dogadać, całkiem jakby jakaś sekta wyprała mu mózg.

– Kim ty jesteś? – zapytałam.

– Mówię tylko, że jestem szczęśliwy – odparł cicho. –

Chciałbym, żebyś i ty była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa – warknęłam. Mówiłam szczerze, chociaż zabrzmiało to dość gorzko, bo byłam wkurzona. –

Naprawdę.

Poklepał mnie po ramieniu, jakby wiedział lepiej.

– Do zobaczenia – powiedział.

Odwrócił się i ruszył do swojego pokoju.

Patrzyłam za nim, jak niósł nadal pogniecioną koszulę, i dotarło do mnie, że zaciskam zęby, co ostatnio zdarzało mi się zbyt często.

Dzyń!, rozległ się dzwonek maszyny i matka rozpoczęła

następny wiersz. Można się było domyślić, że Melanie i Brock Dobbin zapewne zbliżają się do łzawego rozstania. Powieści matki należały do gatunku zapierających dech w piersiach romansów, z akcją w kilku egzotycznych miejscach, z postaciami, które niby miały wszystko, a tak naprawdę nic. Bohaterowie tych książek byli bogaczami o ubogich sercach, i tak dalej.

Stałam przy drzwiach na przeszkłoną werandę i

popatrzyłam na matkę. Podczas pisania znajdowała się w innym świecie. Nawet

gdy w dzieciństwie wrzeszczeliśmy i jęczyliśmy, podnosiła tylko rękę i nie odrywając się od pracy, mówiła:

„Ciiiiicho”, tak jakby to mogło wystarczyć. Jakbyśmy dzięki temu zdołali zajrzeć do świata, w którym aktualnie przebywała: do hotelu Plaza lub na plażę na Capri, gdzie jakaś elegancka kobieta tęskniła za mężczyzną, którego, jak jej się wydawało, utraciła na zawsze.

Kiedy chodziliśmy do podstawówki, matka w zasadzie była całkiem splekana. Publikowała tylko artykuły do gazet i nawet to się skończyło, gdy kapele, o których pisała – jak zespół taty, wszystko z lat siedemdziesiątych, czyli to, co nazywa się teraz klasycznym rockiem – przestały grać albo zniknęły z radia.

Dostała pracę w lokalnej szkole pomaturalnej, gdzie za marne grosze uczyła pisania. W tamtym czasie gnieździł się w różnych paskudnych osiedlach o nazwach typu Sosnowe Wzgórza albo Leśne Jezioro, choć w okolicy na próżno by szukać jezior, sosen czy lasów. Matka pisała przy kuchennym stole, zwykle wieczorami albo późno w nocy, czasem po południu, i już wtedy jej opowieści były egzotyczne. Zbierała darmowe katalogi z miejscowego biura podróży i wyławiała magazyn „Gourmet” ze stosów w składzie surowców wtórnych, żeby szukać materiałów do pracy. Mój brat dostał imię po jej ulubionym świętym, a moje zainspirował wykwintny koniak reklamowany w „Harper’s

Bazaar”. Nieważne, że jadaliśmy makaron z serem Kraft –

bohaterowie matki żywili się kawiozem, popijanym szampanem Cristal, odpoczywając w strojach od Diora, podczas gdy nasze ubrania pochodziły z lumpeksu. Matka uwielbiała przepych, choć nigdy nie widziała go na własne oczy.

Gdy pracowała, Chris i ja nieustannie jej przeszkadzaliśmy, doprowadzając ją do szału. W końcu znalazła na pchlim targu zasłonkę z paciorków, którą przymocowała w wejściu do kuchni.

Zasłonka stała się dla nas sygnałem rozpoznawczym: jeśli była odsunięta, mogliśmy wchodzić do kuchni. Jeśli jednak koraliki zwisały, matka pracowała i musieliśmy sobie szukać przysmaków i rozrywki gdzie indziej.

Miałam wtedy jakieś sześć lat, bardzo lubiłam muskać palcami paciorki i patrzeć, jak się kołyszą. Wydawały cichutki dźwięk, niczym dzwoneczki. Za nimi nadal widziałam matkę, ale dzięki zasłonce wydawała się wręcz egzotyczna, jak jasnowidzka albo wróżka. Tak zresztą było, ale wtedy jeszcze to do mnie nie docierało.

Większość pozostałości po latach spędzonych w tamtych



mieszkaniach już dawno temu przepadła lub trafiła do innych ludzi, jednak paciorkowa zasłonka znalazła się w wielkim nowym domu, jak go nazwaliśmy po przeprowadzce. Matka zawiesiła ją jako pierwszą, jeszcze przed naszymi szkolnymi zdjęciami i reprodukcją ulubionego obrazu Picassa. Zasłonkę można było zahaczyć o gwóźdź, lecz teraz wisiała. Trochę się zniszczyła, ale nadal spełniała swoje zadanie.

Pochyliłam się i zerknęłam na matkę. Ciężko pracowała, jej palce wręcz fruwały, a ja zamknęłam oczy i nasłuchiwałam. Te dźwięki były jak muzyka, którą słyszałam przez całe życie, nawet bardziej niż *Kołysanka*. Wszystkie te uderzenia w klawisze, wszystkie litery i słowa... Znów musnęłam palcami paciorki i zobaczyłam, że obraz matki zafalował jak na wodzie, lekko się poślizgnął i załśnił, a potem znów stworzył spójną całość.

## **Rozdział drugi**

Nadeszła pora rzucić Jonathana.

– Możesz mi jeszcze raz powiedzieć, dlaczego to robisz? – spytała Lissa.

Siedziała na moim łóżku, przeglądając płyty i pałac, przez co w pokoju coraz bardziej śmierdziało, chociaż przysięgała, że tak nie będzie, bo wystawiła papieros za okno. Nawet przed rzuceniem palenia nie cierpiałam smrodu dymu, ale zawsze pozwalałam Lissie na zbyt wiele. Chyba każdy ma przynajmniej jedną taką przyjaciółkę.

– Chodzi mi o to, że lubię Jonathana – dodała.

– Wszystkich lubisz – odparłam, przybliżając twarz do lustra i obrysowując usta konturówką.

– Nieprawda. – Wzięła do ręki jedną z płyt i spojrzała na tył okładki. – Nie lubiłam pana Mitchella. Zawsze gapił się na moje cycki, kiedy pisałam równania na tablicy. Gapił się na cycki wszystkich dziewczyn.

– Lissa, liceum się skończyło – przypomniałam jej. – A resztą nauczyciele się nie liczą.

– Tak tylko mówię.

– Powiem ci, o co chodzi – ciągnęłam, nadal malując usta. –

Przed nami lato, a we wrześniu wyjeżdżam na studia. A co do Jonathana... Sama nie wiem. To nie jest typ na długo. Nie warto dostosowywać do niego planów, skoro i tak za parę tygodni ze sobą zerwiemy.

– Skąd wiesz, może nie zerwiecie.

Odsunęłam się, podziwiając efekt w lustrze, i poprawiłam palcem kreskę na

górnjej wardze.

– Zerwiemy – odparłam – Po przyjeździe do Stanfordu nie chcę mieć na głowie żadnych zobowiązań oprócz tych, które są konieczne.

Przygryzła usta, po czym założyła lok za ucho i przechyliła głowę ze smutnym wyrazem twarzy, jak zawsze, gdy

rozmawialiśmy o końcu lata. Lissa z niepokojem myślała o tym, że już za osiem tygodni rozjedziemy się po kraju i nie chciała zastanawiać się nad przyszłością.

– Naturalnie – zgodziła się cicho. – Bo niby dlaczego?

– Lissa – westchnęłam – Nie chodzi mi o ciebie. Przecież wiesz. Po prostu... – Wskazałam lekko uchylone drzwi pokoju, za którymi słyszałyśmy maszynę mamy i dźwięki skrzypiec w tle. –

No wiesz...

Skinęła głową, ale wiedziałam, że nie rozumie. Spośród nas tylko Lissa rozczulała się na myśl o końcu liceum. Głośno i rozpaczliwie płakała podczas rozdania dyplomów, więc w

rezultacie na każdym zdjęciu i nagraniu miała czerwone oczy i plamy na twarzy. Nie wątpiłam, że da jej to powód do narzekań przez następne dwadzieścia lat. Tymczasem ja, Jess i Chloe nie mogłyśmy się doczekać świadectw i wolności. Lissa zawsze zbyt głęboko wszystko przeżywała i dlatego zgodnie starałyśmy się ją chronić. Martwiłam się, że ją zostawiam. Dostała pełne

stypendium na miejscowy uniwersytet i nie mogła zrezygnować z takiej okazji, do tego jej chłopak Adam też zamierzał tam studiować. Lissa wszystko sobie zaplanowała – mieli razem bywać na zajęciach informacyjnych dla studentów pierwszego roku, zamieszkać niedaleko siebie w akademikach, chodzić na kilka wspólnych zajęć. Tak jak w liceum, tylko bardziej.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym, ale przecież nie byłam Lissą. Przez ostatnie dwa lata skupiłam się tylko na jednym celu: żeby stąd wyjechać. Zniknąć, zrobić karierę i wreszcie żyć samodzielnie, bez planowania wesel, bez poplątanych romansów i rzeszy ojcymów. Tylko ja i przyszłość, nareszcie razem. Teraz wierzyłam w szczęśliwe zakończenie.

Lissa podkręciła radio, a wtedy muzyka disco z chórkami la-la-la w refrenie wypełniła przestrzeń. Podeszłam do garderoby i otworzyłam drzwi, zastanawiając się, co wybrać.

– Co wkładasz, żeby kogoś rzucić? – zapytała Lissa i okręciła pasmo włosów wokół palca. – Coś czarnego, na znak żałoby? Czy raczej radosnego i kolorowego,

żeby chłopak na chwilę zapomniał

o bólu? A może jakiś kamuflaż, żebyś mogła szybko zniknąć, w razie gdyby nie najlepiej to przyjęli?

– Myślę o czymś ciemnym i wyszczuplającym, z dekoltem – odparłam, wyciągając czarne spodnie. – Do tego czysta bielizna.

– Każdego zwykłego wieczoru tak się ubierasz.

– To jest zwykły wieczór – odparłam.

Wiedziałam, że mam w garderobie czystą czerwoną bluzkę, ale nie mogłam jej znaleźć tam, gdzie trzymałam koszulę. Innymi słowy, ktoś grzebał mi w ciuchach. Moja garderoba była taka jak wszystko: porządna i schludna. W domu zazwyczaj panował chaos i tylko w swoim pokoju mogłam organizować przestrzeń tak, jak chciałam, czyli porządnie, żeby szybko znaleźć to, co chcę. Może miałam lekką obsesję. No i co z tego? Przynajmniej nie byłam niechlujem.

– Nie dla Jonathana – mruknęła Lissa, a gdy na nią

spojrzałam, dodała: – Chodzi o to, że dla niego to ważny wieczór.

Zostanie porzucony, a nawet o tym nie wie. Pewnie je cheeseburgera albo czyści zęby nitką, albo odbiera ubranie z pralni chemicznej i nie ma o niczym pojęcia. Nawet nie przeczuwa, co się stanie.

Dałam sobie spokój z czerwoną bluzką i wyciągnęłam

koszulkę bez rękawów. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć Lissie.

Tak, beznadziejnie jest być porzuconym, ale brutalna szczerłość to chyba najlepsze rozwiązanie? Moim zdaniem należało przyznać wprost, że uczucie jest zbyt słabe, by zwracać komuś głowę. Tak naprawdę oddawałam Jonathanowi przysługę, zwracając mu

wolność, żeby znalazł sobie lepszą partię. Jak się nad tym zastanowić, to byłam wręcz święta.

Otóż to.

Pół godziny później podjechałyśmy pod Quik Zip, gdzie Jess już na nas czekała. Chloe jak zwykle była spóźniona.

– Hej – powiedziałam, podchodząc bliżej.

Jess opierała się o swój wielki, stary chevrolet z

poluzowanymi białkami i sączyła nasz ulubiony narkotyk, zip colę, z dużego kubka. Można ją było kupić już za 1,59 dolara i wykorzystać na mnóstwo sposobów.

– Chcę skittles! – zawołała Lissa, zatrząskując drzwiami. – A wy?

– Bezczukrową zip – odparłam i sięgnęłam po pieniądze, ale ona tylko pokręciła głową i weszła do sklepu. – Największą!

Skinęła głową, a drzwi zamknęły się za nią. Radosnym krokiem, z rękami w kieszeniach, ruszyła do działu ze słodyczami.

Była jedyną znaną mi osobą, która odróżniała Raisinets od rodzynek w czekoladzie – podobno naprawdę się różniły.

– Gdzie jest Chloe? – spytałam Jess, ale ona tylko wzruszyła ramionami, nadal popijając zip colę. – Znowu się spóźnia.

Uniosła brwi.

– Uspokój się, chorobliwa pedantko. – Potrząsnęła colą i lód zagrzecgotał w resztkę napoju. – Jest dopiero szósta.

Westchnęłam i oparłam się o jej auto. Nie znosiłam spóźniających, Chloe jednak zawsze była pięć minut za wszystkimi, i to w dobry dzień. Lissa zwykle przychodziła za wcześnie, a Jess, jak to Jess, zjawiała się punktualnie.

Przyjaźniłyśmy się od piątej klasy i jedynie na niej mogłam polegać.

Poznałyśmy się, gdyż ze względu na alfabetyczny system pani Douglas nasze ławki stały obok siebie. Z boku siedział Mike Scheman, który dłużej w nosie, potem Jess, potem ja, a na końcu Adam Struck z chorymi migdałkami. Po prostu musiałyśmy się zaprzyjaźnić, biorąc pod uwagę towarzystwo takich palantów.

Jess już wtedy była sporych rozmiarów: nie tyle gruba, ile raczej gruboścista, wysoka i szeroka. Jednym słowem, potężna.

W szkolnych czasach przerosła wszystkich chłopaków w klasie, brutalnie grała w zbijaka i potrafiła tak mocno przyłożyć piłką lekarską, że czerwony ślad nie znikał przez kilka godzin. Wiele osób uważało ją za wredną sukę, ale wcale taka nie była. Nie wiedzieli tego, co wiedziałam ja: tamtego lata zmarła mama Jess i zostawiła jej wychowanie dwóch młodszych braci, bo tata pracował na pełny etat w elektrowni. Wiecznie brakowało impienędzy, więc dzieciństwo Jess szybko się skończyło.

Osiem lat później, po przebrnięciu przez koszmarny gimnazjum i przyzwoite liceum, nadal byłyśmy blisko. Głównie dlatego, że tyle o niej wiedziałam – a Jess rzadko się zwierzała –

ale i dlatego, że nie dawała sobie wciskać kitu, co budziło mój szacunek.

– Popatrz, popatrz – oznajmiła beznamiętnie, krzyżując ręce na piersi. – Królowa przybyła.

Chloe zatrzymała się obok nas, zgasiła silnik mercedesa i opuściła osłonę z lusterkiem, żeby sprawdzić, jak się prezentuje jej makijaż. Jess westchnęła głośno, ale ją zignorowałam. Jej konflikt z Chloe nie był niczym nowym, teraz zauważaliśmy problemy tylko wtedy, gdy robiło się naprawdę cicho albo nudno.

Chloe wysiadła z auta, trzasnęła drzwiami i do nas podeszła.

Jak zwykle wyglądała świetnie: czarne spodnie, niebieska koszula, fajna kurtka, której dotąd nie widziałam. Matka Chloe była stewardesą i zakupoholiczką, a ta zabójcza kombinacja oznaczała dla Chloe najmodniejsze rzeczy z najlepszych sklepów. Była naszą małą trendsetterką.

– Hej. – Poprawiła włosy. – Gdzie Lissa?

Wskazałam brodą Quik Zip. Lissa stała przy kasie, zagadując młodego kasjera, który podliczał jej zakupy. Patrzyłyśmy, jak macha mi na pożegnanie i wychodzi z już otwartą torebką skittles.

– Kto ma ochotę?! – zawołała i uśmiechnęła się na widok Chloe. – Cześć! Ale superkurtka.

– Dzięki. – Chloe poprawiła kurtkę. – Nowa.

– Co za niespodzianka – mruknęła Jess sarkastycznie.

– Dietetyczna? – odgryzła się Chloe, wpatrzona w napój w dłoni Jess.

– Dobrze, już dobrze. – Pomachałam ręką. Lissa wręczyła mi moją colę i od razu wypiliśmy duży łyk, rozkoszując się smakiem tego nektaru bogów. – Jaki plan?

– O wpół do siódmej mam się spotkać z Adamem w Double

Burgerze. – Lissa wrzuciła pastylkę skittle do ust. – Potem dołączymy do was w Bendo czy gdzieś tam.

– A kto dziś gra w Bendo? – Chloe potrząsnęła kluczykami.

– Nie wiem – odparła Lissa. – Jakiś zespół. Jest jeszcze przyjęcie, na które możemy iść do Arbors, Matthew Ridgefield kupił gdzieś beczkę piwa, a Remy musi rzucić Jonathana.

Wszystkie wbiły we mnie wzrok.

– Niekoniecznie w tej kolejności – poprawiłam ją.

– Czyli Jonathan odpada – zaśmiała się Chloe, wyciągając papierosy z kieszeni kurtki.

Podsunęła mi paczkę, ale pokręciłam głową.

– Rzuciła – przypomniała jej Jess. – Nie pamiętasz?

– Bez przerwy rzuca – odparła Chloe i pochyliła się nad zapalką. – Co on ci zrobił, Remy? Wystawił cię? Wyznał miłość po grób?

Znowu pokręciłam głową, wiedząc, co się szykuje.

Jess uśmiechnęła się szeroko.

– Włożył niedopasowane ubranie – podsunęła.

– Palił w jej samochodzie – dodała Chloe. – Na pewno o to chodzi.

Lissa uszczypnęła mnie w ramię.

– A może powiedział coś niegramatycznie i spóźnił się

kwadrans – zasugerowała.

– O zgrozo! – wrzasnęła Chloe i wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

Stałam spokojnie i nie po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że dogadywały się tylko wtedy, gdy wspólnie przypuszczały na mnie atak.

– Bardzo śmieszne – oznajmiłam w końcu.

Może i faktycznie oczekiwałam zbyt wiele od związków, ale na miłość boską, przynajmniej miałam zasady. Chloe umawiała się wyłącznie ze studentami, którzy ją zdradzali. Jess unikała problemów, nie spotykając się z nikim Lissa... Cóż, Lissa była z facetem, z którym straciła dziewictwo, więc się nie liczyła. Nie zamierzałam jednak tego mówić.

– Okej, okej – powiedziała Jess. – To co robimy?

– Lissa pójdzie na spotkanie z Adamem – zaproponowałam.

– Ty, ja i Chloe pójdziemy do Punktu, a potem do Bendo. W porządku?

– Jasne – przytaknęła Lissa. – Zobaczymy się później.

Gdy odjeżdżała, a Chloe przestawiała auto na pobliski parking przed kościołem, Jess uniosła moją rękę i zmrużyła oczy.

– Co to? – zapytała. – Numer telefonu?

Opuściłam wzrok na dłoń i zobaczyłam na niej rozmazane czarne litery oraz cyfry. Przed wyjściem z domu miałam je wyszorować, ale zajęłam się czymś innym.

– Nic takiego – odparłam. – Spotkałam dzisiaj takiego jednego głupka.

– Ty podrywaczko – westchnęła Jess.

Wsiadłyśmy do jej samochodu, z przodu ja, z tyłu Chloe, która skrzywiła się, odsuwając wypchany po brzegi kosz na brudną bieliznę, futbolowy kask i nakolanniki braci Jess, ale nie skomentowała tego ani słowem. Chloe i Jess mogły za sobą nie przepadać, jednak Chloe wiedziała, gdzie leży nieprzekraczalna granica.

– Do Punktu? – zapytała Jess, uruchamiając silnik.

Skinęłam głową, a ona wrzuciła wsteczny i powoli wycofała się z parkingu. Włączyłam radio, Chloe zapaliła papierosa. Już miałyśmy wyjechać na drogę, kiedy Jess wskazała metalowy kosz przy dystrybutorach paliwa, jakieś siedem metrów od nas.

– Założymy się? – zapytała.

Wyciągnęłam szyję, oceniając odległość, po czym wzięłam do ręki prawie pusty kubek zip coli i nim potrząsnęłam.

– Jasne – odparłam – Dwa dolce.

– Łojezu – jęknęła demonstracyjnie Chloe. – Skoro już skończyliśmy liceum, chyba możemy to sobie darować?

Jess ją zignorowała. Podniosła kubek, wysunęła rękę za okno i płynnym ruchem rzuciła go ponad naszymi głowami i dachem samochodu. Patrzyłyśmy, jak kubek obraca się w powietrzu i ładuje dnem do dołu w koszu na śmieci, całkowicie nienaruszony, z pokrywką i rurką.

– Niesamowite – powiedziałam do Jess, a ona uśmiechnęła się do mnie. – Nie potrafię rozgryźć, jak to robisz.

– Możemy już jechać? – spytała Chloe.

– To kwestia pracy nadgarstka – wyjaśniła Jess. – Jak ze wszystkim.

Punkt, od którego zawsze rozpoczynałyśmy wspólne

wieczory, należał do Chloe. Jej rodzice rozwiedli się, gdy była w trzeciej klasie.

Ojciec Chloe wyjechał z nową dziewczyną, sprzedawszy wcześniej większość nieruchomości, które

zgrupował w mieście, gdy pracował jako deweloper. Zatrzymał

tylko jedną działkę na obrzeżach, za naszym liceum. Było to porośnięte trawą pole z ustawionym na nim batutem, który ojciec kupił Chloe na siódme urodziny.

Matka Chloe szybko pozbyła się batutu spod domu, bo nie pasował do jej angielskiego ogrodu, pełnego wystrzyżonych żywopłotów i kamiennych ławeczek.

W

rezultacie batut wylądował na działce, zupełnie zapomniany, dopóki nie nauczyłyśmy się prowadzić i nie zaczęłyśmy się rozglądać za jakimś ustronnym miejscem dla siebie.

Zawsze przesiadywałyśmy na batucie ustawionym pośrodku

pastwiska, z widokiem na niebo i gwiazdy. Nadal był elastyczny, więc jak któraś choćby drgnęła, reszta podskakiwała. Należało o tym pamiętać podczas nalewania drinków.

– Uważaj – mruknęła Chloe do Jess i wlała rumdo mojej coli.

Matka Chloe nieustannie przynosiła z pracy alkohol w małych buteleczkach i w rezultacie barek w domu Chloe wyglądał jak zaprojektowany dla karzełek.

– Odpręż się. – Jess skrzyżowała nogi i oparła się na dłoniach.

– Zawsze tak jest, kiedy brakuje Lissy. – Chloe otworzyła drugą buteleczkę dla siebie. – Zaburzenie równowagi obciążenia.

– Chloe, uspokój się – powiedziałam i pociągnęłam łyk podrasowanej coli.

Z grzeczności podałam napój Jess, która nie piła ani nie paliła, i zawsze siadała za kółkiem. Od tak dawna była matką dla swoich braci, że matkowała i nam.

– Miły wieczór – dodałam, a ona skinęła głową. – Trudno uwierzyć, że już po wszystkim.

– Bogu dzięki. – Chloe otarła usta wierzchem dłoni. – W samą porę.

– Wypijmy za to.

Przyłożyłam usta do jej buteleczki. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, wsłuchując się w ćwierkanie cykad.

– Dziwne, że wcale nie czuję się inaczej – odezwała się w końcu Chloe.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– O wszystko. Przecież na to czekałyśmy. Liceum się skończyło, a mimo to jest tak jak zawsze.

– Bo jeszcze nie zaczęło się nic nowego – zauważyła Jess, wpatrzona w niebo. – Pod koniec lata robi się inaczej.

Chloe znowu wyciągnęła buteleczkę, tym razem z ginem.

– Czekanie jest do dupy – oznajmiła. – Czekanie, aż coś się zacznie.

Pędzący drogą samochód minął nas, trąbiąc głośno. Właśnie dlatego lubiłyśmy spędzać czas w Punkcie: słyszałyśmy wszystko, a nikt nas nie widział.

– To taki czas przejściowy – zauważyłam – Minie szybciej, niż ci się wydaje.

– Oby.

Oparłam się na łokciach i popatrzyłam na różowawe, przetykane czerwienią niebo. Tę porę, przemianę zmierzchu w mrok, znałyśmy najlepiej. Chyba zawsze czekałyśmy tu na nadejście nocy. Czułam, jak batut się



ugina. Na przemian zbliżaliśmy się do nieba i oddalaliśmy się od niego, patrząc na powoli gasnące barwy i coraz lepiej widoczne gwiazdy.

Zanim dotarłyśmy do Bendo, zrobiła się dziewiąta i czułam się przyjemnie wstawiona. Po zaparkowaniu spojrzaliśmy, który ochroniarz pilnuje klubu.

– Doskonale. – Popatrzyłam w lusterko, żeby sprawdzić makijaż. – To Rodney.

– Gdzie moja legitymacja? – Chloe zaczęła szperać po kieszeniach. – Dopiero co ją widziałam.

– Może w staniku? – zasugerowałam.

Zamrugnęła, wsadziła rękę pod koszulę i wyciągnęła dokument. Chloe wszystko trzymała w staniku: legitymację, pieniądze, zapasowe klamki do włosów. W razie potrzeby wyciągała przedmioty jak króliki z cylindra.

– Bingo. – Włożyła dokument do kieszonki.

– Z klasą – mruknęła Jess.

– I kto to mówi – odgryzła się Chloe. – Ja przynajmniej noszę stanik.

– A ja przynajmniej powinnam nosić.

Chloe zmrużyła oczy. Miała niewielki biust i była na tym punkcie bardzo przewrażliwiona.

– A ja przynajmniej...

– Dość – przerwałam im – Idziemy.

Rodney popatrzył na nas ze swojego stołka przy drzwiach.

Do Bendo można było wchodzić od osiemnastego roku życia, ale my zjawialiśmy się tu od drugiej klasy liceum, pokazując podrabiane dokumenty. Zwykle nie miałyśmy problemu z

otrzymaniem pieczętki przy drzwiach, zwłaszcza gdy dyżur pełnił Rodney.

– Remy, Remy – powiedział, gdy sięgnęłam do kieszeni po fałszywkę.

Widniało na niej moje imię i nazwisko, moje zdjęcie i data urodzenia mojego brata, żebym w razie konieczności zdołała z pamięci wyrecytować dane.

– Jak to jest skończyć liceum? – zapytał.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Uśmiechnęłam się do niego.

– Przecież wiesz, że studiuję.

Ledwie raczył zerknąć na legitymację. Wziął mnie za rękę i postawił na niej stempel, przy okazji lekko mnie głaszcząc.

Obrzydliwe.

– Na jakim kierunku?

– Literatura angielska – odparłam – Ale studiuję też biznes.

– Możesz mi zrobić biznes – zarechotał.

Wziął dowód tożsamości Chloe i jej również postawił stempel. Była szybsza ode mnie, błyskawicznie cofnęła rękę, więc udało się jej uniknąć głaskania.

– Dupek z ciebie – poinformowała go Jess, ale tylko wzruszył ramionami.

Gestem pokazał, żebyśmy weszły do środka, już wpatrzony w następną grupkę dziewczyn.

– Czuję się brudna – mruknęła Chloe.

– Poprawi ci się po piwie – oznajmiłam.

Lokal był już zatłoczony. Kapela jeszcze się nie zjawiała, ale bar oblegały dwa rzędy klientów. Wszędzie unosiły się kłęby dymu papierosowego i zalatywało potem

– Znajdę stolik! – zawołała Jess, a ja skinęłam głową.

Razem z Chloe ruszyłam do baru, przepychając się przez tłum, aż znalazłyśmy dobre miejsce przy kranikach.

Podniosłam się na łokciach i zamachałam na barmana, kiedy nagle ktoś otarł się o mnie. Usiłowałam się odsunąć, jednak panował straszny ścisk, więc tylko się skuliłam, przyciskając ręce do boków. Wtedy usłyszałam przyciszony głos w swoim uchu.

– O, znów się spotykamy.

Lekko odwróciłam głowę i ujrzałam chłopaka z salonu. Miał na sobie czerwoną koszulkę reklamującą proszek do prania („To nie jest zwykła świeżość – to świeżość Mountain Fresh!”) i uśmiechał się do mnie.

– Boże – mruknęłam

– Dexterze – poprawił mnie.

Wyciągnął rękę, którą zignorowałam, rozglądając się w poszukiwaniu Chloe. Ona jednak właśnie usiłowała uporać się z nieznanym mi facetem w koszuli w szkocką kratę.

– Dwa piwa! – krzyknęłam do barmana, który w końcu mnie dostrzegł.

– Trzy! – zawołał Dexter.

– Nie jesteś ze mną – zauważyłam.

– Ściśle rzecz biorąc, masz rację – przyznał i wzruszył

ramionami. – Ale to się może zmienić.

– Posłuchaj – odezwałam się, gdy barman postawił przede mną trzy plastikowe kubki. – Nie jestem...

– Widzę, że masz mój numer – przerwał mi chłopak i chwycił jedno z piw.

Położył na ladzie dychę, czym poprawił swój wizerunek w moich oczach, ale minimalnie.

– Nie miałam okazji go usunąć – odparłam.

– Zrobię na tobie wrażenie, jeśli powiem, że gram w zespole?

– Nie.

– W ogóle? – Uniósł brwi. – Myślałem, że laski uwielbiają muzyków.

– Po pierwsze, nie jestem laską. – Wzięłam piwo do ręki. –

Po drugie, mam pewną zasadę dotyczącą muzyków.

– Jaką? – zainteresował się.

Zaczęłam się przepychać przez tłum, kierując się ku Chloe.

– Żadnych muzyków.

– Mógłbym napisać dla ciebie piosenkę – zaproponował i ruszył za mną.

Szłam tak szybko, że piwo się wylewało. Nie chciałam, żeby mnie dogonił.

– Nie potrzebuję piosenki od ciebie.

– Przecież każda dziewczyna marzy o piosence dla siebie!

– Jestem wyjątkiem – Postukałam Chloe po ramieniu.

Odwróciła się do mnie z flirciarską miną – miała szeroko otwarte oczy i rumieńce.

Podaliśmy jej piwo.

– Idę poszukać Jess – oznajmiłam.

– Pójdę z tobą. – Chloe pomachała do faceta, z którym rozmawiała.

Stuknięty muzyk nadal szedł za mną, nie przestając gadać.

– Uważam, że mnie lubisz – oświadczył, gdy nastąpiłam komuś na stopę.

– Ani trochę.

W końcu udało mi się dostrzec Jess w narożnym boksie.

Podpierała głowę dłonią, wyraźnie znudzona. Na mój widok uniosła obie ręce, jakby chciała spytać: „No co jest, do cholery?” ale ja tylko wzruszyłam ramionami.

– Kim jest ten facet? – zapytała mnie Chloe.

– Nikim – burknęłam.

– Dexter. – Odwrócił się i podał jej rękę. – Co u ciebie?

– W porządku – odparła niepewnie. – Remy?

– Idź, nie zwracaj na niego uwagi! – zawołałam, omijając dwóch facetów z dredami. – W końcu się znudzi.

– Oj, człowieku małej wiary – powiedział radośnie. –

Dopiero zaczynam.

Pojawiliśmy się przy boksie jednocześnie: ja, muzyk Dexter i Chloe. Brakowało mi tchu, Chloe wydawała się zdezorientowana, a Dexter po prostu usiadł obok Jess i znowu wyciągnął rękę.

– Cześć, jestem z nimi – oznajmił.

Jess popatrzyła na mnie, ale byłam zmęczona, więc tylko usiadłam naprzeciwko i upiłam spory łyk piwa.

– Ja jestem z nimi – oznajmiła Jess. – Ale nie z tobą. Jak to możliwe?

– Cóż, wiąże się z tym ciekawa historia – powiedział.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– On chce wam to opowiedzieć – wymamrotałam w końcu.

– No właśnie. – Rozparł się wygodnie. – Byłem dziś w salonie samochodowym i zobaczyłem tę dziewczynę, tak jak czasem dostrzega się kogoś w tłumie. Chwila prawdy, rozumiecie.

Przewróciłam oczami.

– Czyżby chodziło o Remy? – zapytała Chloe.

– Zgadza się, o Remy. – Uśmiechnął się, powtarzając moje imię.

Potem, jakbyśmy byli szczęśliwymi nowożeńcami, którzy relacjonują nieznanym przebieg swojej historii, dodał:

– Chcesz opowiedzieć, co było dalej?

– Nie – odparłam głucho.

– No więc tak. – Trzasnął dłonią o blat tak mocno, że kubki z piwem podskoczyły. – Jestem człowiekiem czynu, więc usiadłem obok niej i przedstawiłem się.

Chloe spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Coś podobnego – mruknęła.

– Mógłbyś już sobie iść? – spytałam, gdy muzyka w lokalu ucichła, a na scenie ktoś popukał w mikrofon i powiedział „razdwatrzy”.

– Obowiązki wzywają. – Dexter wstał i przesunął swoje niedokończone piwo w moim kierunku. – Zobaczymy się później?

– Nie.

– No dobra! To pogadamy później. – Po chwili zniknął w tłumie.

Przez pewien czas siedziałyśmy w milczeniu. Dokończyłam piwo, zamknęłam oczy i przyłożyłam kubek do skroni. Dlaczego byłam tak potwornie zmęczona?

– Remy – odezwała się w końcu Chloe. – Masz sekrety.

– Nie mam. To kompletna bzdura. Zupełnie o tym zapomniałam.

– Za dużo gada – oświadczyła Jess.

– Podobała mi się jego koszulka – wyznała Chloe. – Interesujący gust.

W tym samym momencie Jonathan usiadł obok mnie.

– Witampanie – powiedział i objął mnie w talii.

Potem sięgnął po piwo stukniętego muzyka, myśląc, że jest moje, i wypił duży łyk. Powstrzymałabym go, tyle że to, co zrobił, stanowiło część problemu.

Nienawidziłam, kiedy faceci traktowali mnie jak swoją własność, a Jonathan zachowywał się tak od samego początku. Też właśnie skończył liceum i w sumie był miły, ale gdy tylko zaczęliśmy się spotykać, od razu chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Stopniowo wdarł się w moją przestrzeń: palił moje papierosy, bez pytania używał mojej komórki i czuł się bardzo swobodnie w moim aucie, co powinno być dla mnie

ostatecznym ostrzeżeniem. Nie znoszę, kiedy ktoś

przeprogramuje stacje w moim radiu i podbiera mi drobniaki, a Jonathan przekroczył wszelkie granice – postanowił sam

prowadzić moje auto, choć zaliczył już niejedną stłuczkę i nzbierał cały plik mandatów za przekroczenie prędkości.

Najgłupsze jest to, że mu pozwalałam, bo kierowałam się miłością (mało prawdopodobne) albo pożądaniem (możliwe). Potem zaczął

oczekiwać, że zawsze będę jeździła jako pasażerka we własnym samochodzie. W końcu zrobił się z niego ultramacho – nieustannie oblaśniał mnie publicznie i bez pytania pił moje piwo.

– Muszę na sekundę wrócić do domu – oznajmił, pochylając się ku mnie.

Teraz trzymał dłoń na moim kolanie.

– Chodź ze mną, co? – zaproponował.

Skinęłam głowę, a on skończył piwo i odstawił kubek.

Jonathan lubił imprezować i z tym też miałam problem. To znaczy, piłam, ale on się uchlewał i rzygał. Byliśmy ze sobą od pół roku i sporą część tego czasu poświęciłam na wystawanie przed łazienką w oczekiwaniu, aż Jonathan skończy wymiotować i będziemy mogli wrócić do domu.

Wyśliznął się z boksu i chwycił mnie za rękę.

– Niedługo wracam – powiedziałam do Jess i Chloe.

W tej samej chwili tłum oddzielił mnie od Jonathana.

– Nie wierzę, że pozwoliłaś mu wypić piwo tego faceta – oświadczyła Chloe.

Odwróciłam się. Jonathan zerkał na mnie niecierpliwie.

– Facet już jest trupem – skomentowała Jess cicho, a Chloe parsknęła śmiechem.

– Cześć – oznajmiłam i przepchnęłam się między ludźmi, żeby Jonathan znowu mógł mnie pochwycić.

– Musimy pogadać. – Odepchnęłam go.

– Teraz?

– Tak.

Westchnął i usiadł na łóżku, opierając głowę o ścianę.

– Okej – powiedział takim tonem, jakby zgadzał się na leczenie kanałowe. – Mów.

Przykłękałam na materacu i obciągnęłam koszulkę.

„Wpadnięcie na sekundę” zmieniło się w „muszę zadzwonić w parę miejsc”, a potem Jonathan przygwoździł mnie do poduszek, zanim w ogóle zaczęłam go rzucać. Teraz jednak przykułam jego uwagę.

– Chodzi mi o to, że teraz wszystko się zmieni – zaczęłam.

To był mój stały wstęp. Przez lata nauczyłam się, że podczas zrywania należy zastosować jedną z kilku technik. Istniały różne typy facetów: niektórzy się wkurzali, inni jęczeli i płakali, jeszcze inni byli zimni i obojętni, jakby nie mogli się doczekać, kiedy znikniesz im z oczu. Doszłam do wniosku, że Jonathan należy do tej ostatniej grupy, ale nie miałam pewności.

– No więc myślę sobie...

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu, elektroniczny wrzask, i znowu straciłam wątek. Jonathan złapał komórkę.

– Halo?

Usłyszałam parę „uhm”, kilka „tak”, a potem wstał i wyszedł do łazienki, coś tam mamrocząc.

Przyczesalam palcami włosy, wściekła, że przez cały wieczór nic nie wychodziło jak trzeba. Przeciagnęłam się z rękami nad głowę, a potem przejechałam palcami po krawędzi materaca od strony ściany. Wtedy na coś natrafiłam.

Gdy Jonathan zakończył rozmowę, przejrzał się w lustrze i wrócił do sypialni, siedziałam po turecku, a przede mną leżała para czerwonych majtek od bikini (wyciągnęłam je przez chusteczkę; nigdy w życiu bym ich nie dotknęła ręką). Jonathan wparował ze swadą, ale na widok majtek zamarł.

– Eee – wymamrotał zdumiony, jednak szybko się opanował.

– Ale co...

– Co to jest, do cholery? – zapytałam spokojnie.

– To nie twoje?

Popatrzyłam na sufit, kręcąc głową. Akurat włożyłabym takie tandetne gacie z czerwonego poliestru. Mam przecież swoje zasady. Tylko czy na pewno? Wystarczyło spojrzeć, na kogo zmarnowałam ostatnie pół roku.

– Jak długo? – zapytałam

– Co?

– Jak długo sypiasz z inną?

– To nie...

– Jak długo? – wycedziłam

– Wcale nie...

– Jak długo?

Przełknął ślinę i przez chwilę był to jedyny słyszalny w pokoju dźwięk. – Od paru tygodni – odparł.

Wyprostowałam się i przycisnęłam palce do skroni. Super, po prostu super. Nie tylko mnie zdradził, ale jeszcze inni mieli się o tym dowiedzieć i traktować mnie jak ofiarę losu. To mnie wkurzało najbardziej. Biedna, biedna Remy. Miałam ochotę go zabić.

– Ty palancie – warknęłam

Jonathan poczerwieniał. Był roztrzęsiony, a ja uświadomiłam sobie, że gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, okazałby się beksą albo jęczybułą. Zdumiewające. Nigdy nie wiadomo.

– Remy, pozwól...

Wyciągnął rękę i dotknął mojego ramienia, ale nareszcie mogłam zrobić to, co chciałam. Odsunęłam się, jakby mnie oparzył.

– Nie dotykaj mnie – syknęłam.

Chwyciłam kurtkę, przewiązałam ją w tali i ruszyłam do wyjścia, a on za mną. Idąc przez dom, zatrzaśkiwałam jedne drzwi po drugich, aż w końcu wypadłam na chodnik w takim tempie, że zanim się zorientowałam, byłam już przy skrzynce na listy.

Czułam, że patrzy na mnie ze schodów, gdy odchodziłam, ale nie wołał i nic nie mówił. Nie żeby chciała albo zmieniała zdanie. Po prostu większości facetów przyzwoitość nakazałaby choć

spróbować.

I tak szłam, wkurzona na maksa, bez samochodu, w pierwszą dorosłą piątkową noc. Po liceum, w prawdziwym świecie. Miłe powitanie.

– Gdzieś ty była, do cholery? – spytała Chloe, gdy dwadzieścia minut później wróciłam autobusem do Bendo.

– Nie uwierzysz... – zaczęłam.

– Nie teraz. – Chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na zewnątrz, gdzie Jess siedziała w swoim samochodzie. – Manya kryzys.

Kiedy podchodziłam, początkowo nawet nie dostrzegłam

Lissy. Kuliła się na siedzeniu z tyłu, ściskając papierowe ręczniczki, takie z publicznych łazienek. Szlochała, a jej twarz była zalana łzami i czerwona.

– Co się stało, do cholery? – zapytałam, siadając obok niej.

– Adam ze mną... ze mną zerwał – wydusiła z siebie, z trudem chwytając powietrze. – Rzu... rzucił mnie.

– O Boże – jęknęłam.

Chloe usiadła na fotelu z przodu i zatrzaśnęła drzwi. Jess spojrzała na mnie i pokręciła głową.

– Kiedy?

Lissa odetchnęła i znowu zalała się łzami.

– Nie mogę... – wybełkotała, ocierając twarz ręczniczkiem –

Nie mogę nawet...

– Dzisiaj wieczorem, kiedy pojechała po niego po pracy –

wyjaśniła Chloe. – Odwiozła go do domu, żeby wziął prysznic, i tamto zrobił.

Bez ostrzeżenia.

– Musiałam minąć jego ro... rodziców – dodała Lissa i



pociągnęła nosem – A oni wiedzieli. Patrzyli na mnie jak na skopanego psa.

– Co mówił? – zapytałam.

– Powiedział jej, że chce się nacieszyć wolnością –

oświadczyła Chloe, która najwyraźniej wczuła się w rolę rzeczniczki. – Bo są wakacje, skończyli liceum, a on nie chce, żeby cokolwiek ominęło ich na studiach. Podobno pragnie mieć pewność...

– ...że oboje wy... wykorzystamy nasze życie w pełni – dokończyła za nią Lissa, ocierając oczy.

– Zastraniec – warknęła Jess. – Lepiej ci będzie bez niego.

– Ale ja go ko... Kocham! – zawyła Lissa, a ja ją objęłam.

– W porządku – powiedziałam.

– Nie miałam pojęcia... – Odetchnęła z trudem i rzuciła ręczniczek na podłogę. – Jak mogłam się nie domyślić?

– Lissa, nic ci się nie stanie – powiedziała cicho Chloe.

– Jestem jak Jonathan. – Lissa oparła się o mnie. – Tak sobie żyliśmy, jeździliśmy do pralni...

– Co? – zdumiała się Jess.

– ...całkiem nieświadomi, że dziś zostaniemy po...

porzuceni – dokończyła Lissa.

– Ano właśnie. – Chloe spojrzała na mnie. – Jak poszło?

– Nie pytaj – mruknęłam.

Lissa teraz ryczała na całego, z twarzą na moim ramieniu.

Nad głową Chloe widziałam, że Bendo jest pełne ludzi, a przed wejściem ustawiła się kolejka.

– Zjeżdżajmy stąd – powiedziałam do Jess, a ona skinęła głową. – Ten wieczór i tak był beznadziejny.

Chloe poprawiła się na fotelu, a Jess uruchomiła silnik. Lissa szlochała cicho, oparta o mnie. Gdy wyjeżdżałyśmy, klepałam ją po głowie, dobrze wiedząc, jak bardzo boli ten pierwszy raz.

Naturalnie, znów musiałyśmy kupić napoje. Potem Chloe odjechała, a Jess skręciła na jezdnię, żeby podrzucić mnie i Lisę do mojego domu.

Już miałyśmy zjechać w naszą ulicę, kiedy nagle Jess zwolniła.

– Adam – powiedziała do mnie bardzo cicho.

Zerknęłam w lewo i faktycznie, Adam stał z przyjaciółmi na parkingu przed Coffee Shack. Wkurzyło mnie, że się uśmiecha.

Palant.

Zerknęłam na Lissę: leżała z tyłu z zamkniętymi oczami, słuchając radia.

– Podjedź tam – powiedziałam do Jess. – Liss?

– Tak?

– Nie ruszaj się, dobra? Leż tak, jak leżysz.

– Okej – zgodziła się niepewnie.

Jechałyśmy powoli.

– Ty czy ja? – spytała Jess.

– Ja. – Wypiłam łyk napoju. – To mi dobrze robi.

Jess nieco mocniej nacisnęła pedał gazu.

– Gotowa?

Skinęłam głową, waząc kubek w dłoni. Nadawał się.

Jess znowu dodała gazu, a kiedy Adam na nas spojrział, nie miał już szans.

To nie był najlepszy rzut, ale i nie najgorszy. Kubek pofunął

lekko i obrócił się w powietrzu, a Adam dostał w potylicę.

Bezcukrowa cola z lodem zalała mu plecy.

– Niech to szlag! – wrzasnął za nami. – Lissa! Cholera!

Remy! Ty pipo!

Nadal się darł, kiedy traciłam go z oczu.

Gdy Lissa zjadła półtorej paczki oreo, wypaliła cztery

papierosy i zużyła tyle chusteczek, że wystarczyłoby ich do osuszenia całego świata, w końcu zdołałam położyć ją do łóżka.

Zasnęła natychmiast, pochrapując, z kołdrą owiniętą wokół nóg.

Wzięłam koc oraz poduszkę i poszłam do garderoby, gdzie rozłożyłam się na podłodze. Z tego miejsca widziałam Lissę, więc upewniłam się, że mocno śpi, i przesunęłam pudła z butami na prawo, żeby wyjąć z kąta ukryte zawiniątko.

To był okropny wieczór. Nie robiłam tego często, ale czasem po prostu nie dało się inaczej. Nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Zwinęłam się w kłębek i okryłam kocem, po czym

rozłożyłam ręcznik i wyciągnęłam z niego przenośny odtwarzacz CD oraz słuchawki. Po zgaszeniu światła nastawiłam siódmy utwór. W garderobie miałam świetlik i gdy się odpowiednio ułożyłam, widziałam w nim księżyc, a czasami nawet gwiazdy.

Piosenka zaczęła się powoli, kilkoma akordami gitarowymi, a po chwili rozległ się tak dobrze znany mi głos i usłyszałam słowa, których nauczyłam się na pamięć. Coś dla mnie znaczyły, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć.

*Moja kołysanka to ledwie kilka słów*

*I parę prostych akordów*

*Tu, w gościnnym pokoju jest cicho,*

*Ale ty ją słyszysz dobrze*

*Dokądkolwiek pójdziesz.*

*Nawet jeśli sprawię ci zawód*

*Moja kołysanka będzie ci towarzyszyć...*

Zasnęłam wsłuchana w jego głos, jak zawsze. Za każdym razem

### **Rozdział trzeci**

– Auuuuuuuuu!

– A niech to szlag!

– Matko przenajświętsza!

Dwie czekające na manikiur kobiety popatrzyły na siebie, a potem na mnie.

– Depilacja bikini woskiem – wyjaśniłam.

– Oj – mruknęła jedna i ponownie pochyliła się nad czasopismem.

Druga siedziała nieruchomo, nadstawiając uszu jak pies

myśliwski w oczekiwaniu na następny wrzask. Pani Michaels, która przysłała na comiesięczną wizytę, nie sprawiła jej zawodu.

– O materdeju!

Pani Michaels była żoną jednego z miejscowych pastorów i kochała Boga niemal równie mocno jak swoje bezwłose ciało.

Pracowałam w Joie Salon od roku i słyszałam więcej przekleństw z zaplecza, gdzie Talinga robiła depilację woskiem, niż ze wszystkich innych pomieszczeń razem wziętych. Panie nie wrzeszczały tak głośno nawet po złych manikiurach i schrzanionym strzyżeniu. Nieco spokojniej zachowała się też pewna kobieta, której skóra w wyniku zabiegu okładania glonami przybrała żółtawozieloną barwę.

Joie nie było najgorszym salonem. Po prostu w kwestii wyglądu nie da się uszczęśliwić wszystkich, zwłaszcza kobiet.

Dlatego właśnie Lola, właścicielka Joie, dała mi podwyżkę w nadziei, że zamiast wyjechać do Stanfordu, za zawsze zostanę recepcjonistką. Umiałam zapanować nad ludźmi, a ona to ceniła.

Znalazłam sobie pracę, gdyż zapragnęłam auta. Matka

proponowała, że da mi swoje, ładną toyotę camry, a sobie kupi nowe, ale wolałam sama na nie zarobić. Kochałam matkę, lecz już dawno temu nauczyłam się, że nie należy wchodzić w nią w więcej układów niż to konieczne. Jej kaprysy były legendarne i bez skrupułów mogłaby odebrać mi samochód, gdyby tylko uznała, że nowe auto wcale się jej nie podoba.

Spustoszyłam rachunek oszczędnościowy, na którym odkładałam drobne za pilnowanie dzieci oraz pieniądze gwiazdkowe, gromadzone przeze mnie od niepamiętnych czasów, a następnie zorientowałam się w sytuacji na rynku i poszłam do salonu. Omal nie padłam, kiedy sprzedawca wmawiał mi rozmaite głupoty, ale w końcu zdobyłam taki samochód, jaki chciałam: nową hondę civic z szyberdachem oraz automatycznym wszystkim za cenę o wiele niższą niż sugerowana przez producenta. W dniu, w którym odebrałam hondę, przyjechałam do Joie i wypełniłam podanie o pracę, gdyż jakiś tydzień wcześniej w witrynie salonu pojawił się napis: „Potrzebna recepcjonistka”. W ten sposób zdobyłam pracę i pieniądze na spłatę rat za samochód, i to jeszcze przed ostatnim rokiem nauki w liceum.

Teraz, gdy pani Michaels wyłaniała się z zaplecza, zadzwonił telefon. Początkowo szokowało mnie, jak źle kobiety wyglądają po zabiegu: kojarzyły się z ofiarami wojny albo pożaru. Pani Michaels podeszła sztywno – depilacja bikini jest wyjątkowo brutalna – do mojego biurka.

– Joie Salon – powiedziałam do słuchawki. – Remy przy telefonie.

– Witaj, Remy, tu Lauren Baker – oznajmiła pośpiesznie kobieta po drugiej stronie. Pani Baker zawsze trajkotała tak, jakby brakowało jej tchu. – Koniecznie musisz umówić mnie dzisiaj na manikiur. Carl ma ważnego klienta, więc jedziemy do La Corolla, a w tym tygodniu zdzieralam farbę ze stolika kawowego, więc moje dłonie są...

– Chwileczkę – przerwałam jej rzeczowym głosem i wcisnęłam guzik oczekiwania.

Pani Michaels skrzywiła się, wyciągając portfel, i podsunęła mi złotą kartę kredytową.

– Razem to będzie siedemdziesiąt osiem, proszę pani.

Pokiwała głową, a ja przesunęłam kartę przez czytnik i zwróciłam ją pani Michaels. Miała wściekle czerwoną twarz, a okolice jej brwi wyglądały jak zdarte do żywego mięsa. Podpisała potwierdzenie i popatrzyła na

siebie w lustrze, krzywiąc się raz jeszcze.

– Wielkie nieba – mruknęła. – W takim stanie chyba nie mogę iść na pocztę.

– Nonsens! – oświadczyła Talinga. Przyszła rzekomo z jakiegoś ważnego powodu, ale tak naprawdę po to, żeby sprawdzić, czy dostała wystarczająco wysoki napiwek i czy na pewno trafił do jej koperty. – Nikt nie zauważy. Widzimy się za miesiąc, tak?

Pani Michaels pomachała palcami, po czym sztywno ruszyła do drzwi. Gdy znalazła się na chodniku, Talinga złapała kopertę, przeliczyła banknoty, wymamrotała coś pod nosem i opadła na krzesło.

Ponownie wcisnęłam guzik przy telefonie. Zanim jeszcze się odezwał, dobiegło mnie dyszenie pani Baker.

– Zobaczmy... Mogę wcisnąć panią na piętnastą trzydzieści, ale musi pani zjawić się punktualnie, bo Amanda zaczyna następny zabieg równo o czwartej.

– Piętnastą trzydzieści? – powtórzyła pani Baker. –

Wolałabym wcześniej, bo mam ten...

– Wpół do czwartej – przerwałam jej. – Tylko ta godzina wchodzi w grę.

Zapadła cisza, a po chwili znów usłyszałam niespokojne dyszenie.

– Będę o wpół do czwartej – powiedziała w końcu pani Baker.

– W porządku. Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i ją zapisałam, a Talinga posłała mi wymowne spojrzenie.

– Ale z ciebie twardzielka – mruknęła.

Wzruszyłam ramionami. Tak naprawdę radziłam sobie z tymi kobietami, gdyż większość z nich przywykła do tego, że ma wszystko, i myślała tylko o sobie, a ja dobrze to przećwiczyłam z własną matką. Chciały naginać zasady, dostawać różne rzeczy za darmo, odbierać innym terminy wizyt i nadal cieszyć się miłością otoczenia. Dobrze się sprawdzałam na swoim stanowisku, bo od dzieciństwa przywykłam do takich zachowań.

W ciągu następnej godziny wprowadziłam na manikiur obie czekające kobiety, zamówiłam lunch dla Loli, uporządkowałam rachunki z poprzedniego dnia, a między dwiema depilacjami brwi i jedną pach wysłuchałam szczegółowej do bólu opowieści Talingi o jej ostatniej randce w ciemno. O drugiej zrobiło się trochę luźniej, więc

mogłam sobie spokojnie posiedzieć przy biurku, popijając bezcukrową colę i gapiąc się na parking.

Salon Joie mieścił się w rzędzie przydrożnych sklepów zwanych Mayor's Village. Betonowy budynek wznosił się obok autostrady, lecz rosły tu ładne drzewa i stała fontanna, dzięki czemu całość prezentowała się całkiem elegancko. Po prawej był

Mayor's Market z ekologiczną żywnością, a nieopodal znajdowały się kawiarnia Jump Java, sklep z płytami DVD, bank i fotograf.

Nagle zobaczyłam, że na parking wjeżdża zniszczona biała furgonetka. Zatrzymała się przed sklepem zoologicznymi wysiadło z niej trzech chłopaków, mniej więcej w moim wieku, w koszulach, krawatach i džinsach. Przez chwilę o czymś gadali, a potem się rozeszli, każdy do innego sklepu. Niski rudzielec ruszył do nas, po drodze wpychając koszulę w spodnie.

– O rany – mruknęłam – Mormoni.

Chociaż przy wejściu do salonu wisiała bardzo gustowna tabliczka z napisem „Akwizytorom dziękujemy”, to i tak musiałam przeganiać ludzi sprzedających batoniki i Biblie. Łyknęłam coli, przygotowując się na konfrontację.

– Dzień dobry – powiedział chłopak i podszedł do mnie.

Miał mnóstwo piegów, jak większość rudzielców, ale i ładne zielone oczy oraz miły uśmiech. Przy bliższej inspekcji okazało się jednak, że na jego rzekomo eleganckiej koszuli, która teraz wyglądała jak z lumpeksu, widnieje spora plama. Krawat był

przyczepiany, co rzucało się w oczy.

– Dzień dobry – odparłam – Czym mogę służyć?

– Zastanawiałem się, czy nie szukacie pracowników.

Popatrzyłam na niego. W Joie nie pracowali żadni mężczyźni. To nie była decyzja Loli, po prostu faceti raczej nie pchali się do takiej roboty. Kiedyś mieliśmy jednego fryzjera, Erica, ale na początku roku przeniósł się do konkurencyjnego Sunset Salon i zabrał ze sobą jedną z naszych najlepszych manikiurzystek. Od tamtego czasu królował tu estrogen.

– Nie – odparłam

– Na pewno?

– Na pewno.

Nie wydawał się przekonany, ale wciąż się uśmiechał.

– A może wypełniłbym podanie, gdyby pojawiło się wolne stanowisko? – zasugerował.

– Jasne.

Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam druczek, który podałam mu razem z długopisem

– Dziękuję.

Usiadł w kącie przy oknie. Patrzyłam, jak pisze swoje nazwisko, a potem marszczy brwi, zastanawiając się nad odpowiedziami.

– Remy! – zawołała Lola, wchodząc do poczekalni. –

Przyszła dostawa z Redkena?

– Jeszcze nie – odparłam.

Lola była dużą kobietą i miłośniczką obcisłych, kolorowych ciuchów. Miała donośny śmiech, który pasował do jej sylwetki, i budziła taki respekt i strach w klientkach, że nigdy nie przychodziły tu ze zdjęciami. To ona podejmowała decyzje.

Teraz popatrzyła na chłopaka w kącie.

– Po co przyszedłeś? – zapytała.

Spojrzał na nią bez lęku, co wzbudziło mój podziw.

– Ubiegam się o pracę – odparł.

Lola zmierzyła go wzrokiem.

– To przypinany krawat?

– Tak, proszę pani. – Skinął głową. – Jak najbardziej.

Popatrzyła na mnie, a potem znówu na niego i wybuchnęła śmiechem.

– Mój Boże, spójrz tylko na tego chłopca. Chcesz dla mnie pracować?

– Tak, proszę pani. – Był tak grzeczny, że widziałam, jak szybko zyskuje punkty u Loli. Przywiązywała wielką wagę do szacunku.

– Potrafisz robić manikiur?

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, ale szybko się uczę.

– A depilować bikini?

– Nie.

– Obcinać włosy?

– Nie, na pewno nie.

Lola uśmiechnęła się do niego.

– Skarbie, jesteś kompletnie bezużyteczny – powiedziała w końcu.

– Moja mama też to zawsze powtarza – odparł, kiwając głową. – Ale gram w zespole i musimy dzisiaj znaleźć pracę, więc staram się o cokolwiek.

Lola znów wybuchnęła śmiechem, który brzmiał tak, jakby dobiegał z głębi jej brzucha.

– Grasz w zespole?

– Tak, proszę pani. Przyjechaliśmy z Wirginii na lato.

Musimy znaleźć sobie zajęcie, więc przyjechaliśmy tutaj.

Pomyślałam, że jednak nie są mormonami, tylko muzykami.

Jeszcze gorzej.

– A na czym grasz? – zapytała Lola.

– Na perkusji.

– Jak Ringo?

– Właśnie tak. – Wyszczrzył zęby i dodał ciszej: – Zawsze wyganiają ruzdzielców do tyłu. Inaczej kobiety nie dawałyby mi spokoju.

Lola zaśmiała się tak głośno, że Talinga i Amanda, jedna z manikiurzystek, zajrzały do poczekalni.

– Co się dzieje? – zapytała Amanda.

– O Boże, czy to przypinany krawat?! – wykrzyknęła Talinga.

– Posłuchaj, nic dla ciebie nie mamy – powiedziała Lola, kiedy się uspokoiła. – Ale chodź ze mną do kawiarni, załatwię ci pracę. Dziewczyna stamtąd jest mi winna przysługę.

– Poważnie?

– Tak. – Skinęła głową. – Tylko się pośpiesz, nie mam całego dnia.

Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że długopis spadł na podłogę. Chłopak pochylił się, żeby go podnieść, po czym zwrócił mi podanie.

– Tak czy owak, dziękuję. – Spojrzał na mnie.

– Nie ma sprawy.

– Idziemy, Ringo! – krzyknęła Lola od drzwi.

Uśmiechnął się i przysunął do mnie odrobinę bliżej.

– Wiesz, on ciągle o tobie gada – powiedział.

– Kto?

– Dexter.



Naturalnie. Co za pech – Dexter nie tylko grał w zespole, ale w tym samym zespole.

– Ale dlaczego? – zapytałam – Przecież nawet mnie nie zna.

– Nieważne. – Wzruszył ramionami. – Teraz jesteś dla niego wyzwaniem. W życiu nie odpuści.

W milczeniu pokręciłam głową. Chłopak poklepał dłonią blat biurka, jakbyśmy dobili targu, a potem podszedł do Loli.

Po jego wyjściu Talinga spojrzała na mnie.

– Znasz go?

– Nie. – Chwyciłam za słuchawkę telefonu. Świat jest mały, miasto jeszcze mniejsze. Zwykły przypadek. – Nie znam.

W tygodniu po rozstaniu z Jonathanem w zasadzie nie myślałam ani o nim, ani o muzyku Dexterze, ani w ogóle o niczym poza weselem matki. Potrzebowałam tego ślubu, by oderwać się od innych spraw, chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała.

Jonathan z początku próbował dzwonić, ale szybko przestał.

Wiedział, że nigdy do niego nie wróć. Chloe zauważyła, że mam to, czego chciałam, czyli wolność, tylko zdobyłam ją niezupełnie w taki sposób, w jaki chciałam. Nadal bolało, że mnie zdradził.

Przez to budziłam się w nocy wkurzona, nie pamiętając, co mi się śniło.

Na szczęście miałam na głowie Lissę. Przez tydzień nie godziła się z sytuacją i była pewna, że Adam zmieni zdanie.

Robiliśmy wszystko, żeby powstrzymać ją od dzwonienia do niego, jazdy obok jego domu czy odwiedzenia go w pracy.

Wiedziałyśmy, że nic z tego nie będzie. Gdyby Adam chciał się z nią spotkać, toby ją znalazł. Gdyby chciał do niej wrócić, powinien na to zapracować. I tak dalej.

Teraz, gdy termin ślubu zbliżał się wielkimi krokami,

wysłałam z pracy wcześniej, o piątej, i pojechałam do domu, żeby przygotować się do próbnej kolacji. Podchodząc do drzwi frontowych, zorientowałam się, że dom jest w takim samym stanie jak wtedy, gdy go opuszczałam, czyli w stanie chaosu.

– Przecież już na pewno nie dotrą na czas! – wrzeszczała matka, gdy rzuciłam klucze na stolik w holu. – Muszą się zjawić za godzinę, bo inaczej z kolacji nici!

– Mamo! – zawołałam, słysząc histerię w jej głosie. –

Uspokój się.

– Rozumiem – powiedziała piskliwie. – Ale to przecież mój ślub!

Zajrzałam do salonu, w którym była tylko Jennifer Anne, już przebrana do kolacji. Siedziała na kanapie, czytając książkę *Zmień marzenia w rzeczywistość* ze zdjęciem zamysłonej kobiety na okładce. Spojrzała na mnie i przewróciła kartkę.

– Co się dzieje? – spytałam

– Jakies problemy z limuzyną. – Poprawiła włosy. – Zdaje się, że jedna miała wypadek, a druga utkwiała w korku.

– To po prostu niedopuszczalne! – wykrzyknęła matka.

– Gdzie Chris?

Jennifer Anne wzniosła oczy ku sufitowi.

– W swoim pokoju – odparła. – Zdaje się, że coś się tam wykluwa.

Skrzywiła się i znów zajęła książką.

Mój brat hodował jaszczurki. Na górze, w dawnej garderobie obok swojego pokoju, trzymał terraria, a w nich małą odmianę waranów. Trudno je opisać: były mniejsze niż iguany, ale większe niż gekony. Miały języki jak węże i żywiły się małąkimi świerszczami, które nieustannie uciekały. Pełno ich było w całym domu, skakały po schodach, a ten i ów chował się w butach i tamcykał. Chris sprawił sobie nawet inkubator. Gdy znajdowały się w nim jaja, pojemnik tykał cicho całymi dniami, utrzymując właściwą temperaturę.

Jennifer Anne nienawidziła jaszczurek, które okazały się jej jedyną porażką w transformacji Chrisa. Tylko z nich nie zrezygnował i w rezultacie nawet nie podchodziła do jego pokoju.

Spędzała czas w naszym domu na kanapie albo przy kuchennym stole, czytając jakieś motywacyjne poradniki i wdychając głośno, żeby wszyscy ją słyszeli – wszyscy poza Chrisem, który siedział na górze i zajmował się zwierzętami.

Teraz jednak miałam ważniejsze problemy na głowie.

– Rozumiem – Głos matki brzmiał tak, jakby lada moment zamierzała wybuchnąć płaczem – Ale setka ludzi będzie na mnie czekać w Hiltonie, a ja tam nie dojadę!

– Zaraz, zaraz. – Delikatnie przejęłam słuchawkę. – Mamo, pozwól mi z nimi porozmawiać.

– To jakiś absurd! – wykrzyknęła, ale odsunęła się posłusznie.

– Mamo – powiedziałam cicho. – Ubierz się, a ja o wszystko zadbam.

Stała przez chwilę, bezradnie mrugając. Była już w sukience, w rękach trzymała rajstopy. Nie miała ani makijażu, ani biżuterii, co oznaczało, że przy odrobinie

szcześcia zajmie to jeszcze co najmniej dwadzieścia pięć minut.

– W porządku – powiedziała takim tonem, jakby robiła mi łaskę. – Będę na górze.

Przyglądałam się, jak wychodzi z pokoju, poprawiając włosy.

Gdy zniknęła, przyłożyłam słuchawkę do ucha.

– Czy to Albert?

– Nie – odparł ktoś nieufnie. – Mówi Thomas.

– A jest Albert?

– Chwileczkę. – Coś zaszeleściło i odezwał się inny głos: –

Halo, mówi Albert.

– Witaj, Albercie, tu Remy Starr.

– Cześć, Remy! Słuchaj, ta cała sprawa z samochodem trochę się skomplikowała...

– Mama zaraz wpadnie w histerię, Albercie.

– Wiem, wiem, Thomas próbował jej powiedzieć, że...

Pięć minut później zapukałam do drzwi pokoju matki. Gdy weszłam, siedziała przed toaletką. Wyglądała tak samo jak poprzednio, tyle że zmieniła sukienkę i robiła makijaż.

– Załatwione – oznajmiłam – Samochód przyjedzie o

szóstej, luksusowy, ale nie limuzyna. Jutro wszystko będzie jak należy, a to najważniejsze. W porządku?

Westchnęła i przyłożyła rękę do piersi, jakby jej galopujące serce wreszcie się uspokoiło.

– Wspaniale. Dziękuję.

Usiadłam na jej łóżku i ściągnęłam buty, po czym spojrzałam na zegar. Minął kwadrans po piątej. Wiedziałam, że będę gotowa w osiemnaście minut, wliczając w to suszenie włosów, więc położyłam się i zamknęłam oczy. Słyszałam, jak matka przesuwając buteleczki, pędzle i słoiczki. Otaczała się przepychem na długo, zanim było ją na to stać. Drobną i szczupłą, zawsze kipiała energią i miała skłonność do historycznych wybuchów. Nosila mnóstwo bransoletek, które brzęczały, gdy wymachiwała rękami podczas rozmowy. Nawet gdy uczyła w szkole pomaturalnej i większość uczniów przysypiała po całym dniu pracy, matka przychodziła na zajęcia w kolorowym stroju, umalowana i uperfumowana. Siwiznę maskowała czarną jak skrzydło kruka farbą i nosiła gęstą, prostą grzywkę. W powłóczystych strojach i z charakterystyczną fryzurą przypominała gejszę, tyle że zachowywała się stanowczo zbyt hałaśliwie.

– Remy, skarbie – odezwała się nagle, a ja podskoczyłam, gdy dotarło do mnie, że

omal nie zasnęłam – Pomożesz mi to zapiąć?

Podeszłam do niej i wzięłam do ręki naszyjnik.

– Pięknie wyglądasz – powiedziałam.

Tak rzeczywiście było. Dziś włożyła długą czerwoną suknię z wąskim dekoltem, ametystowe kolczyki i wielki pierścionek z diamentem, prezent od Dona. Pachniała perfumami L' Air du Temps, które w dzieciństwie uważałam za najpiękniejszy zapach świata. Cały dom nimi zalatywał. Ta woń przylgnęła do zasłon i dywanów tak jak dym papierosowy, uparcie i na zawsze.

– Dziękuję, kochana – powiedziała matka.

Patrząc na nas w lustrze, znów poczułam się zaskoczona

brakiem podobieństwa między nami. Ja byłam chuda i jasnowłosa, a ona obfitsza i śniada. Nie przypominałam też ojca. Nie miałam zbyt wielu zdjęć z jego młodości, ale na tych nielicznych zawsze prezentował się niechlujnie, jak muzycy z lat sześćdziesiątych, z brodą i długimi włosami. Wyglądał też na permanentnie nawalonego – gdy o tym wspomniałam, matka nie zaprzeczyła.

„Miał taki piękny głos”, powtarzała po jego odejściu. „Wystarczyła jedna piosenka, żebym zakochała się po uszy”.

Odwróciła się i wzięła mnie za rękę.

– Och, Remy... Uwierzysz? – zapytała z uśmiechem –

Będziemy takie szczęśliwe.

Skinęłam głowę.

– Wiem, że nie pierwszy raz idę do ołtarza. – Odwróciła się do lustra.

– Nie pierwszy – zgodziłam się, przyglądając jej włosy.

– Ale tym razem to się wydaje takie prawdziwe. Stałe. Nie sądzisz?

Wiedziałam, że pragnie potwierdzenia, ale i tak się

zawahałam. Ten rytuał, przez który przeszliśmy już kilka razy, wydawał się żywcem wyjęty z kiepskiego filmu. Teraz i druhom, i mnie te ceremonie przypominały klasowe spotkania po latach, kiedy stoi się z boku i dyskutuje, kto utył, a kto wyłysiał. Nie miałam już złudzeń co do miłości. Była, mijała, i albo pozostawiała po sobie zniszczenia, albo nie. Niezależnie od treści piosenek, ludziom nie jest dane trwać przy sobie na zawsze.

Wyświadczyłabym matce przysługę, wyciągając albumy ze

zdjęciami, które trzymała pod łóżkiem, zmuszając ją, żeby spojrzała na te same przedmioty, ludzi, toasty, pierwsze tańce, które mieliśmy ponownie zobaczyć w najbliższym czasie. Może zapomniała, może zepchnęła w niepamięć mężów i

wspomnienia.

Ja jednak tego nie potrafiłam.

Nadal uśmiechała się do lustra. Czasem przychodziło mi do głowy, że gdyby potrafiła odczytać moje myśli, padłaby trupem. A może obie byśmy padły.

– Teraz jest inaczej – oświadczyła z przekonaniem –

Naprawdę inaczej.

– Jasne, mamó. – Położyłam ręce na jej ramionach. Z tej pozycji wydawały mi się bardzo drobne. – Jasne, że tak.

Kiedy szłam do siebie, wyskoczył na mnie Chris.

– Remy! – krzyknął. – Musisz to zobaczyć.

Zerknęłam na zegarek: było wpół do szóstej. Poszłam za nim do pokoju jaszczurek. Pomieszczenie było ciasne i panował w nim nieustający upał, przez co zawsze czułam się tam jak podczas nieznośnie długiej podróży windą donikąd.

Chwyił mnie za rękę i pociągnął na podłogę, obok

inkubatora. Wieczko było zdjęte, a w środku znajdowało się plastikowe pudełko wypełnione czymś, co przypominało mech. Na wierzchu leżały trzy małe jajka. Jedno było pęknięte, drugie jakby zgniecione, a na czubku trzeciego widniała mała dziurka.

– Tylko popatrz. – Wskazał to z dziurką.

– Chris. – Znowu spojrzałam na zegarek. – Jeszcze nie wzięłam prysznicza.

– Poczekaj. – Trącił jajko. – Warto.

Kucaliśmy tak razem i czułam, że głowa zaczyna mnie boleć od upału. Nagle, kiedy już miałam wstać, jajko się poruszyło.

Zakołysało się lekko i w otworku pojawił się maleńki łebek. Gdy skorupka pękła, ze środka wyłoniło się ciało, śliskie i śluzowate, a do tego tak małe, że zmieściłabym je na opuszcze palca.

– *Varanus tristis orientalis* – powiedział Chris tak, jakby rzucał zaklęcie. – Tylko ten jeden przeżył.

Jaszczurka wydawała się oszołomiona, mrugając i chwiejąc się. Chris promieniał, całkiem jakby samodzielnie stworzył wszechświat.

– Super, nie? – mruknął, gdy jaszczurka na płetwiastych łapkach znowu drgnęła.

– Jesteśmy pierwszymi istotami, które zobaczyła.

Jaszczurka patrzyła na nas, a my na nią. Była mała i

bezbronna. Zrobiło mi się jej żal, bo trafiła w naprawdę kiepskie miejsce. Nie musiała jednak o tym wiedzieć, w każdym razie jeszcze nie. Tu, w tym pokoju, rozgrzanymi zabałaganionym świat pewnie wydawał się na tyle niewielki, żeby mała jaszczurka mogła sobie w nim poradzić.

#### **Rozdział czwarty**

– A teraz, na koniec, wnieśmy toast za Remy, córkę Barbary, która zaplanowała i zorganizowała całe wesele. Nie

poradzilibyśmy sobie bez niej. Za Remy!

– Za Remy! – powtórzyli wszyscy, zerkając na mnie przed wypiciem kolejnego kieliszka szampana.

– A teraz... – Mama uśmiechnęła się do Dona, który nie przestawał się szczerzyć, odkąd organista zagrał preludium dwie godziny wcześniej. – Bawcie się dobrze!

Matka i Don pocałowali się przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego, a ja w końcu odetchnęłam. Podano sałatki, wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Tort: załatwione. Kwiaty na stołach: załatwione. Barman i drinki: załatwione. Wszystko inne: załatwione. To oznaczało, że po sześciu miesiącach, dwóch dniach i czterech godzinach mogłam się odprężyć, przynajmniej na kilka minut.

– Okej – powiedziałam do Chloe. – A teraz ja się napiję szampana.

– Nareszcie! – Podsunęła mi kieliszek.

Chloe i Lissa już dawno temu się wstawiły, a teraz były tak czerwone i rozchichotane, że już nieraz przyciągnęły uwagę innych gości do naszego stołu. Jennifer Anne, siedząca z Chrisem po mojej lewej, piła wodę mineralną i obserwowała nas ze złośliwym wyrazem twarzy.

– Doskonała robota, Remy! – powiedział Chris i poczęstował się pomidorem z sałatki. – Dzięki tobie mama ma świetny dzień.

– Ale następnym razem musi sobie radzić sama –

oznajmiłam – Niech jedzie do Las Vegas, żeby sobowtór Elvisa udzielił jej ślubu. Ja się wypisuję.

Jennifer Anne szeroko otworzyła usta.

– Następnym razem? – powtórzyła wstrząśnięta. – Remy, to małżeństwo zawarte przed Bogiem. Na zawsze.

Chris i ja popatrzyliśmy na nią, a Lissa beknęła.

– O mój Boże – speszyła się, gdy Chloe parsknęła śmiechem.

– Przepraszam.

Jennifer Anne przewróciła oczami, wyraźnie oburzona, że musi siedzieć przy jednym stole z bandą prostaków i cyników.

– Christopher? – Była jedyną osobą, która tak się do niego zwracała. –

Przewietrzmy się.

– Ale jem sałatkę! – zaprotestował. Miał sos na brodzie.

Jennifer Anne podniosła serwetkę i ostrożnie ją poskładała.

Już zjadła sałatkę i złożyła sztućce, tym samym informując kelnera, że nie chce więcej.

– Jasne. – Chris wstał. – Idziemy się przewietrzyć.

Gdy zniknęli, Chloe przesunęła się o dwa miejsca, a Lissa nieporadnie poszła w jej ślady. Jess się nie zjawiała, musiała zostać w domu z młodszym bratem, bo zaatakowała go angina. Choć Jess niewiele mówiła, zawsze czułam, że brakuje nam równowagi, gdy jej nie ma, jakbyśmy nie mogła wytrzymać tylko z Lissą i Chloe.

– O rany – mruknęła Lissa, gdy Jennifer Anne, nie przestając mówić, wyprowadziła Chrisa na korytarz. – Ona nas autentycznie nienawidzi.

– Nienawidzi tylko mnie – sprostowałam, pijąc następny łyk szampana.

– Daj spokój. – Chloe dobrała się do sałatki.

– Dlaczego miałaby cię nienawidzić? – Lissa wychyliła zawartość kieliszka.

Rozmazała się jej szminka, ale wyglądało to uroczo.

– Bo uważa mnie za złego człowieka – wyjaśniłam – Jestem zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzy.

– Przecież to nieprawda – oburzyła się Lissa. – Jesteś cudowną osobą, Remy.

Chloe parsknęła śmiechem.

– Dobra, bez przesady – wymamrotała.

– Ale jest! – krzyknęła Lissa tak głośno, że dwoje

współpracowników Dona przy sąsiednim stole popatrzyło na nas ze zdumieniem.

– Nie jestem cudowna. – Ucisnęłam rękę Lissy. – Ale jestem trochę lepsza niż kiedyś.

– Z tym mogę się zgodzić. – Chloe rzuciła serwetkę na talerz.

– W końcu już nie palisz.

– Zgadza się – przytaknęłam – I rzadko się zalewam.

– To też prawda. – Lissa pokiwała głową.

– A do tego nie śpiam, z kim popadnie, tak jak kiedyś. –

Dopiłam resztkę szampana.

– Tak jest. – Chloe uniosła kieliszek i stuknęła nimo mój. –

Niech Stanford ma się na baczości – dodała z uśmiechem –

Remy jest prawie świętą.

– Święta Remy – mruknęłam, chcąc sprawdzić, jak to zabrzmiało.

Kolacja wszystkim smakowała. Chyba nikt poza mną nie

uważał, że kurczak jest trochę gumowaty, ale z drugiej strony bezskutecznie optowałam za wołowiną, więc może powodowała mną uraza. Jennifer Anne i Chris nie wrócili do naszego stołu.

Potem, gdy szłam do łazienki, zauważyłam, że dosiedli się do grupy lokalnych szych z izby handlu, z którymi przyjaźnił się Don.

Jennifer Anne rozmawiała z dyrektorem z ratusza, wymachując widelcem dla podkreślenia swoich racji, a Chris siedział obok niej, z płamą na krawacie, i wypychał jedzenie do ust. Na mój widok uśmiechnął się ze skruchą i tylko wzruszył ramionami, jakby nie miał nic do powiedzenia ani w tej kwestii, ani w wielu innych.

Tymczasem przy naszym stole szampan płynął strumieniami.

Jeden z siostrzeńców Dona, student Princeton, pracowicie podrywał Chloe, a Lissa zdążyła już kompletnie się rozkleić i była na dobrej drodze do urznięcia się do nieprzytomności.

– Naprawdę myślałam, że Adam i ja się pobierzemy – wyznała, opierając się o mnie.

– Wiem

Ulżyło mi na widok Jess, która nietypowo dla siebie przysła w sukience.

Sprawiała wrażenie zakłopotanej, jak zawsze, gdy włożyła coś innego niż dzinsy.

– Rajstopy. – Skrzywiła się i usiadła. – Paskudztwo kosztowało mnie cztery dolce, a czuję się tak, jakbym nosiła papier ścierny.

– Jessica? A niech mnie – odezwała się Chloe z

rozbawieniem – Nie masz żadnych sukienek z tej dekady?

– Cmoknij mnie gdzieś – odparła Jess, a siostrzeniec Dona uniosł brwi.

Niewzruszona Chloe wróciła do popijania i jakiejś przydługiej opowieści o sobie.

– Jess – wyszeptała Lissa, pokładając się na jej ramieniu. – Jestem pijana.

– Widzę – oznajmiła Jess głucho i odepchnęła Lissę z



powrotem na mnie. – Rany, tak się cieszę, że przyszedłam!

– Nie bądź taka – powiedziałam – Może coś zjesz?

– Jadłam w domu tuńczyka. – Zmrużyła oczy i spojrzała na kwiaty zdobiące stół.

– Zostań tu. – Wstałam, odsuwając Lissę na jej własne krzesło. – Zaraz wrócę.

Wracałam do stołu, niosąc talerz z kurczakiem, szparagami i pilafem, kiedy dobiegło mnie trzeszczenie mikrofonu oraz parę akordów gitarowych.

– Dzień dobry – rozległ się głos, kiedy lawirowałam między stolami. – Nasza kapela nazywa się G Flats i chcielibyśmy życzyć Donowi oraz Barbarze mnóstwo szczęścia.

Zebrani nagrodzili go brawami, a ja stanęłam jak wryta i odwróciłam głowę. Don uparł się zając oprawę muzyczną, bo podobno znał kogoś, kto był mu winien przysługę. Teraz jednak żałowałam z całego serca, że nie wynajęłam zespołu z Detroit, mimo że grał na dwóch poprzednich weselach mamy.

Naturalnie, przy mikrofonie stał właśnie Dexter, w czarnym garniturze, który wydawał się rozmiar za duży.

– Co wy na to? – spytał. – Rozkręćmy tę imprezę!

– O mój Boże – wymamrotałam.

Zespół w składzie gitarzysta, klawiszowiec oraz rudowłosa Ringo, którego poznałam dzień wcześniej, zaczął grać własną wersję *Get Ready*. Wszyscy mieli na sobie garnitury z lumpeksu, a Ringo ten sam przypinany krawat co w salonie. Ludzie wyszli na parkiet, matka i Don tańczyli w samym środku tłumu.

Wróciłam do stołu i podałam Jess talerz, po czym opadłam na krzesło. Jak należało się spodziewać, Lissa znów się rozkleiła –

ocierała twarz chusteczką, a Jess machinalnie poklepywała ją po nodze. Chloe i siostrzeniec zniknęli.

– Nie wierzę – powiedziałam.

– W co? – Jess podniosła widelec. – Rety, pachnie super.

– Ta kapela... – zaczęłam, ale nic więcej nie zdążyłam dodać, bo wyrosła przede mną Jennifer Anne, za którą przydreptał Chris.

– Mama cię prosi – powiedział.

– Co?

– Masz tańczyć – poinformowała mnie Jennifer Anne,

królowa etykiety. – Wszyscy na ciebie czekają.

– Daj spokój. – Popatrzyłam na parkiet.

Naturalnie, matka spoglądała na mnie z błogim uśmiechem.

Chwyliłam Lissę za rękę – ani myślałam iść sama.

– Nie mam ochoty na tańce – chlipnęła, kiedy lawirowaliśmy między stolikami.

– Ja też nie – wycodziłam.

– Och, Remy, Lissa! – wykrzyknęła matka, gdy podeszliśmy, i wyciągnęła ręce, żeby nas przytulić. Miała rozgrzaną skórę, a materiał jej sukni był śliski i gładki. –

Świetna zabawa, prawda?

Znajdowaliśmy się w samym środku tłumu, ludzie tańczyli wokół nas. Gdy zespół zagrał *Shout*, ktoś za mną głośno krzyknął, a Don nagle chwycił mnie za rękę i okręcił, przez co wpadłam na sąsiednią parę. Miałam wrażenie, że wyrwał mi ramię, a on jakby nigdy nic pociągnął mnie z powrotem, dziko kręcąc biodrami.

– Matko święta – odezwała się Lissa na ten widok.

Nagle znowu pofrunęłam, tym razem w przeciwnym

kierunku. Don tańczył z takim wigorem, że bałam się o nas wszystkie.

Próbowałam odesłać go do matki, ale akurat tańczyła z jednym z małych siostrzeńców Dona.

– Pomocy – syknęłam do Lissy, mijając ją.

Don nadal ścisnął mnie za nadgarstek. Potem przyciągnął

mnie i zmusił do szaleńczych podskoków, od których grzechotały mi zęby. Mimo to i tak zobaczyłam Chloe, która stała na skraju parkietu, zanosząc się histerycznym śmiechem.

– Świetnie tańczysz! – wykrzyknął Don.

Gdy mnie przechylił, byłam pewna, że mimo dwustronnej

taśmy biust wypadnie mi z sukienki, ale Don na szczęście wyprostował mnie w ostatniej chwili i tylko zawirowało mi w głowie.

– Uwielbiam tańczyć! – wykrzyknął, ponownie mną zakręcając. – Nigdy nie mam dosyć!

– Chyba jednak masz – wymamrotałam, gdy piosenka wreszcie zaczęła dobiegać końca.

– Co? – Przyłożył rękę do ucha.

– Powiedziałam, że potrafisz się ruszać – odparłam. Zaśmiał się i otarł twarz.

– Ty też – oświadczył, a bębniarz zakończył utwór walnięciem w talerze. – Ty też.

Uciekłam, kiedy wszyscy klaskali. Rozpychając się, dotarłam do baru, gdzie mój brat stał, nareszcie sam, i podgryzał kromkę chleba.

– Co to miało być? – spytał ze śmiechem – Wyglądało jak jakiś plemienny rytuał dzikusów.

– Zamknij się – warknęłam.

– A teraz, moi drodzy, wolny kawałek... dla

przyjemniejszego słuchania – zapowiedział Dexter ze sceny, a światła przygasły.

Usłyszeliśmy pierwsze, nieco nieporadne dźwięki *Our Love Is Here to Stay*.

Ludzie, którzy unikali parkietu przy szybszych kawałkach, podnieśli się z krzeseł. Obok mnie wyrosła Jennifer Anne, pachnąca mydłem toaletowym, i wzięła Chrisa za rękę, żeby zabrać mu chleb.

– Chodź – mruknęła, taktownie kładąc pieczywo na pobliskim stole. Nieważne, co do niej czułam, nie dało się nie podziwiać jej techniki. Dziewczyna nie cofała się przed niczym –

Zatańczmy.

– Jasne – zgodził się Chris i otarł usta. Zanim dotarli na parkiet, zerknął na mnie. – W porządku?

– Tak. – Skinęłam głową.

Zrobiło się ciszej, gdy ludzie tańczyli przytuleni i szeptali.

Na scenie Dexter śpiewał, a klawiszowiec ze znudzoną miną zerknął na zegarek.

Dobrze go rozumiałam.

O co chodziło z tymi wolnymi tańcami? Jeszcze w

gimnazjum nienawidziłam chwili, w której muzyka zwalniała, żeby ktoś mógł przycisnąć swoje spocone ciało do mojego. Przy normalnym tańcu przynajmniej nie czułam się osaczona, zmuszona do kołysania się z zupełnie nieznanym facetem, który tylko ze względu na fizyczną bliskość uważał, że ma prawo łapać mnie za tyłek lub za cokolwiek w zasięgu rąk. Pieprzenie w bambus.

To całe powolne tańczenie to naprawdę beznadzieja. Chodzi w nim tylko o to, żeby zbliżyć się do kogoś, kogo chce się mieć jak najbliżej, albo o to, żeby zostać zmuszonym do zbliżenia, na które nie ma się najmniejszej ochoty. Okej, mój brat i Jennifer Anne wydawali się sobą zachwyceni, a słowa piosenki były przyjemne i romantyczne. Zresztą nie chodziło o piosenkę – to po prostu nie było w moim stylu.

Przyjęłam kieliszek szampana od przechodzącego kelnera, wypitałyk i się skrzywiłam, kiedy bąbelki dostały mi się do nosa. Walcząc z napadem kaszlu, nagle poczułam, że ktoś stanął

tuż za mną. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam kobietę, która pracowała z Donem. Miała na imię Marty albo Patty, w każdym razie coś z „t” w środku, długie włosy z trwałą i grzywkę, a do tego za mocno skropiła się perfumami. Uśmiechnęła się do mnie.

– Cudowna piosenka. – Napila się szampana i westchnęła. –  
Prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak – odparłam, a Dexter pochylił się nad mikrofonem i zamknął oczy.

– Wydają się tacy szczęśliwi – dodała Patty, a ja popatrzyłam na państwa młodych, którzy śmiali się pogodnie. Pociągnęła nosem i nagle uświadomiłam sobie, że jest bliska łez. Wesela mają dziwny wpływ na ludzi. – Don jest bardzo szczęśliwy, prawda?

– Tak – przyznałam – Jest.

Otarła oczy, ze skrucną pomachała ręką i pokręciła głową.

– Mój Boże, wybacz – powiedziała. – Po prostu...

– Wiem – Przerwałam jej, żeby nie musiała mówić tego, co zamierzała powiedzieć.

Miałam już dość sentymentalnych bzdur.

Ostatnia zwrotka wreszcie dobiegła końca, Marty/Patty odetchnęła głęboko i zamrugała, gdy światła znów się zapaliły.

Teraz widziałam, że naprawdę płakała, miała czerwone oczy i twarz. Tusz, który zbyt obficie nałożyła na rzęsy, spływał jej po policzkach.

– Powinam... – zaczęła drżącym głosem, dotykając twarzy.

– Muszę się odświeżyć.

– Miło, że przysłaś – powiedziałam jej tak jak wszystkim, z którymi musiałam rozmawiać wieczorem, tym samym radosnym, dziarskim tonem.

– Ja też się cieszę – odparła bez entuzjazmu i odeszła, po drodze wpadając na krzesło.

Pomyślałam, że dosyć tego, muszę odpocząć.

Minęłam stół z tortem i wyszłam bocznymi drzwiami na parking, gdzie paru facetów w kamizelkach kelnerów paliło papierosy i jadło resztki chrupek serowych.

– Hej – odezwałamsię. – Mogę jednego?

– Pewnie. – Wyższy facet z nazelowaną fryzurą modela

wytrząsnął papierosa z paczki i mnie poczęstował. Przytrzymał mi zapalniczkę, a ja pochyliłam się i zaciągnęłam kilka razy. – Jak masz na imię? – spytał ciszej.

– Chloe – odparłam i odsunęłam się. – Dzięki.

Odeszłam za róg, chociaż facet mnie wołał, i znalazłam

miejsce na murku obok kubłów na śmieci przy ścianie. Ściągnęłam buty, potem popatrzyłam na papierosa w dłoni. Tak dobrze mi szło: osiemnaście dni. A ten nawet mi nie smakował. To była tylko słabość w kiepski wieczór. Rzuciłam go i przyglądałam się, jak dymi, po czym oparłam się na rękach i przeciągnęłam.

Zespół przestał grać i rozległy się sporadyczne oklaski.

Dobiegła mnie hotelowa muzyka z odtwarzacza, a parę minut później drzwi się otworzyły i wyłoniła się grupa G Flats.

– Do dupy – oznajmił gitarzysta, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. – Nie bierzemy więcej wesel, poważnie.

– Chodzi o pieniądze – zauważył perkusista Ringo i wypił łyk wody z butelki.

– Nie tym razem – wymamrotał klawiszowiec. – Gramy za frajer.

– Wcale nie. – Dexter przejechał ręką po włosach. – Chodzi o kasę na kaucję. Już zapomnieliście? Jesteśmy dłużnikami Dona.

Pozostali niechętnie przytaknęli, po czym zapadła cisza.

– Nie znoszę coverów – odezwał się w końcu gitarzysta. –

Dlaczego nie możemy grać własnych kawałków?

– Przed taką widownią? – spytał Dexter. – Zastanów się, Ted.

Wątpię, żeby jakiś wujek Henry z wiochy chciał tańczyć do twoich wariacji na temat *Pieśni ziemniaka*.

– Wcale nie ma takiego tytułu – warknął Ted. – Dobrze o tym wiesz.

– Spokój – przerwał im rudy perkusista, wymachując ręką. –

Jeszcze tylko parę godzin. Postarajmy się. Przynajmniej coś zjemy.

– Zjemy? – rozpromienił się klawiszowiec. – Poważnie?

– Tak powiedział Don – odparł perkusista. – Jeśli coś zostanie. Ile jeszcze mamy przerwy?

Dexter zerknął na zegarek.

– Dziesięć minut.

Klawiszowiec popatrzył na perkusistę, a potem na gitarzystę.

– Ja bym coś zjadł. Jemy?

- Jemy – odparli jednocześnie.
- Wchodzisz w to, Dexter? – spytał klawiszowiec.
- Nie. Weźcie mi tylko chleb czy coś.
- Dobra, Gandhi – odparł Ringo, a ktoś parsknął. – Do zobaczenia.

Ted rzucił niedopałek, a Ringo cisnął butelkę w kierunku kubła na śmieci – nie trafił – po czym weszli do środka, trzaskając drzwiami.

Ja tylko wpatrywałam się w Dextera, zadowolona, że chociaż raz mnie nie zauważył. Nie palił, tylko siedział na murku i bębnił o niego palcami. Zawsze podobali mi się bruneci, a z tej odległości jego garnitur nie wydawał się taki tandetny. Dexter był całkiem przystojny i wysoki. Dobrze, że wysoki.

Wstałam i poprawiłam włosy. No dobra, może faktycznie mnie denerwował i na dodatek wścieklałam się, kiedy rąbnęła mną o ścianę, ale skoro już tu byłam, to chyba należało zrobić parę kroków w jego kierunku, pokazać się choćby po to, żeby go wyprowadzić z równowagi.

Właśnie miałam wyłonić się zza śmietnika, kiedy drzwi znów się otworzyły i z budynku wyszły dwie dziewczyny, córki jednego z kuzynów Dona. Były o parę lat młodsze ode mnie i mieszkały w Ohio.

– Mówiłam, że tu będzie! – oznajmiła blondynka i obie zachichotały. Druga, wyższa, trzymała się z tyłu, z ręką na drzwiach, ale jej siostra podeszła bliżej i usiadła obok Dextera. –

Szukałyśmy cię.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się uprzejmie. – Więc jestem

Dobry wieczór.

– Dla ciebie dobry – odparła blondynka, a ja skrzywiłam się w ciemności. – Masz papierosa?

Dexter poklepał się po kieszeniach.

– Nie – powiedział. – Nie palę.

– Niemożliwe. – Blondynka trąciła go w nogę. – Myślałam, że wszyscy muzycy palą.

Ta przy drzwiach nerwowo obejrzała się za siebie.

– Ja palę – oznajmiła blondynka. – Ale matka by mnie zabiła, gdyby wiedziała.

Serio, zabiła.

– Hm – mruknął Dexter takim tonem, jakby to naprawdę było interesujące.

– Masz dziewczynę? – zapytała ni z tego, ni z owego

blondynka.

– Meghan! – syknęła jej siostra. – Jezu!

– Tylko pytam – Meghan przysunęła się do Dextera. – To zwykłe pytanie.

– No cóż, właściwie...

W tym momencie odwróciłam się i poszłam tam, skąd przyszłam, wściekła na siebie. Omal nie zrobiłam czegoś naprawdę głupiego, poniżej moich standardów, które, wnioskuje ze związku z Jonathanem, i tak już sięgnęły dna. Kiedyś tak się

zachowywałam, żyłam bieżącą sekundą czy godziną. Chciałam, żeby chłopak chciał mnie na jedną noc i już. Zmieniłam się.

Zrezygnowałam z tego razem z paleniem – no dobra, zdarzyła mi się jedna wtopa – i zasadniczo z piciem i całkowicie,

stuprocentowo, przestałam sypiać, z kim popadnie. A teraz byłam gotowa to zaprzepaścić albo przynajmniej nagiąć zasady dla jakiegoś naśladowcy Sinatry, dla frajera, który bez wahania zadowoliliby się Meghan z Ohio. Boże.

W środku przekonałam się, że wózek z tortem stoi już na parkiecie, a matka i Don pozują obok, trzymając razem nóż.

Fotografskakał wokół nich, flesz nieustannie błyskał. Ja stanęłam z boku tłumu i patrzyłam, jak Don wsuwa kawałek tortu do ust matki. Znowu błysnął flesz, utrwalając moment. Ach, ta miłość.

Reszta wieczoru przebiegła mniej więcej tak, jak się

spodziewałam. Matka i Don odjechali w deszczu ziarenek ryżu i baniek mydlanych (hotelowa ekipa sprzątająca patrzyła ponuro na to widowisko), Chloe całowała się z siostrzeńcem Dona w recepcji, a ja i Jess utkwiliśmy w łazience, podtrzymując głowę Lissie, która na przemian wymiotowała kolacją po piętnaście dolarów od łebka i łkała z tęsknoty za Adamem.

– Prawda, że wesela są cudowne? – westchnęła Jess i podała mi pęk wilgotnych ręczniczków.

Przycisnęłam je do czoła Lissy, gdy się prostowała.

– Są – chlipnęła, nieświadoma ironii Jess, i wytarła twarz. –

Naprawdę są cudowne.

Jess przewróciła oczami, a ja, kręcąc głową, poprowadziłam Lissę z kabiny do umywalki. Lissa przyjrzała się sobie w lustrze i pociągnęła nosem. Miała rozmazany makijaż, rozczochrane i skręcone włosy, a na rękawie jej sukienki widniała podejrzana brązowa plama.

– To chyba najgorszy moment w moim życiu – jęknęła.  
– Spokojnie, jutro poczujesz się lepiej. – Wzięłam ją za rękę.  
– Wcale nie. – Jess otworzyła drzwi. – Jutro będziesz miała wściekłego kaca i poczujesz się jeszcze gorzej.  
– Jess – warknęłam.  
– Ale pojutrze poczujesz się o wiele, wiele lepiej. – Poklepała Lissę po ramieniu.  
– Zobaczysz.  
Ruszyliśmy do recepcji, podtrzymując Lissę z obu stron.  
Minęła pierwsza w nocy, włosy mi oklapły i bolały mnie stopy.  
Pomyślałam, że koniec przyjęcia weselnego jest zawsze koszmarnie przygnębiający. Omija to tylko państwa młodych, bo odjeżdżają w siną dal, podczas gdy dla reszty następny poranek to tylko początek zwyczajnego dnia.  
– Gdzie Chloe? – Popatrzyłam na Jess, gdy usiłowałyśmy się przepchnąć przez obrotowe drzwi.  
Lissa zdążyła zasnąć, mimo że przebierała nogami.  
– Pojęcia nie mam. Ostatnio obmacywała się z tym tam przy pianinie.  
Obejrzałam się za siebie, ale nigdzie nie zauważyłam Chloe.  
Kiedy ktoś wymiotował, jakimś cudem zawsze była gdzie indziej, całkiem jakby miała szósty zmysł.  
– To duża dziewczynka – mruknęła Jess. – Da sobie radę.  
Zaciągnęłyśmy Lissę na przedni fotel w aucie Jess, kiedy nagle rozległ się hurkot i biała furgonetka, którą teraz rozpoznałam jako własność zespołu Dextera, podjechała przed hotel. Ze środka wyskoczył Ringo, już bez dopinanego krawata, za nim wysiadł gitarzysta. Obaj znikli w budynku, zostawiając samochód na wolnych obrotach.  
– Podwieźć cię? – zaproponowała Jess.  
– Nie, Chris na mnie czeka. – Zatrzasnęłam drzwi od strony Lissy. – Dzięki.  
– Nie ma problemu. – Wyciągnęła kluczyki z kieszeni. – Chyba nieźle poszło, prawda?  
Wzruszyłam ramionami.  
– Już po wszystkim, a to najważniejsze – odparłam.  
Gdy odjeżdżała, trąbiąc, ruszyłam do hotelu na poszukiwanie brata. Akurat mijała białą furgonetkę, gdy Ringo i klawiszowiec wyszli, ciągnąc sprzęt i kłócąc



się zawzięcie.

– Ted nigdy nie pomaga – oświadczył klawiszowiec. – To jego znikanie działa mi na nerwy.

– Jedźmy już – odparł Ringo. – Gdzie Dexter?

– Mają pięć minut – zdecydował klawiszowiec. – A potem idą na piechotę.

Sięgnął przez otwarte okno od strony kierowcy, nacisnął klakson i nie puszczał przez jakieś pięć sekund.

– Świetny pomysł – mruknął Ringo sarkastycznie.

Parę sekund później zjawił się gitarzysta Ted, wyraźnie poirytowany.

– Jak miło! – wrzasnął, podchodząc do furgonetki. – Co za klasa!

– Wsiadaj albo popylasz spacerkiem – warknął klawiszowiec.

– Mówię poważnie.

Ted wsiadł, zatrąbili jeszcze raz, ale Dexter się nie pojawił, więc furgonetka w końcu ruszyła i wjechała na główną drogę.

Naturalnie, migacz nie działał.

W hotelu personel sprzątał salę bankietową. Bukiet matki za osiemdziesiąt dolarów leżał porzucony na jednym ze stolików.

Kwiaty były równie świeże jak wtedy, gdy trzymała je w kościele dziewięć godzin wcześniej.

– Zostawili cię – usłyszałam czyjś głos.

Odwróciłam się i dostrzegłam Dextera. Jezus Maria. Siedział

przy stole obok szybko roztopiającej się rzeźby z lodu, która przedstawiała dwa łabędzie o spletanych szyjach, i jadł z talerza coś, co wyglądało jak kawałek tortu.

– Kto mnie zostawił?

– Chris i Jennifer Anne – odparł, jakby byli jego serdecznymi kumplami.

– Co? – zdumiałam się. – Pojechali?

– Byli zmęczeni. Jennifer Anne mówiła, że musi już jechać, bo jutro rano ma seminarium o realizacji zamierzeń czy coś takiego. Bystra z niej dziewczyna. Jej zdaniem mógłbym zrobić karierę w korporacyjnym prywatnym sektorze rozrywkowym, cokolwiek to znaczy.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

– Powiedziałem, że w porządku, bo kiedy się pojawisz, to cię odwieziemy.

– My? – zdziwiłam się.

– Ja i moi kumple.

Zastanawiałam się przez chwilę. I pomyśleć, że dzięki Jess już mogłabym być w

domu, całkiem trzeźwa.

– Oni też odjechali – oświadczyłam w końcu.

Zamarł, patrząc na mnie.

– Co?

– Odjechali – powtórzyłam powoli. – Najpierw trąbili.

– O rany. Tak mi się wydawało, że słyszę klakson. – Pokręcił głową. – Typowe.

Rozejrzałam się po prawie pustym pomieszczeniu, tak jakby rozwiązanie tego i innych moich problemów mogło się kryć za, dajmy na to, doniczką. Nic z tego. Zrobiłam więc to, co wydawało się nieuniknione. Podeszłam do stołu Dextera i usiadłam.

– O – uśmiechnął się. – Nareszcie przyszła.

– Nie ciesz się za wcześnie – poradziłam mu, kładąc torebkę na blacie. – Muszę się zebrać w sobie, żeby zadzwonić po taksówkę.

– Najpierw zjedz tort. – Podsunął mi talerzyk. – Proszę.

– Nie chcę żadnego tortu.

– Jest dobry. Nie ma kredowego posmaku.

– I tak nie chcę.

– Pewnie nawet nie próbowałaś. – Pomachał widelcem. – Spróbuj.

– Nie – odparłam głucho.

– Spróbuj.

– Nie.

– Mniemam. Jakie smaczne.

– Naprawdę mnie wkurzasz – oznajmiłam w końcu.

Wzruszył ramionami, jakby już to słyszał, po czym przyciągnął do siebie talerzyk i uraczył się następnym kęsem.

Personel ustawiał teraz krzesła we frontowej części sali. Kobieta z długim warkoczem wzięła bukiet mamy i otoczyła go ramionami, nucąc marsz weselny; roześmiała się, kiedy któraś z jej koleżanek kazała jej przestać marzyć i wziąć się do roboty.

Dexter odłożył widelec i odsunął pusty talerzyk.

– To pierwszy ślub twojej mamy? – zapytał, patrząc na mnie.

– Czwarty – odparłam. – Weszło jej to w krew.

– Jestem lepszy. Moja matka wychodziła za mąż już pięć

razy.

Byłam pod wrażeniem. Dołączyć nie spotkałam nikogo, kto miałby więcej eksojczyków niż ja.

– Naprawdę?

– Uhm – Skinął głową. – Ale wiesz, ten to już naprawdę na zawsze – dodał ironicznie.

– Nadzieja matką głupich.

– Zwłaszcza w domu mojej mamy – westchnął.

– Dexter, kochanie – rozległ się głos zza moich pleców. – Nie jesteś głodny?

– Nie, proszę pani. – Wyprostował się. – Dziękuję.

– Zostało jeszcze trochę kurczaka.

– Nie, dziękuję. Naprawdę napchałem się po uszy.

– No to w porządku.

– Czy ty znasz wszystkich? – Popatrzyłam na niego

– Nie, nie wszystkich. Po prostu łatwo nawiązuję znajomości.

To pewnie ze względu na tych ciągle nowych ojczyków. Człowiek szybciej się rozluźnia.

– Tak, jasne – mruknęłam.

– Widzisz, nie warto płynąć pod prąd, kiedy w twoim życiu ciągle pojawiają się i znikają jacyś ludzie. Z czasem się wyluzowujesz, bo musisz. Na pewno wiesz, o czym mówię.

– O tak – odparłam głucho. – Jestem totalnie na luzie. To słowo idealnie mnie opisuje.

– A nie?

– Nie – burknęłam i wstałam, sięgając po torebkę. Znowu poczułam, że bołą mnie stopy. – Muszę iść do domu.

On również wstał i chwycił kurtkę.

– Pojedziemy razem taksówką?

– Nie sądzę.

– W porządku, jak chcesz. – Wzruszył ramionami.

Skierowałam się do drzwi przekonana, że idzie za mną.

Kiedy jednak się obejrzałam, właśnie siedł w przeciwną stronę.

Byłam nieco zdumiona, że tak szybko sobie odpuścił. Perkusista miał rację.

Liczył się tylko podbój, dorwanie mnie sam na sam.

Kiedy Dexter mi się przyjrzał, odkrył, że nie jestem taka wyjątkowa. Ale to

wiedziałam już od dawna.

Przed hotelem parkowała taksówka z drzemiącym kierowcą.

Usiadłam z tyłu i zsunęłam buty. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą w nocy. W hotelu Thunderbird po drugiej stronie miasta matka zapewne już spała, śniąc o najbliższym tygodniu na wyspie St. Bart's. Potem wróci, żeby dokończyć powieść, wprowadzić nowego męża do domu i ponownie spróbować być Panią Jakąś tam w przekonaniu, że tym razem będzie inaczej.

Gdy taksówka wjechała na główną drogę, zobaczyłam coś w parku po drugiej stronie ulicy. Dexter pieszo wracał do domu, a kiedy skręcał, jego biała koszula zdawała się niemal świecić wśród uspionych domów z wygaszonymi światłami. Patrzyłam na niego i przez chwilę czułam się tak, jakby był jedyną przytomną czy nawet żywą osobą na świecie, nie licząc mnie.

### **Rozdział piąty**

– Remy, naprawdę jest cudowny.

– Lola, proszę cię.

– Wiem, co sobie myślisz. Ale tym razem to co innego. Nie wrobiłabym cię. Nie ufasz mi?

Odłożyłam czeki, które liczyłam, i popatrzyłam na nią.

Opierała się na łokciu, a jeden z jej kolczyków, ogromnych, złotych kół, kołysał się na wszystkie strony, połyskując w promieniach słońca wpadających przez okno.

– Nie chodzę na randki w ciemno – oświadczyłam ponownie.

– To nie jest randka w ciemno, skarbie, znam go – wyjaśniła, jakby to cokolwiek zmieniało. – Chłopak jest miły i ma wspaniałe dłonie.

Uniosła idealnie wypielęgnowane ręce, jakby potrzebowała dodatkowych informacji na temat tych podstawowych części ciała.

– Dłonie – powtórzyła. – Zwróciłam na nie uwagę, kiedy przyjechał odebrać matkę po peeling solą morską. Piękne dłonie.

I jest dwujęzyczny.

Zamrugałam, bezskutecznie próbując jakoś połączyć te dwie cechy.

– Lola? – rozległ się niepewny głos z salonu. – Skóra na głowie strasznie mnie szczypie.

– To tylko farba robi swoje, złociutka! – odrzyknęła Lola, nawet nie odwróciwszy głowy. – Tak czy owak, Remy, nie mogłam się ciebie nachwalić. A skoro jego matka przychodzi dzisiaj na pedikiur...

– Nie – burknęłam – Mowy nie ma.

– Jest idealny!

– Nikt nie jest idealny. – Wróciłam do czeków.

– Lola? – Tym razem głos brzmiał bardziej nerwowo i mniej uprzejmie. –

Naprawdę piecze...

– Chcesz znaleźć miłość, Remy?

– Nie.

– Nie rozumiem cię, dziewczyno! Popelniasz wielki błąd!

Lola zawsze mówiła głośno, gdy angażowała się

emocjonalnie. Teraz jej głos grzmiał w małej poczekalni tak donośnie, że drżały próbki lakierów do paznokci ustawione na półce nad moją głową. Jeszcze parę samogłosek i dostałabym wstrząsu mózgu, a potem pozwalałabym Lolę do sądu, co zapewne zamierzała zrobić ignorowana kobieta w sąsiednim pomieszczeniu, której włosy płonęły.

– Lola! – krzyknęła klientka piskliwie, ewidentnie bliska łez.

– Czuję zapach spalenizny!

– Na litość boską! – wykrzyknęła Lola, wściekła na nas obie, i ciężkim krokiem wyszła z poczekalni.

Fioletowy lakier spadł na biurko tuż obok mnie.

Westchnęłam i otworzyłam kalendarz. Był poniedziałek, matka i Don mieli wrócić z St. Bart's za trzy dni. Przewróciłam kartkę, żeby policzyć, ile tygodni zostało do początku studiów.

Stanford był odległy o tysiące kilometrów, praktycznie na drugim końcu kraju. Niesamowita szkoła, mój pierwszy wybór, a zostałam przyjęta, podobnie jak na cztery inne uczelnie, które wskazałam. A wszystko to dzięki ciężkiej pracy.

W pierwszej klasie liceum, kiedy podejmuje się takie

decyzje, nauczyciele uznali, że o ile dopisze mi szczęście, trafię do stanowego college'u, żeby studiować tam coś banalnego, na przykład psychologię, a oprócz tego imprezować i robić sobie makijaż. A to wszystko dlatego, że byłam dość atrakcyjną blondynką z aktywnym życiem towarzyskim i nie najlepszą reputacją. Poza tym nie pracowałam w samorządzie szkolnym, nie brałam udziału w debatach i nie należałam do drużyny

cheerleaderek, więc byłam skazana na przeciętność. Trafiłam do jednego worka z niewypałam i słabeuszami.

Pokazałam jednak, że wszyscy mylili się co do mnie. Za

własne pieniądze zapłaciłam za korepetycje z fizyki, która doprowadzała mnie do

szалу, i za przygotowanie do egzaminu SAT, sprawdzającego zdolności kandydatów na studia, do którego podchodziłam trzy razy. Jako jedyna wśród moich koleżanek zapisałam się na zajęcia przygotowawcze na studia, z wyjątkiem Lissy, córki rodziców z tytułami doktorskimi, od której oczekiwano błyskotliwości. Zawsze pracowałam ciężiej w obliczu przeciwności albo gdy ktoś zakładał, że czeka mnie porażka. To mnie napędzało i dlatego uczyłam się nocami.

Tylko ja z naszej klasy wybierałam się na Uniwersytet

Stanforda. Studia oznaczały, że będę mogła zacząć życie na nowo, z dala od domu. Pieniądze, które zarobiłam w salonie i których nie wydałam na auto, odkładałam w banku, żeby mieć na akademik, książki i bieżące wydatki. Pieniądze na czesne pochodziły z funduszu powierniczego, stworzonego dla mnie i dla Chrisa z masy spadkowej po ojcu. Jakiś prawnik, któremu najchętniej podziękowałabym osobiście, zadbał o to, żeby trafiły do nas, gdy ukończymy dwudziesty piąty rok życia lub zostały przeznaczone na szkołę. W praktyce oznaczało to, że nawet w najgorszych czasach matka nie mogła tknąć naszego funduszu. Niezależnie od tego, jak szastała swoimi pieniędzmi, miałam zagwarantowane cztery lata studiów. I pomyśleć, że wszystko to dlatego, że za każdym razem, gdy leciała *Kolysanka* (autorstwa Thomasa Custer, wszystkie prawa zastrzeżone), gdy puszczano ją w tle reklamy, w radio albo wykonywał ją jakiś knajpiany piosenkarz w Vegas, ja dostawałam pieniądze na kolejny dzień swojej

przyszłości.

Zadzwoniły dzwonki nad drzwiami i do środka wszedł kurier UPS z pudełkiem, które postawił na biurku przede mną.

– Paczka dla ciebie, Remy – oświadczył i podsunął mi skaner.

Podpisałam się na ekranie.

– Dzięki, Jacob.

– I jeszcze to. – Wręczył mi kopertę. – Do zobaczenia jutro.

– Okej.

Dziwne, ale koperta nie miała znaczka i nie była zamknięta.

Sięgnęłam do środka i wyjęłam trzy zdjęcia. Wszystkie przedstawiały tę samą parę, z wyglądu po siedemdziesiątce, pozującą gdzieś nad morzem. Mężczyzna miał na sobie

baseballówkę i koszulkę z napisem „Zagram w golfa za jedzenie”.

Kobieta miała praktyczne buty i przypięty do paska aparat fotograficzny.

Przytuleni do siebie, sprawiali wrażenie szaleńczo szczęśliwych. Na pierwszym zdjęciu się uśmiechali, na drugim szczyrzyli zęby, a na trzecim się całowali, ledwie dotykając się ustami. Byli jak każda para, którą widuje się na wakacjach i która prosi nieznanego o zrobienie zdjęcia.

Wszystko to bardzo pięknie, ale kimbyli ci ludzie, do cholery? I co to w ogóle miało znaczyć? Wyjrzałam, ale furgonetka UPS już odjechała. Niby to byli moi znajomi, czy co? Jeszcze raz zerknęłam na fotografie, ale para tylko szczyrzyła się do mnie z tropików, bez żadnych wyjaśnień.

– Remy, skarbie, możesz mi przynieść zimną wodę?! –

zawołała Lola z pokoju obok, a jej radosny, bardzo donośny głos wskazywał, że mam to zrobić jak najszybciej. – I może jeszcze neosporynę z szafki pod szufladą z pieniędzmi.

– Jasne! – odkrzyknęłam równie radośnie, wpychając zdjęcia do torebki.

Wyciągnęłam z szafki neosporynę, a do tego gazę i bandaże.

Z doświadczenia wiedziałam, że mogą się przydać. Sytuacje kryzysowe z włosami zdarzały się nieustannie i należało być na to przygotowanym.

Trzy godziny później, kiedy dramat dobiegł końca, a klientka Loli oddaliła się z obandażowaną głową, kuponem upominkowym na sporą sumę i sygnowanym zaświadczeniem dożywotnim

prawie do darmowej regulacji brwi woskiem, wreszcie zamknęłam szufladę z gotówką, chwyciłam torebkę i wyszłam.

Nareszcie przyszło lato. Nadciągnęła fala wilgotnych upałów, a powietrze było gęste, jakby miało się zagotować. U Loli królowało lodowate zimno, więc na zewnątrz czułam się jak po powrocie z Arktyki, a w drodze do auta dostałam gęsiej skórki.

Po uruchomieniu silnika natychmiast nastawiłam

klimatyzację na pełny regulator, a potem sprawdziłam wiadomości na komórce.

Chloe pytała, co robimy wieczorem, a Lissa

oznajmiła, że czuje się całkiem nieźle, ale niepewnie pociągała nosem, świadoma, że mam po uszy jej zachowania. Na koniec Chris przypominał mi, że Jennifer Anne gotuje dla nas dzisiaj kolację, więc mam się zjawić równo o szóstej, ani minutę później.

Z wściekłością skasowałam ostatnią wiadomość. Nigdy się nie spóźniam, a on o tym wie. To był jeszcze jeden dowód na pranie mózgu mojego brata dokonane przez Jennifer Anne, która w przeciwieństwie do niego w ogóle mnie nie знаła. Jakkolwiek

patrzeć, to ja budziłamgo każdego ranka, odkąd zaczął pracować w warsztacie, bo inaczej przespałby wszystkie trzy alarmy, chociaż porozstawiał budziki w różnych miejscach sypialni i do każdego z nich musiał wstać. Pilnowałam, żeby się nie spóźnił, nie wyleciał z pracy i był za drzwiami najpóźniej za dwadzieścia pięć dziewiąta, w razie korków.

Nagle usłyszałampląnięcie, jakby coś lekko uderzyło w przednią szybę mojego samochodu. Z mocno bijącymsercempodniosłam wzrok i wtedy zobaczyłamjeszcze jedną fotografię tej samej pary na wakacjach. Ta sama koszulka „Zagram w golfa za jedzenie”, te same pomarszczone uśmiechy. Staruszkowie

wpatrywali się we mnie zza szyby, przytrzymywani czyjąś ręką.

Zrozumiałam. Aż dziwne, że nie domyśliłam się wcześniej.

Wcisnęłam guzik i opuściłam szybę. Tuż przy bocznym

lusterku stał Dexter. Zabrał rękę, a zdjęcie osunęło się po szkle i utkwilo za wycieraczką.

– Cześć – powiedział.

Miał na sobie biały T-shirt i znajomy mundurek: poliestrową koszulę, zieloną z czarną lamówką. Na kieszeni wyszyty był napis

„Zdjęcia od ręki”, reklamujący zakład fotograficzny Flash Camera naprzeciwko Joie.

– Nękaśz mnie – poinformowałam Dextera.

– Co? – zdziwił się. – Nie podobały ci się zdjęcia?

– „Zagram w golfa za jedzenie”? Co to za głupoty? –

Wrzuciłam wsteczny. – To ma coś znaczyć?

– Nie lubisz muzyków, nie lubisz golfistów – wyliczał na palcach. – To co zostaje? Treserzy lwów? Księgowi?

Popatrzyłam na niego, po czym nacisnęłam pedał gazu.

Dexter musiał odskoczyć, żeby opona nie przejechała mu po stopie.

– Czekaj. – Położył rękę na otwartym oknie. – Mówię

zupełnie poważnie. Mogłabyś mnie podwieźć? – Najwyraźniej zrobiłam

sceptyczną minę, bo dodał szybko: – Za piętnaście minut mam spotkanie zespołu. Stosujemy nową zasadę: surowe kary za spóźnienia. Serio.

– Ja też się śpieszę.

Skłamałam, ale przecież nie byłam jakąś zasmarkaną taksówkarką.

– Proszę. – Przykucnął, uniósł drugą rękę i pokazał mi



zatłuszczoną torebkę z Double Burgera. – Podzielę się z tobą frytkami.

– Nie, dzięki. – Wcisnęłam przycisk zamykania szyby. –

Poza tym stosuję nową zasadę: surowe kary za jedzenie w samochodzie.

Uśmiechnął się i zatrzymał szybę ręką.

– Będę grzeczny, obiecuję – powiedział.

Potem obszedł auto, całkiem jakbym się zgodziła, zabrał

zdjęcie z szyby i wsunął je do kieszeni. Zanim się zorientowałam, siedział już

obok mnie i zamykał drzwi. Co takiego miał w sobie ten facet? Opór był bezcelowy.

A może czułam się zbyt zmęczona i zgrzana na kolejne kłótnie.

– Jedna podwózka – oznajmiłam surowym głosem. – I tyle.

Jeśli znajdę chociaż okruszek, wywalę cię z samochodu, i nawet nie zwolnię.

Żadnego jedzenia w aucie.

– Proszę... – mruknął, sięgając po pas. – Nie musisz być taka miła. Mów szczerze, nie owijaj w bawełnę.

Zignorowałam tę ironiczną uwagę i ruszyłam. Nawet nie

dotarliśmy do najbliższego skrzyżowania, kiedy przyłapałam Dextera na

ukradkowym wyciąganiu frytki. Myślał, że jest sprytny, bo trzymał ją w dłoni i

udawał, że ziewa, ale ja byłam

zawodowcem. Lissa zawsze naginała i łamała zasady.

– Co powiedziałam o jedzeniu? – Zahamowałam na

czerwonym świetle.

– Głódny jstn – wymamrotał z pełnymi ustami, a potem

przełknął. – Głódny jestem – powtórzył wyraźniej.

– Nic mnie to nie obchodzi. Zero jedzenia w aucie, i tyle.

Staram się, żeby samochód wyglądał jak należy.

Odwrócił się i zerknął na siedzenie z tyłu, a potem na deskę rozdzielczą i na dywaniki.

– Jak należy? Tu jest jak w muzeum. Jeszcze pachnie

nowością.

– No właśnie – odparłam, gdy zmieniły się światła.

– Skręć w lewo – polecił, a ja zmieniłam pas. – Założę się, że masz obsesję na punkcie kontroli.

– Mylisz się.

– Przecież to widać. – Przejechał palcem po desce. – Ani pyłku – oznajmił. – I pewnie wycyściłaś przednią szybę od środka, co?

– Może kiedyś.

– Ha! Założę się, że szlag by cię trafił, gdyby coś nie było na swoim miejscu.

– Mylisz się – powtórzyłam.

– Sprawdźmy. – Sięgnął do torebki i wyjął frytkę. – W imię nauki przeprowadzimy mały eksperyment.

– Żadnego jedzenia w aucie – powtórzyłam jak mantrę.

Gdzie on mieszka? Minęliśmy hotel, w którym odbyło się wesele mamy, więc na pewno nie opodal.

– W lewo – powiedział, a ja skręciłam, płosząc dwie wiewiórki.

Kiedy zerknęłam na Dextera, jego ręce były puste, a frytka leżała przy dźwigni skrzyni biegów.

– Nie panikuj. – Położył dłoń na mojej ręce. – Oddychaj i choć przez chwilę ponapawaj się wolnością w tym chaosie.

Odsunęłam rękę.

– W którym domu mieszkasz?

– Wcale nie ma bałaganu, widzisz? Jest pięknie. To natura w całej swojej prostocie...

Nagle zobaczyłam białą furgonetkę, zaparkowaną na podjeździe przed małym żółtym domem. Na werandzie paliło się światło, mimo że był środek dnia. Zauważyłam, że rudowłosy bębniarz Ringo, pracownik kawiarni, siedzi na schodkach i czyta gazetę, a obok niego dyszy pies.

– ...naturalny stan rzeczy, czyli kompletna niedoskonałość – dokończył, kiedy zatrzymałam się przed domem.

Frytka zsunęła się z plastiku, pozostawiając po sobie tłusty ślad, i wylądowała na moich kolanach.

– Ups. – Dexter chwycił ją natychmiast. – Widzisz? To był pierwszy krok na drodze ku opanowaniu...

Popatrzyłam na niego i nacisnęłam guzik otwierania drzwi.

– ...twojego problemu – dokończył i wysiadł, zabierając ze sobą tłustą torebkę. – Dzięki za podwiezienie – powiedział na pożegnanie.

– Nie ma sprawy – odparłam.

Przez chwilę stał nieruchomo, co mnie zaniepokoiło, i patrzył mi w oczy. Potem zamrugał, odsunął się i zamknął drzwi. Pies na werandzie wstał i energicznie zamachał ogonem na widok Dextera.

Poczułam, że w aucie pachnie smażeniną, więc otworzyłam okno i pomodliłam się w duchu, żeby odświeżacz powietrza jak

najszybciej zabił przykry zapach.

– Nareszcie. – Perkusista złożył gazetę.

– Jeszcze nie ma szóstej. – Dexter pogłaskał psa o białym pysku. Pies chodził chwiejnie, jakby miał już swoje lata.

– Ale ja nie mam klucza. – Bębniarz wstał.

– Ja też nie. Sprawdziłaś tylne drzwi?

Cofnęłam samochód i zatrzymałam się na końcu podjazdu, żeby przepuścić przejeżdżające auta.

– Zamknięte. A do tego Ted zastawił je wczoraj regałami z książkami.

Dexter wyrzucił kieszenie na drugą stronę. Były puste.

– To chyba musimy wybić szybę – orzekł.

– Co?

– Bez paniki – mruknął Dexter nonszalanckim tonem –

Wybierzemy jakieś małe okienko i wciśniesz się do środka.

– Odpada. – Perkusista skrzyżował ręce na piersi, a Dexter sprawdził okna od frontu domu. – Dlaczego zawsze ja muszę się babrać w gównie?

– Bo jesteś rudy. I masz wąskie biodra.

Już nie czekałam, aż na jezdni zrobi się luźniej. Teraz patrzyłam, jak Dexter podnosi kamień i kuca przy małym oknie na końcu werandy. Najpierw spojrzał na szybę, potem na kamień.

Nie mogłam siedzieć beczynnie. Wjechałam z powrotem na podjazd, wysiadłam i podeszłam do schodów w chwili, gdy Dexter unosił kamień, żeby wybić szybę.

– Raz, dwa... – zaczął.

– Czekaj! – wrzasnęłam.

Dexter zamarł, a kamień wysunął mu się z ręki i wylądował na podłodze werandy.

– Myślałem, że odjechałaś – zdumiał się. – Nie mogłaś, co?

– Masz kartę kredytową? – zapytałam.

Dexter i perkusista wymienili spojrzenia.

– Czy ja wyglądam na takiego, co ma kartę kredytową? –

spytał Dexter. – I co właściwie chcesz kupić?

– Chcę otworzyć drzwi, idioto.

Sięgnęłam do kieszeni, ale portfel został na tylnym siedzeniu samochodu.

– Ja mam – odezwał się perkusista. – Ale wolno mi jej używać tylko w wyjątkowych wypadkach.

Popatrzyliśmy na niego oboje, a po chwili Dexter trzasnął go otwartą dłonią w potylicę.

– Jesteś debilem, Johnie Millerze – oświadczył. – Daj jej tę kartę.

John Miller podał mi kartę Visa. Uchyliłam drzwi siatkowe, a potem wsunęłam kartę między zamek a otwór we framudze i kilka razy poruszyłam ręką. Czulałam, że Dexter i John na mnie patrzą.

Każde drzwi są inne, a gdy otwiera się je kartą, trzeba wziąć pod uwagę między innymi ciężar zamka i grubość plastiku. Ta umiejętność, podobnie jak celne rzucanie kubkiem z colą, wymagała długotrwałych ćwiczeń. Nigdy się nigdzie nie

włamywałam, po prostu musiałam jakoś dostawać się do własnego domu lub do domu Jess, kiedy zginęły klucze. Mój brat czasami wykorzystywał tę umiejętność w złym celu, a nauczył mnie jej, gdy miałam czternaście lat.

W końcu zamek ustąpił i oddałam Johnowi kartę.

– Imponujące. – Uśmiechnął się zaskoczony. – Jak masz na imię?

– Remy.

– Jest ze mną – wtrącił się Dexter, a ja tylko westchnęłam.

Zeszłam z werandy, a pies powłókł się za mną. Pochyliłam się i podrapałam go za uszami. Strasznie śmierdziało mu z pyska, ale zawsze lubiłam psy. Mama, oczywiście, wolała koty, więc mieliśmy w domu wyłącznie koty himalajskie z problemami zdrowotnymi i parszywym charakterem, które kochały mamę i wszędzie zostawiały kłaki.

– To Małpison – przedstawił psa Dexter. – Nigdy się nie rozstaniemy.

– Biedny Małpison – mruknęłam i wróciłam do samochodu.

– Niezły z ciebie numer, panno Remy – mruknął. – Ale jesteś zaintrygowana, więc wrócisz.

– Nie liczyłabym na to.

Nie odpowiedział, tylko stał nieruchomo, oparty o słupek na werandzie. Gdy odjeżdżałam, i Małpison, i Dexter wpatrywali się we mnie.

## **Rozdział szósty**

Chris otworzył drzwi do mieszkania Jennifer Anne. Miał na sobie krawat.

– Spóźniłaś się – powiedział głucho.

Popatrzyłam na zegarek. Była osiemnasta trzy, co według Chloe, Lissy i wszystkich ludzi, którzy zawsze kazali mi na siebie czekać, oznaczało, że nie

przekroczyłam limitu pięciu minut, więc wcale nie jestem spóźniona. Coś mi jednak podpowiadało, że nie powinnam teraz o tym wspominać.

– Przyszła! – zawołał Chris przez ramię i spiorunował mnie wzrokiem, gdy zamykałam drzwi.

– Zaraz będę – odparła Jennifer Anne beztróskim głosem –

Poczęstuj ją czymś do picia, Christopherze.

– Tędy. – Chris ruszył do salonu.

Po raz pierwszy gościłam Jennifer Anne, ale nie zdumiał mnie wystrój wnętrza. Sofa i kozetka były nieco wytarte i pasowały do bordiury na tapecie. Na ścianie wisiał dyplom ukończenia szkoły pomaturalnej, oprawiony w grubą złotą ramkę.

Na stoliku kawowym leżały grube, piękne książki o Prowansji, Paryżu i Wenecji, starannie ułożone w pozornym nieładzie.

Wiedziałam, że nigdy nie była w żadnym z tych miejsc.

Chris przyniósł mi piwo imbirowe. Zdawał sobie sprawę, że nie cierpię tego napoju, ale uznał, że należy mi się kara. Potem usiadłam na kozetce, a on na sofie. Naprzeciwko nas, nad imitacją kominka, tykał zegar.

– Nie sądziłam, że to formalne spotkanie. – Wskazałam brodą krawat Chrisa.

– Właśnie widzę – odparł.

Miałam dzinsy, białą koszulkę i sweter przepasany wokół talii. Nie wyglądałam źle, a on dobrze o tym wiedział. W kuchni rozległo się szcęknięcie, jakby ktoś zamykał piekarnik, a potem drzwi się otworzyły i Jennifer Anne stanęła na progu.

– Remy. – Podeszła i pocałowała mnie w policzek.

To było coś nowego. Niemal odskoczyłam ze zdumienia, jednak udało mi się powstrzymać, bo nie chciałam znowu narażać się na złość Chrisa.

Jennifer Anne usiadła obok niego i założyła nogę na nogę.

– Cieszę się, że do nas dołączyłaś. Brie?

– Słucham?

– Brie – powtórzyła i podsunęła mi szklaną tackę ze stolika.

– To taki miękki ser z Francji.

– A, jasne. – Po prostu nie dosłyszałam, co mówiła, ale wydawała się bardzo z siebie zadowolona, jakby wierzyła w to, że dzięki niej poznaję nową, obcą kulturę. –

Dziękuję.

Nie dane nam było sprawdzić, czy rozmowa potoczy się w sposób naturalny. Jennifer Anne najwyraźniej przygotowała listę tematów do konwersacji, zaczerpniętych z gazety albo z CNN, i wierzyła, że dzięki temu pogawędzimy na poziomie. Tę taktykę niewątpliwie zapożyczyła ze swoich podręczników

samosdoskonalenia – zauważyłam jednak, że żaden z nich nie stał w salonie.

– No dobrze – odezwała się, gdy już zjedliśmy po krakersie.

– Jakie jest twoje zdanie na temat wyborów w Europie, Remy?

Bardzo powoli wypiliśmy imbirowego piwa, wreszcie się na coś przydało. W końcu jednak musiałam coś powiedzieć.

– Szczerze mówiąc, ostatnio nie śledzę wiadomości – odparłam.

– Och, to fascynujące – powiedziała. – Christopher i ja rozmawialiśmy o tym, jak ich wynik wpłynie na światową gospodarkę. Prawda, kochanie?

Mój brat przełknął krakersa i odkaslnął.

– Tak – potwierdził.

I tak to się ciągnęło przez następny kwadrans. Prowadziliśmy równie fascynujące dyskusje o inżynierii genetycznej, globalnym ociepleniu, możliwości wyparcia książek przez komputery, a także o pojawieniu się w miejscowym zoo rodziny egzotycznych i niemal wymarłych australijskich ptaków. Gdy w końcu zasiedliśmy do kolacji, byłam wyczerpana.

– Świetny kurczak, kochanie – oświadczył mój brat.

Jennifer Anne przyrządziła skomplikowane na oko danie z piersi kurczaka nadziewanych słodkimi ziemniakami i polanych warzywną glazurą. Wyglądały idealnie, ale na widok takiej potrawy od razu wiadomo, że ktoś bardzo długo obmacywał

paluchami to, co teraz ma zjeść ktoś inny.

– Dziękuję. – Jennifer poklepała go po dłoni. – Jeszcze ryżu?

– Poproszę.

Chris uśmiechnął się do niej, gdy nakładała mu ryż na talerz.

Nie po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że ledwie rozpoznaję brata. Wyglądał tak, jakby przywykł do takiego życia, jakby od zawsze nosił krawaty i jadł

egzotyczne posiłki na niewątpliwie kosztownej zastawie. Ja jednak wiedziałam swoje. Mieliśmy takie same dzieciństwo, wychowała nas ta sama kobieta, dla której obiad oznaczał danie z mikrofalówki, herbatniki i marchewkę z groszkiem z puszki. Matka nie potrafiła nawet przyrządzić tostów, nie uruchamiając alarmu przeciwpożarowego. Zdumiewające, że bez skorbutu zdołaliśmy przebrnąć przez szkołę.

Teraz jednak nie dałoby się tego poznać po Chrisie.

Transformacja mojego notowanego na policji brata-ćpuna w kulturalnego człowieka w wyprasowanym ubraniu, robiącego karierę specjalisty od smarów, niemal już się dokonała. Zostało jeszcze tylko parę rzeczy do załatwienia, między innymi jaszczurki i ja.

– Wasza mama i Don wracają w piątek, tak? – zwróciła się do mnie Jennifer Anne.

– Tak – skinęłam głową. Może to roladki z kurczaka, a może sztuczność tego wieczoru sprawiły, że nagle coś mnie podkusiło i powiedziałam do Chrisa: – Jeszcze tego nie zrobiliśmy.

– Czego? – spytał z ustami pełnymi ryżu.

– Nie założyliśmy się.

Czekałam, aż załapie, ale nie mógł lub nie chciał zrozumieć.

– O jaki zakład chodzi? – Jennifer Anne łaskawie pozwoliła dopuścić do rozmowy na temat nieprzewidziany w rozpisce.

– To nieważne – wymamrotał Chris.

Próbował mnie dyskretnie kopnąć, ale trafił w nogę stołu tak mocno, że aż zadrżała maselnica.

– Wiele lat temu... – zwróciłam się do Jennifer Anne, a Chris znowu spróbował mnie kopnąć. Na szczęście tylko musnął mój but. – ...kiedy mama wyszła za męża po raz drugi, Chris i ja zapoczątkowaliśmy tradycję zakładania się, ile tym razem to potrwa.

– Świetny chleb – powiedział szybko Chris. – Naprawdę.

– Chris miał dziesięć lat, a ja sześć – ciągnęłam – Wtedy wyszła za Harolda, profesora. W dniu, w którym wyjechali na miesiąc miodowy, ja i Chris usiedliśmy z kartką papieru, żeby zapisać, jak długo zdaniem każdego z nas potrwa ich małżeństwo.

Potem złożyliśmy kartki i zalepiliśmy kopertę, którą trzymałam w garderobie do dnia, gdy mama zawołała nas i oznajmiła, że Harold się wyprowadza.

– Remy, to nie jest śmieszne – powiedział cicho Chris.

– Chris się wścieka, bo nigdy nie wygrał – wyjaśniłam – Ja zawsze wygrywam. To tak jak z blackjackiem: nie można przedobrzyć. Wygrywa ten, kto jest bliżej konkretnego dnia.

Musieliśmy ustalić konkretne zasady: chodzi o dzień, w którym mama mówi nam, że już po wszystkim, nie o dzień oficjalnej separacji. Musieliśmy to ustalić, bo kiedy rozstała się z Martinem, Chris próbował oszukiwać.

Teraz Chris patrzył na mnie z nienawiścią. Głupi frajer.

– Cóż, uważam, że to okropne – oznajmiła Jennifer Anne piskliwym głosem – Po prostu okropne. – Ostrożnie odłożyła widelec i przycisnęła serwetkę do ust, zamykając oczy. – Jakie paskudne podejście do małżeństwa.

– Byliśmy dziećmi – powiedział szybko Chris i ją objął.

– To taka rodzinna tradycja. – Wzruszyłam ramionami.

Jennifer Anne odsunęła krzesło i podniosła półmisek z kurczakiem.

– Moim zdaniem wasza mama zasługuje na większą wiarę z waszej strony – oznajmiła, po czym wyszła do kuchni.

Chris pochylił się ku mnie nad stołem tak szybko, że nawet nie miałam czasu odłożyć widelca. Niewiele brakowało, a mój brat wykułby sobie oko.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – warknął. – Co się z tobą dzieje, do kurwy nędzy?

– Ojej, Christopherze. Cóż to za słownictwo – odparłam –

Lepiej, żeby ona cię nie usłyszała, bo każe ci zostać po szkole i napisać esej o australijskich głuptakach niebieskostopych.

Usiadł z powrotem na krześle.

– Nic nie poradzę na to, że jesteś zgorzkniałą i wściekłą suką

– wycodził. – Kocham Jennifer Anne i nie pozwolę ci grać z nią w te gierki.

Rozumiesz?

Patrzyłam na niego w milczeniu.

– Rozumiesz? – powtórzył. – Cholera, Remy, czasami naprawdę trudno cię kochać, wiesz? Poważnie.

Wstał z krzesła i rzucił serwetkę, po czym poszedł do kuchni.

Siedziałam nieruchomo, czerwona i zgrzana. Czułam się tak, jakby mnie spoliczkował. Tylko się wygłupiałam, a jego szlag trafił. Przez te wszystkie lata jedynie Chris podzielał mój wypaczony, cyniczny pogląd na miłość. Zawsze sobie



powtarzaliśmy, że nigdy nikogo nie poślubimy, że wolelibyśmy strzelić sobie w łeb. A teraz odwrócił się do mnie plecami.

Bałwan.

Słyszałam dobiegający z kuchni drżący głos Jennifer Anne i kojący głos Chrisa. Potrawa na moim talerzu wystygła, podobnie jak moje serce. Nic nie czułam, tylko to, że zostałam całkiem sama. Może Chrisa dało się ocalić, mnie jednak na pewno nie.

Po szeptanej dyskusji w kuchni udało się nam wynegocjować kruchy rozjem. Przeprosiłam Jennifer Anne, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze, i zniosłam jeszcze kilka tematów przy czekoladowym suflecie, zanim w końcu pozwolono mi wyjść.

Chris właściwie nie odzywał się do mnie i głośno zatrzasnął za mną drzwi, gdy wychodziłam. Nie powinien być zdumiona, że tak łatwo ustąpił przed miłością. Właśnie dlatego ciągle przegrywał w naszych zakładach – mocno przeszacowywał długość trwania małżeństw matki. Ostatnim razem o pół roku.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam. Perspektywa powrotu do domu mnie przynębiała, więc skierowałam się do Lissy.

Zwolniłam przed jej skrzynką pocztową; przez okno zobaczyłam jadalnię, gdzie Lissa siedziała przy stole i jadła kolację z rodzicami. Przez chwilę chciałam wysiąść i zadzwonić do drzwi –

mama Lissy zawsze chętnie nakrywała do stołu dla nieoczekiwanych gości – ale zmieniłam zdanie na myśl o

rodzicielskich gadkach o studiach i o przyszłości. Doszłam do wniosku, że mam ochotę trochę oddać się nałogom, więc pojechałam do Chloe.

Otworzyła drzwi, trzymając w rękach drewnianą łyżkę.

– Mama wróci za czterdzieści pięć minut – powiedziała i wpuściła mnie do środka. – Możesz zostać pół godziny, okej?

Skinęłam głową. Mama Chloe, Natasha, nie tolerowała

nieproszonych gości, co oznaczało, że mogłam przebywać u Chloe tylko w określonych ramach czasowych. Natasha chyba nie przepadała za ludźmi.

Pomyślałam, że albo kiepsko wybrała sobie zawód stewardesy, albo była to naturalna reakcja po wyborze takiego zawodu. Tak czy owak, rzadko ją widywałyśmy.

– Jak tam kolacja? – spytała Chloe przez ramię, gdy weszłam za nią do kuchni, gdzie coś skwierczało na kuchence.

– Nic ciekawego. – To nie było kłamstwo, po prostu wołałam nie wdawać się w szczegóły. – Mogę się poczęstować dwiema buteleczkami?

Chloe pomieszała na patelni coś, co pachniało jak owoce morza, i popatrzyła na mnie.

– Po to tu przysłaś?

– Częściowo – przyznałam.

Zawsze mogłam rozmawiać z nią szczerze, a zresztą tak wołała. Podobnie jak ja, nie lubiła owijania w bawełnę.

– Częstuj się. – Przewróciła oczami.

Stałam na taborecie i otworzyłam szafkę. Małeńkie

buteleczki, które mama Chloe zakosiła z samolotowego wózka z alkoholem, stały w schludnych rzędkach, uporządkowane zgodnie z wysokością procentów i gatunkiem: czyste wódki z lewej, likiery z prawej. Chwycałam dwa bacardi z tyłu, poprawiałam rzędkę, a potem zerknęłam na Chloe. Skinęła głową na znak, że wszystko w porządku, po czym wręczyła mi szklankę z colą, do której wlałam zawartość jednej z buteleczek i zagrzechałam kostkami lodu.

Drink był mocny i palił mnie w gardło. Wzdrygnęłam się, jakby dotarło do mnie, że to chyba nie najwłaściwsza reakcja na sytuację u Jennifer Anne.

– Chcesz łyka? – zapytałam Chloe i wyciągnęłam do niej szklankę. – Dobrze.

Pokręciła głową.

– Tak, jasne – mruknęła, zmniejszając gaz. – Tego mi właśnie trzeba. Matka wróci do domu z myślą, żeby pierwszy raz zapłacić moje chesne, i wyczuje ode mnie rum.

– Dokąd poleciała tym razem?

– Chyba do Zurychu, z postojem w Londynie albo w Mediolanie.

– Jestem wściekłą, zgorzkniałą suką – powiedziałam po chwili milczenia. – Zgadza się?

– Zgadza. – Nawet się nie odwróciła.

Pokiwałam głową. A jednak.

– A wspominasz o tym, bo... – Oparła się o kuchenkę.

– Bo Chris nagle uwierzył w miłość, a ja nie, więc jestem okropnym człowiekiem. Chloe zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie jesteś taka okropna – oznajmiła w końcu. – Masz parę zalet.

Czekałam z uniesionymi brwiami.

– Na przykład fajne ciuchy – dodała.

– Pieprz się – burknęłam, a ona wybuchnęła śmiechem i położyła rękę na ustach.

Też się roześmiałam. Na co ja liczyłam? Powiedziałabym jej dokładnie to samo.

Nie pozwoliła mi prowadzić, kiedy wyszłam. Przeważała

mój samochód za róg – gdyby stał tuż przed domem, jej matka dostałaby szału – a potem zawiozła mnie do Bendo. Tam

przysięgłam, że wypiję tylko jedno piwo i zadzwonię po Jess, żeby odwiozła mnie do domu. Wszłam do środka, wypiałam dwa piwa i doszłam do wniosku, że nie będę jeszcze zawracać głowy Jess.

Rozsiadłam się przy barze, skąd miałam niezły widok na salę, i postanowiłam jeszcze trochę zostać.

Nie wiem, kiedy dokładnie ją zobaczyłam. W jednej chwili spierałam się o klasycznych rockowych gitarzystów z barmanem, wysokimi i chudym facetem o imieniu Nathan, a w następnej odwróciłam głowę i dostrzegłam ją w lustrze za barem. Miała oklapnięte włosy i lekko spoconą twarz. Najwyraźniej się upiła, ale wszędzie bym ją rozpoznała. Wszyscy myśleli, że na zawsze zniknęła, wszyscy oprócz mnie.

Otarłam twarz i poprawiłam włosy, żeby prezentowały się nieco lepiej.

Wpatrywała się we mnie, a tłum w lokalu gęstniał.

Czułam, jak zamawiający drinki ludzie napierają na mnie.

Najgorsze było to, że niemal ucieszyłam się na jej widok. Znowu objawiło się to, co we mnie zło.

Szczerze mówiąc, bywało znacznie gorzej.

Teraz już prawie nie piłam, nie paliłam trawy i nie

zaszywałam się z nieznanymi facetami w ciemnych kątach, ciemnych samochodach czy pomieszczeniach. Dziwne, jak to się nie sprawdzało w świetle dnia, kiedy widać topografię czyjejs twarży, zmarszczki i guzki, blizny. W mroku wszyscy wydają się tacy sami, kontury się zacierają. Kiedy myślę o tym, jaka byłam dwa lata wcześniej, czuję się jak niezabliźniona rana.

To nie picie i nie palenie było problemem, tylko to, do czego trudniej się przyznać. Grzeczne dziewczyny nie robią tego, co robiłam ja. Grzeczne dziewczyny czekają. Ale nawet zanim to się wydarzyło, nie uważałam się za grzeczną dziewczynę.

Byłam w drugiej klasie, kiedy sąsiad Lissy, Albert z ostatniej klasy, urządził imprezę. Rodzice Lissy wyjechali, więc wszystkie spałyśmy u niej. Najpierw dobrałyśmy się do barku, mieszając wszystko, co nam wpadło w ręce, i popijając

dietetyczną colą: rum, wódkę, miętowy sznaps. Od tamtej pory nie mogłam znieść wiśniówki, nawet w tortach, które matka kupuje w Milton's Market. Robiło mi się niedobrze od samego zapachu.

Jako drugoklasistki nigdy nie trafiłybyśmy na imprezę u Alberta, i nawet nie przyszłoby nam do głowy, żeby włączyć się tam bez zaproszenia. Wyszłyśmy za to na werandę z tyłu domu Lissy, z colą zaprawioną alkoholem i z mentolowymi papierosami ukradzionymi babci Chloe (od nich też robiło mi się potem niedobrze). Jakiś facet, już pijany, pomachał do nas, żebyśmy przyszły. Po szeptanej naradzie okazało się, że ja i Chloe mamy przewagę nad Lissą, więc poszłyśmy.

Wtedy po raz pierwszy w życiu się upiłam. Zaczęłam od wiśniówki, a godzinę później, brnąc przez salon Alberta, musiałam chwycić się fotela, żeby nie upaść. Wszystko wirowało.

Zauważyłam, że Chloe i Jess siedzą na kanapie w salonie, a jakaś dziewczyna uczy je grać w quarters. Muzyka grzmiała na pełny regulator. Ktoś zbił wazon w holu, niebieski, a jego okruchy leżały na limonkowym dywanie. Pomyślałam wtedy, że wyglądają jak szkło wyrzucone przez morze.

Na schodach wpadłam na jednego z kolegów Alberta, naprawdę lubianego gościa z ostatniej klasy. Flirtował ze mną przez cały wieczór i sadzał mnie sobie na kolanach, gdy graliśmy w karty. Podobało mi się to, bo dzięki temu nie czułam się jak jakaś głupia drugoklasistka. Kiedy powiedział, że powinniśmy pogadać sam na sam, wiedziałam, dokąd idziemy i po co. Już wtedy nie była to dla mnie żadna nowość.

W sypialni Alberta zaczęliśmy się całować w ciemności, jeszcze zanim zapalił światło. Gdy w końcu znalazł włącznik, zauważyłam na ścianie plakat Pink Floyd, sterty płyt

kompaktowych i zdjęcie Elle McPherson na grudniowej stronie kalendarza. Chłopak popchnął mnie na łóżko.

Zawsze szczyliłam się tym, że to ja decyduję o przebiegu sytuacji. Miałam wypróbowane ruchy i uniki, potrafiłam

wyślizgiwać się z uścisku faceta, żeby go spowolnić, ale teraz nic się nie sprawdzało. Za każdym razem, gdy przesuwiałam jego rękę, druga była już na mnie, a mnie brakowało siły. Na dodatek tak się zalałam, że nie potrafiłam złapać równowagi, ale przez chwilę było przyjemnie.

Gdy sięgam pamięcią tak daleko wstecz, widzę tylko dziwnie ostre detale. Leżał na mnie, wszystko wirowało, przygniatał mnie

jego ciężar, aż w końcu poczułam się jak Alicja wessana w króliczą norę. Nie tak miał wyglądać mój pierwszy raz.

Jak już było po wszystkim, powiedziałam, że mi niedobrze, i pobiegłam do łazienki. Drżącymi rękami przekreśliłam zamek, choć z początku nie udawało mi się wykonać nawet najprostszej czynności. Potem oparłam się o umywalkę i oddychając ciężko, uniosłam głowę. Wtedy właśnie zobaczyłam w lustrze jej twarz, bladą, nietrzeźwą i łatwą. Przestraszona i niespokojną. Dyszała, gdy na mnie patrzyła, zastanawiając się, co narobiła.

– Nic z tego. – Barman postawił przede mną filiżankę kawy.

– Ona ma już dosyć.

Otarłam twarz dłonią i spojrzałam na faceta obok mnie, po czym wzruszyłam ramionami.

– Jestem w porządku – oświadczyłam, czy też raczej wybelkotałam – Wypiłam tylko parę drinków.

– Jasne. Co oni tam wiedzą.

Gadaliśmy już chyba od godziny. Pamiętałam, że ma na imię Sherman i jest na pierwszym roku jakiegoś college'u w

Minnesocie, o którym w życiu nie słyszałam. Od dziesięciu minut coraz bardziej przybliżał swoją nogę do mojej, udając, że to z winy tłumu. Wysunął papierosa z paczki i chciał mnie poczęstować, ale pokręciłam głową. Zapalił, wydymuchał dym w powietrze.

– Taka dziewczyna jak ty musi mieć chłopaka – zauważył.

– Nie mam – Pomieszałam kawę łyżeczką.

– Nie wierzę. Okłamujesz mnie?

Westchnęłam. Znałam ten scenariusz na pamięć i godziłam się na to tylko dlatego, że nie byłam pewna, czy utrzymam się na własnych nogach, kiedy wstanę. Jess miała po mnie przyjechać. Na szczęście do niej zadzwoniłam. Chyba.

– To prawda – przyznałam. – Jestem straszną suką.

Moje wyznanie go zdumiało, ale nie wydawał się zrażony, raczej zaintrygowany. Równie dobrze mogłabym oświadczyć, że noszę skórzane majtki albo jestem kobietą-gumą.

– Kto tak powiedział?

– Wszyscy tak mówią – odparłam.

– Mam coś, co cię pocieszy.

– Och, nie wątpię.

– Poważnie. – Uniósł brwi, a potem udał, że pali skręta. – W samochodzie. Chodź ze mną.

Pokręciłam głową. Nie byłam już taka głupia.

– Nie, czekam na kogoś, kto odwiezie mnie do domu.

Przysunął się bliżej. Pachniał mocną wodą po goleniu.

– Ja cię odwiezę. No chodź. – Chwycił mnie za łokieć.

– Puszczaj. – Próbowалам wyrwać rękę z jego uścisku.

– Nie bądź taka – poprosił niemal z czułością.

– Mówię poważnie. – Szarpnęłam ręką. – Puszczaj.

– Daj spokój, Emmy. – Dokończył drinka. Nawet nie potrafił zapamiętać mojego głupiego imienia. – Przecież nie gryzę.

Zaczął mnie ściągać z taboretu. W innych okolicznościach bym mu to utrudniła, ale miałam problemy z utrzymaniem

równowagi. Zanim się zorientowałam, byłam już na nogach, a on ciągnął mnie przez tłum.

– Powiedziałam, żebyś mnie puścił, ty pieprzony zasańcu! – ryknęłam.

Szarpnęłam ręką, a moje ramię trafiło go prosto w twarz, aż zachwiał się i cofnął.

Teraz ludzie patrzyli na nas z umiarkowanym zainteresowaniem. Jak do tego doszło? Jedna niemiła uwaga Chrisa i robi się ze mnie ćma barowa, która leje się publicznie z jakimś Shermanem. Ze wstydu zaczerwieniłam się po czubki uszu.

Wszyscy na mnie patrzyli.

– No dobra, co tu się wyprawia? – Adrian, ochroniarz, zjawił się jak zwykle spóźniony, ale chętny do urzędzenia małego pokazu siły.

– Gadaliśmy przy barze i mieliśmy wyjść, kiedy jej odbiło. –

Sherman poprawił kołnierzyk. – Walnięta suka. Uderzyła mnie.

Stałam tylko i pocierałam ramię. Nienawidziłam samej

siebie. Było jasne, że kiedy się odwrócę, znów zobaczę tamtą dziewczynę,

popieprzoną i słabą, która potulnie poszłaby na parking. Nie cierpiałam jej, bo po tamtej nocy na przyjęciu przylgnęła do niej opinia puszczałskiej. W gardle urosła mi gula.

Przecież byłam lepsza, o wiele lepsza. Nie byłam Lissą, nie afiszowałam się ze swoim bólem, potrafiłam ukrywać go lepiej niż ktokolwiek.

– Chryste, puchnie – jęczał Sherman, pocierając oko.

Co za mięczak. Gdybym strzeliła go celowo, to by było co innego, ale przecież to

się stało przypadkiem. I nie rąbnęłam go mocno.

– Mam wezwać policję? – zapytał Adrian.

Nagle zrobiło mi się tak gorąco, że czułam, jak koszulka przylepia mi się do pleców. Sala się zakołysała, a ja zamknęłam oczy.

– O rany – usłyszałam głos i nagle ktoś wziął mnie za rękę. –

Tu jesteś. Spóźniłem się tylko kwadrans, skarbie, nie ma potrzeby wszczynać awantur.

Otworzyłam oczy i ujrzałam przy sobie Dextera. Chciałam wyszarpnąć rękę z jego uścisku, ale po tym, co się stało przed chwilą, postanowiłam stać spokojnie.

– To nie o ciebie chodzi – warknął Adrian do Dextera.

– Ale to moja wina – odparł radośnie Dexter. – Spóźniłem się, a to zawsze wkurza moją drobinę.

– Jezus Maria – wymamrotałam

– Drobinę? – powtórzył Sherman.

– Przyłożyła mu – zwrócił się Adrian do Dextera. – Być może należałoby wezwać gliny.

Dexter spojrział na mnie, a potem na Shermana.

– Uderzyła cię? – spytał z niedowierzaniem

Teraz Sherman nie wydawał się już taki pewny siebie.

Rozejrzał się ostrożnie.

– No, niezupełnie – mruknął.

– Maluszku! – Dexter popatrzył na mnie. – Naprawdę? Ale przecież to taka kruszynka.

– Lepiej uważaj – wycedziłam przez zęby.

– Chcesz, żeby cię aresztowali? – odparł równie cicho. – Już wiemy, że zdarza się jej paść w szal, ale żeby kogoś biła? Moja Remy? Przecież to chuchro, góra czterdzieści pięć kilo.

– Dzwonić po gliny czy nie dzwonić? Bo muszę wracać na bramkę – oznajmił Adrian.

– Zapomnij – burknął Sherman. – Spadam stąd.

Wycofał się, ale zdążyłam zauważyć, że faktycznie puchnie mu oko. Mięczak.

– A ty do domu. – Adrian wskazał na mnie. – I to już.

– Nie ma sprawy – zgodził się Dexter. – Bardzo dziękujemy za życzliwie i profesjonalnie przeprowadzoną interwencję.

Gdy wychodziliśmy, Adrian usiłował rozgryźć, czy

przypadkiemnie został obrażony. Na zewnątrz natychmiast wyrwałam rękę z uścisku Dextera i ruszyłam po schodkach do budki telefonicznej.

– A dziękuję? – spytał.

– Sama umiem zadbać o siebie – oznajmiłam – Nie jestem byle słabeuszką, którą trzeba ratować.

– Niewątpliwie – zgodził się. – Prawie aresztowano cię za napaść. – Zastąpił mi drogę. – Ocaliłem ci tyłek. Chyba mogłabyś okazać odrobinę wdzięczności. Jesteś pijana?

– Nie – warknęłam, chociaż sekundę wcześniej omal się nie przewróciłam – Nic mi nie jest. Chcę tylko zadzwonić po podwózkę i wrócić do domu. Rozumiesz?

Miałam naprawdę

zasrany wieczór.

Dexter wepchnął rękę do kieszeni i ruszyliśmy dalej.

– Czyżby? – mruknął.

– Tak.

Przy telefonie okazało się, że nie mam drobnych. Nagle to wszystko dotarło do mnie w jednej chwili: kłótnia z Chrisem, bójka w barze, moje rozczulanie się nad sobą, a na samym końcu wszystkie drinki, które w siebie wlałam w ostatnich godzinach.

Bolała mnie głowa, koszmarnie chciało mi się pić, a teraz jeszcze znalazłam się w kropce.

Zamknęłam oczy i kilka razy odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić.

Nie płacz, na litość boską, nakazałam sobie. Nie jesteś taka, już nie. Oddychaj głęboko.

Nie działało. Dziś nic mi nie wychodziło.

– Daj spokój – powiedział cicho Dexter. – No, powiedz wreszcie, co jest nie tak.

– Nie – chliphnęłam i natychmiast zniecierliłam się za swoją słabość. – Idź sobie.

– Remy, powiedz mi.

Pokręciłam głową. Niby dlaczego miałoby być inaczej?

Znowu się załamam, a ktoś usiłował mi pomóc, nie po raz pierwszy.

Jak można było mnie winić za moje lodowate serce?

To załatwiło sprawę. Rozplakałam się, wściekła na siebie, i nie mogłam przestać. Na taką złość pozwalałam sobie tylko w domu, we własnej garderobie, gapiąc się na



gwiazdy, z głosemójca w uszach. Tak bardzo marzyłam, żeby tu był, choć wiedziałam, jakie to głupie. Przecież nawet mnie nie znał. Sam napisał w piosence, że sprawi mi zawód.

– Remy? – odezwał się cicho Dexter. Nie dotykał mnie, ale jego głos dobiegał z bardzo bliska. – Wszystko dobrze, nie płacz.

### **Rozdział siódmy**

Obudziłam się z suchością w ustach i łupaniem w głowie.

Za drzwiami naprzeciwko dobiegały dźwięki gitary. Było ciemno, jeśli nie liczyć plamy światła na łóżku.

Usiadłam pośpiesznie i zakręciło mi się w głowie. Mój Boże, dobrze znałam to budzenie się w cudzym łóżku, bez świadomości, co się wydarzyło. W takich chwilach cieszyłam się, że nikogo przy mnie nie ma, że nikt nie jest świadkiem mojego potwornego wstydu. Sprawdziłam, czy mamna sobie majtki (tak), stanik (też).

Na pewno też nie stało się nic poważnego, bo... no cóż, dziewczyny po prostu to wiedzą.

Jezu. Zamknęłam oczy i odetchnęłam.

W porządku, powiedziałam sobie. Pomyśl przez chwilę.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakichś charakterystycznych szczegółów, które mogłyby mi podpowiedzieć, co właściwie się wydarzyło. Ostatnie, co pamiętałam, to ja, Dexter i budka telefoniczna. Po lewej stronie zobaczyłam okno i parapet, na którym stał rząd kulek z padającym śniegiem. Krzesło po drugiej stronie pokoju było zavalone ubraniami, a na podłodze leżał stosik płyt kompaktowych. Na łóżku dostrzegłam swoje sandały, sweter, który wiązałam na biodrach, pieniądze i prawo jazdy. Na pewno ich tamnie położyłam. Nawet po pijaku bym je poskładała.

Nagle usłyszałam czyjś śmiech i parę gitarowych akordów.

– „Dałaś mi ziemniak” – ktoś zaśpiewał, chichocząc. – „A ja chciałem kumkwat. Prosiłem miłość, a ty powiedziałaś...” Ej, to mój serek wiejski?

– Głodny jestem – oznajmił ktoś inny. – A oprócz tego są tu tylko ogórki konserwowe.

– To jedz ogórki. Serek jest zarezerwowany.

– Masz jakiś problem?

– Chodzi o zasady, Johnie Millerze. Nie kupujesz żarcia, to nie jesz. Koniec, kropka.

Drzwi lodówki trzasnęły i zapadła cisza, a po chwili znowu rozległy się dźwięki

gitary.

– Ale z niego dzieciuch – powiedział ktoś. – No dobra, na czym stanęliśmy?

– Na kumkwacie. – Tym razem rozpoznałam Dextera.

– Kumkwat... Jasne.

– „Prosiłem o miłość” – zaśpiewał Dexter. – „A ty powiedziałaś: Że co?”.

Odrzuciłam kołdrę, wstałam i włożyłam buty, dzięki czemu od razu lepiej się poczułam. Kiedy schowałam prawo jazdy, usiadłam, żeby pomyśleć. W pokoju nie było zegara, ale pod stertą koszul znalazłam telefon stacjonarny i wybrałam numer zegarynki, która najpierw przedstawiła mi prognozę pogody na pięć dni, a potem powiedziała, że jest dwunasta dwadzieścia dwie w nocy.

Wkurzało mnie nieposłane łóżko, ale to nie był mój problem.

Musiałam jakoś wrócić do domu.

Wystukałam numer Jess i przygryzłam paznokieć.

– Jess?

– Posłuchaj, Remy Starr. Nakopię ci w pieprzony tyłek.

– Dobrze, ale posłuchaj...

– Gdzie ty jesteś, do cholery? – Jess momentalnie oprzytomniała. Mówiła cicho, choć była maksymalnie wkurzona. –

Wiesz, że przez Ciebie Chloe cały wieczór nie dawała mi spokoju?

Podobno zawiozła cię o wpół do dziewiątej na jedno piwo do Bendo.

– No tak, zabawiłam trochę dłużej.

– Widzę przecież. Podjechałam, żeby cię poszukać, i co się okazało? Nie dość, że się schlałaś, to jeszcze komuś przyłożyłaś, a potem wyszłaś z jakimś facetem i tyle cię widzieli. Remy, co ty sobie myślisz, do cholery?

– Rozumiem, że jesteś wściekła, ale muszę...

– Twoim zdaniem lubię odbierać telefony od Chloe i

wysłuchiwać oskarżeń, że jeśli nie żyjesz, to moja wina, bo najwyraźniej powinnam nawiązać z tobą łączność telepatyczną i w ten sposób zrozumieć, że mam cię odebrać z klubu, mimo że nie dzwonisz?

– Posłuchaj – szepnęłam – Schrzaniłam, i to jak. Ale teraz jestem w domu tego faceta i muszę się stąd wydostać. Możesz mi pomóc?

– Powiedz, gdzie – zażądała, więc powiedziałam.

– Jess, naprawdę...

Odłożyła słuchawkę. No cóż, teraz obie byłyśmy wkurzone na mnie, ale

przynajmniej wyglądało na to, że wróć do domu.

Podeszłam do drzwi i oparłam się o nie. Gitara nadal grała, słyszałam, jak Dexter śpiewa o ziemniaku i kumkwacie, raz za razem, jakby czekał na inspirację. Uchyliłam lekko drzwi i zerknęłam na kuchnię, gdzie zobaczyłam laminowany stół i niedopasowane krzesła, lodówkę z przyczepionymi zdjęciami oraz sofę w brązowo-zielone paski. Dexter oraz facet, którego rozpoznałam jako gitarzystę Teda, siedzieli przy stole z paroma puszkami piwa. Małpison spał na sofie.

– Może to nie powinien być kumkwat – zasugerował Dexter i niebezpiecznie zakotył się na tylnych nogach krzesła. – Może powinniśmy wymyślić inny owoc.

– Na przykład?

– Bo ja wiem? – Dexter przejechał rękami po włosach; były tak kręcone, że tylko jeszcze bardziej je potargał. – Może granat?

– Zbyt wybuchowo.

– Nektarynki?

Ted przechylił głowę, po czym zaśpiewał:

– „Dałaś mi ziemniak, a ja chciałem nektarynkę...”

Popatrzyli po sobie.

– Koszmar – uznał Dexter.

– Fakt.

Zamknęłam drzwi, wzdrygając się, gdy cicho szcęknęły.

Wolałam nie stawać twarzą w twarz z Dexterem po tym, co się wydarzyło, lub raczej nie wydarzyło. Poza tym obecność trzeciej osoby całkowicie usprawiedliwiała ucieczkę przez okno.

Włazłam na łóżko i odsunęłam śnieżne kule – na litość

boską, nawet dziesięciolatki już tego nie zbierają – a potem odsunęłam zasuwkę i uniosłam okno. Miejsca było niewiele, ale dla mnie w sam raz.

Już miałam się wygramolić na zewnątrz, gdy dopadły mnie wyrzuty sumienia. W końcu wylądowałam w bezpiecznym

miejscu, a sądząc po smaku w ustach oraz minionych

doświadczeniach, najprawdopodobniej wymiotowałam. Nie

mogłam sobie przypomnieć, jak tu trafiłam, więc Dexter z pewnością mnie

przywłókł albo przyniósł. Co za wstyd.

Opadłam na łóżko. W takiej sytuacji powinnam zachować się przyzwoicie i zrobić coś miłego. Tyle tylko, że Jess już jechała i nie zostało mi wiele możliwości. Rozejrzałam się wokół siebie.

Brakowało czasu na posprzątanie, chociaż słyszałam z szybkich porządków. Gdybym zostawiła liścik, wyszłoby na to, że mam ochotę na dalszy kontakt, a szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy tego chcę. Wobec tego zostało mi tylko posłanie łóżka, co zrobiłam bardzo sprawnie. Wiedziałam, że nawet w Four Seasons nie umieją lepiej układać poduszek.

I tak, z nieco mniej obciążonym sumieniem precyzyjnie się na zewnątrz przez małe okienko, próbując zachowywać się jak najdyskretniej, co właściwie mi się udało. Kiedyś słyszałam z ucieczek przez okno. Zawsze wołałam tak się ulatniać, nawet jeśli droga do drzwi była w miarę wolna. Robiłam to ze wstydu, w ramach kary, którą sama sobie narzuciłam. W głębi serca wiedziałam, że zachowuję się fatalnie, i to była moja pokuta.

Dwie ulice dalej, przy Caldwell, zeszedłam z krawężnika przy znaku stopu i wyciągnęłam rękę, mrużąc oczy, gdy oślepiły mnie reflektory samochodu Jess. Zatrzymała się, a gdy wsiadałam, niewzruszona patrzyła przed siebie.

– Całkiem jak za dawnych czasów – oznajmiła głucho. – Jak tam?

Westchnęłam. Było zbyt późno, żeby wdawać się w szczegóły.

– Jak kiedyś – odparłam.

Włączyła radio, a gdy mijałyśmy dom Dextera, zauważyłam otwarte drzwi frontowe i Małpiszona z nosem przyciśniętym do siatki. Dexter pewnie jeszcze nie wiedział, że zniknęłam, ale w wszelki wypadek się skuliłam. Nie chciałam, żeby mnie zobaczył, choć przy tej prędkości, w nroku, i tak nie miałby na to szans.

Tym razem obudziło mnie pukanie.

Nie zwyczajne, tylko w rytmie, który rozpoznałam. Brzmiało jak stara niemiecka melodyjka *O, Tannenbaum*. Otworzyłam jedno oko i rozejrzałam się ostrożnie. Leżałam w swoim łóżku, we własnym uniwersum, tak jak lubiłam najbardziej.

Przeszkadzało mi jedynie pukanie.

Przewróciłam się na brzuch i ukryłam twarz w poduszce, zakładając, że to jeden z kotów matki.

– Idźcie sobie – wymamrotałam – Poważnie.

Wtedy okno nad moim łóżkiem nagle się otworzyło i z przerażeniem zorientowałam się, że do środka wpadł Dexter, głową naprzód, rozpaczliwie machając kończynami. Z głuchym łoskotem wylądował na podłodze, przy okazji zrzucając na podłogę mój budzik, i zamarł na dywanie.

Zapadła cisza.

Dexter uniósł głowę, rozejrzał się i ponownie położył ją na dywanie. Wydawał się oszołomiony, a ja wiedziałam, co czuje.

Okno było na pierwszym piętrze, więc wspinaczka po kratownicy stanowiła problem

– Mogłaś przynajmniej się pożegnać – oświadczył z zamkniętymi oczami.

Usiadłam i podciągnęłam kołdrę pod szyję. To było surrealistyczne; nawet nie wiedziałam, jak znalazł mój dom. Co powiedział, kiedy się poznaliśmy? Coś o naturalnej chemii.

Twierdził, że zauważył ją na samym początku. Może to wyjaśniało, dlaczego wciąż na siebie wpadaliśmy – a może po prostu był okropnie uparty. Tak czy owak, znaleźliśmy się na rozdrożu. Musiałam się na coś zdecydować.

Usiadł, roztarł twarz ręką i popatrzył na mnie tak, jakbym teraz ja miała coś powiedzieć.

– Nie chcesz się ze mną wiązać – oznajmiłam – Naprawdę.

Wstał i zamrugał, po czym podszedł do łóżka i na nim usiadł.

Nachylił się i dotknął dłonią mojego karku, przyciągając mnie do siebie. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i nagle przypomniał mi się urywek wczorajszej nocy: dziewczyna i chłopak przed budką telefoniczną. Dziewczyna zasłania rękami oczy, chłopak patrzy na nią i coś mówi. Nagle dziewczyna robi krok do przodu, przyciska twarz do jego torsu, a on unosi ręce, żeby głaskać ją po włosach.

A więc ja zainicjowałam kontakt. Może od samego początku byłam tego świadoma i dlatego uciekłam, bo nie mogłam

okazywać słabości, nie mogłam być od nikogo zależna. Gdyby okazał się taki jak inni i pozwolił mi odejść, byłoby tak, jak trzeba.

Łatwo byłoby zapomnieć i nie otwierać przed nikim serca.

Teraz jednak Dexter siedział bardzo blisko mnie i to mogło się rozwinąć na bardzo różne sposoby. Każdy wybór, zwłaszcza dokonany niechętnie, wpływał na wszystko inne.

Kiedy więc niczego nieświadoma reszta świata popijała

kawę, czytała sportowe strony lub odbierała pranie, ja pochylałam się i pocałowałam Dextera, podejmując decyzję, która miała zmienić wszystko.

Odwzajemniłam pocałunek i zatraciłam się w jego smaku. Przywarliśmy do siebie

ustami, a życie wokół nas toczyło się jak zawsze.

## **Lipiec**

### **Rozdział ósmy**

– „Nie dawaj mi zgniłego pomidora, bo brakuje mi twojego słodkiego kartofla”.

– Dexter urwał, a muzyka ucichła; teraz słychać było tylko warkot lodówki i pochrapywanie Małpiszona. –

Dobra, co się rymuje z „kartofla”?

Ted brzdąkał na gitarze, wpatrując się w sufit. John Miller przetoczył się na sofie przy lodówce i wałnął głową o ścianę.

– No? – spytał Dexter.

– To zależy, czy chcesz mieć prawdziwy rym, czy pseudorym

– zauważył Lucas i skrzyżował nogi.

– Pseudorym? – powtórzył Dexter.

– Prawdziwy rym do „kartofla” – oświadczył przemądrzałym tonem Lucas – to na przykład „Dexter to flak”. Bez urazy, Dexter.

Można jednak wybrać sobie inne słowo, które tylko brzmi podobnie, i na siłę stworzyć rym, na przykład: „zarosła” albo „miał osła”.

– „Brakuje mi twojego słodkiego kartofla, by nasza miłość krzakami nie zarosła” – zaśpiewał Dexter.

Zapadła cisza. Ted zagrał jeszcze jeden akord i naciągnął strunę.

– Trzeba nad tym popracować – zadecydował Lucas. – Ale myślę, że zmierzamy we właściwym kierunku.

– Możecie się zamknąć? – jęknął John Miller z sofy. –

Próbuję tu spać.

– Minęła druga po południu i siedzimy w kuchni – poinformował go Ted. – Spadaj albo przestań marudzić.

– Oj, dzieci, dzieci – zmitygował ich Dexter.

Ted westchnął ciężko.

– Ludzie, musimy się skupić – burknął. – Chcę, żeby *Opus ziemniaczane* było gotowe na występ w przyszłym tygodniu.

– *Opus ziemniaczane*? – powtórzył Lucas. – Tak to się teraz nazywa?

– A masz lepszy pomysł?

Lucas przez chwilę milczał.

– Nie – odparł w końcu. – Nie mam.

– To się, kurde, zamknij. – Ted poprawił gitarę. – Pierwsza zwrotka od początku, z uczuciem

I tak to się ciągnęło. Tak wyglądał kolejny dzień w żółtym domu, w którym ostatnio spędzałam sporo wolnego czasu. Nie to, żeby tu mi się szczególnie podobało. To była nora głównie dlatego, że mieszkało tu czterech facetów i żaden nigdy nie miał okazji zapoznać się bliżej z detergentami. W lodówce gniło jedzenie, kafelki prysznicowe zarosły grzybem, a pod tarasem z tyłu domu śmierdziało coś bliżej niezidentyfikowanego. Tylko pokój Dextera był czysty, ale jedynie dzięki mnie. Kiedy znalazłam brudne majtki pod poduszką na sofie albo kiedy musiałam walczyć z muszkami owocówkami w kuchni, nieustannie fruującymi nad kubłem na odpadki, mogłam przynajmniej pocieszać się myślą, że łóżko Dextera jest posłane, jego płyty ułożone w kolejności

alfabetycznej, a odświeżacz powietrza pracuje pełną parą. Doszłam do wniosku, że te wysiłki to niska cena za spokój mojego umysłu.

Trzeba przyznać, że ów spokój był poważnie zaburzony,

odkąd matka wróciła z miodowego miesiąca, by wieść małżeńskie życie pod naszym dachem. Przez całą wiosnę po domu kręcili się robotnicy, kładąc suchy tynk, wstawiając okna i roznosząc trociny po podłogach. Zburzyli ścianę dawnego pokoju wypoczynkowego, rozbudowali go kosztem podwórza za domem, i dodali nowy apartament wraz z luksusową łazienką. To, co ja i Chris nazywaliśmy „nowym skrzydłem”, wyglądało jak całkiem inny dom, zresztą zgodnie z intencją matki.

Potrzebowała wszystkiego do kompletu, łącznie z nową sypialnią, nowym mężem i nowym dywanem. Wiodła idealne życie, ale reszta z nas wciąż się dostosowywała.

Istotnym problemem były rzeczy Dona. Jako zatwardziały

kawaler, przywiązał się do pewnych przedmiotów, a niewiele z nich pasowało do nowego wystroju wnętrza matki. Jedyne, co odzwierciedlało gust Dona w sypialni, to wielki marokański gobelin z biblijnymi scenami. Zajął większość ściany, ale niemal idealnie pasował do dywanu, więc matka poszła na kompromis.

Reszta przedmiotów Dona została skazana na wygnanie, co oznaczało, że Chris i ja musimy nauczyć się z nimi żyć.

Pierwsze, co zauważyłam kilka dni po ich powrocie, to

oprawiona w ramy reprodukcja dzieła jakiegoś renesansowego malarza, przedstawiająca cycatą kobietę w ogrodzie. Kobieta miała wielkie, nalane paluchy, zupełnie białe, i leżała rozwalona na sofie, goła jak święty turecki. Jej olbrzymi biust

zwisał z sofy, a ona jadła winogrona: w jednej dłoni trzymała kiść, drugą wsuwała owoce do ust. Może i była to sztuka, ale problematyczna, i na pewno odrażająca. Na domiar złego reprodukcja wisiała nad naszym stołem kuchennym, więc nie pozostało mi nic innego, jak tylko patrzeć na nią podczas śniadania.

– Rany – powiedział Chris pierwszego ranka, mniej więcej dwa dni po wprowadzeniu się Dona, i popatrzył na mnie znad płatków zbożowych. – Jak myślisz, ile ważyła ta kobieta?

Ugryzłam muffinkę, próbując skupić się na gazecie przed sobą.

– Nie mam pojęcia – odparłam.

– Co najmniej sto dziesięć kilo – ocenił Chris, siorbiąc następną łyżkę. – Same piersi musiały mieć po dwa i pół kilo każda. Może nawet po trzy.

– Musimy o tym mówić?

– Jak mamy nie mówić? Przecież to tutaj wisi. Równie dobrze można by ignorować słońce.

Nie chodziło tylko o ten obraz. W holu stała teraz

nowoczesna rzeźba, która wyglądała jak wielki penis (czy te dzieła miały jakiś wspólny mianownik? Wcześniej nie posądziłabym Dona o nic zdrożnego, ale nagle nabrałam podejrzeń). Do tego doszedł jeszcze zestaw garnków Calphalon, które trafiły nad naszą kuchenną wyspę, oraz czerwona skórzana sofa w salonie, ewidentnie zaprojektowana dla kawalera na dorobku. Nic

dziwnego, że czułam się trochę nie na miejscu. Cóż, domnie należał do mnie. Don miał podobno zostać na stałe, ja miałam wyjechać jesienią. Tym razem to mnie oznaczono datą ważności, co niespecjalnie mi odpowiadało.

To jednak mogło tłumaczyć, dlaczego ciągle przesiadywałam u Dextera, choć był jeszcze jeden powód, do którego nie zamierzałam się jednak przyznawać, nawet sama przed sobą.

Odkąd zaczęłam umawiać się z facetami, w moim umyśle

tkwił pewien schemat sytuacyjny dotyczący standardowego przebiegu zdarzeń.

Związki zawsze zaczynają się od okresu oszołomienia graniczącego z omdleniem. W tym czasie druga osoba jest niczym nowy wynalazek, który pozwala błyskawicznie rozwiązywać wszystkie najgorsze problemy życiowe, takie jak gubienie skarpetek w suszarce albo przypalanie krawędzi grzanek.

Na tym etapie, który zwykle trwa co najwyżej półtora miesiąca, druga osoba jest idealna. Jednak po sześciu tygodniach i dwóch dniach pojawiają się rysy. Nie ma jeszcze prawdziwych uszkodzeń, ale coraz wyraźniej widać usterki. Na przykład:



facet zakłada, że zawsze będziesz płaciła za swój bilet do kina, bo przecież zrobiłaś to raz, albo traktuje deskę rozdzielczą jak niewidzialną klawiaturę pianina i tłucze w nią na czerwonych światłach. To, co kiedyś wydawało się urocze, teraz cię wkurza, choć nie na tyle, żeby cokolwiek zmienić. W ósmym tygodniu jednak rysy zmieniają się w rozpadliny. Druga osoba okazuje się człowiekiem, i właśnie na tym etapie większość związków zdycha, bo albo trzeba wytrzymać z nowymi problemami, albo odejść z godnością, pamiętając, że kiedyś pojawi się inna idealna osoba, która wszystko naprawi.

Przynajmniej na półtora miesiąca.

Znałam ten schemat jeszcze przed pierwszym swoim chłopakiem na serio, bo widziałam zachowanie matki. W małżeństwie naturalnie wzorzec rozciągał się na dłuższy czas: półtora miesiąca zmieniało się w rok, czasami w dwa lata, ale to i tak było to samo. Dlatego właśnie tak łatwo było się domyślić, że moi ojczymowie długo nie zabawią. Wszystko sprowadzało się do matematyki.

Gdybym wykorzystała matematykę w związku z Dexterem, w zasadzie wszystko byłoby idealne. Wiadomo było, że nie potrwa to nawet trzech miesięcy, bo przecież miałam wyjechać na studia akurat wtedy, gdy sprawy zaczęłyby się psuć. Problem polegał na tym, że Dexter nie współpracował. Gdyby moją teorię związków przedstawić w formie geograficznej, Dexter nie znajdował się ani na lewo od centrum, ani nawet daleko na prawo. Wylądowałby na zupełnie innej mapie i zmierzał ku jej obrzeżom, kierując się w nieznaną.

Po pierwsze, był bardzo chudy. Nigdy nie lubiałam tyczkowatych facetów, a Dexter był niezręczny, kościsty i bardzo ruchliwy. Teraz mnie nie dziwiło, że nasza relacja zaczęła się od tego, że bez przerwy na mnie wpadał. Wiedziałam już, że brnął

przez świat, rozpychając się łokciami, objając sobie kolana i wymachując kończynami. Odkąd byliśmy razem, zdążył popsuć mi budzik, rozdeptać koraliki i nawet mocno zarzysować sufit –

poważnie. Nieustannie poruszał kolanami i bębnił palcami, jakby podkreślał silnik w oczekiwaniu na machnięcie flagi, żeby ruszyć z pełną prędkością.

Nieustannie próbowałam go uspokoić,

przykładałam dłoń do jego kolan lub palców, ale to nic nie dawało.

Poza tym był niechlujem. Zawsze wystawała mu koszula, na krawacie zwykle miał plamy, a włosy, choć kręcone i gęste, sterczały na wszystkie strony jak u

szalonego naukowca. Do tego chodził z nieustannie rozwiązanymi sznurówkami. Nigdy nie miał

nic szczególnego do roboty. Gdybym potrafiła go unieruchomić, choć na jedną chwilę, nie mogłabym się oprzeć wygładzaniu, poprawianiu, organizowaniu go tak, jakby był wyjątkowo

zabałaganioną szafą, która wręcz doprasza się o moją uwagę. A tak tylko zgrzytałam zębami, powtarzając sobie, że to przecież nie jest na stałe.

Co prowadziło do punktu trzeciego: Dexter naprawdę mnie lubił, i to nie w umiarkowany sposób, jakby czekał do końca lata, żeby się ze mną rozstać. To byłoby najbezpieczniejsze

rozwiązanie. Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości, jakbyśmy mieli przed sobą mnóstwo czasu. Naturalnie ja chciałam, żeby wszystko było jasne od początku. Wyjeżdżam, więc nie ma mowy o trwałym związku – tę standardową gadkę powtarzałam sobie w głowie i w końcu chciałam wypowiedzieć ją na głos, jednak Dexter za każdym razem unikał tematu, jakby umiał czytać mi w myślach i wiedział, na co się zanosí.

Teraz zespół zakończył pracę nad *Pieśnią ziemiaka*, bo Ted musiał iść do pracy. Dexter stanął przede mną i przeciągnął się.

– To podniecające oglądać próby prawdziwej kapeli, co? – spytał.

– „Kartofla” nie rymuje się z „zarosła” – zauważyłam.

– Praca nadal trwa – odparł z uśmiechem.

Odłożyłam rozwiązana do połowy krzyżówkę, a on wziął ją do ręki.

– Robi wrażenie – mruknął. – I naturalnie, panna Remy pisze od razu długopisem.

A gdybyś popełniła błąd?

– Nie zdarza mi się.

– A jednak tu jesteś – powiedział.

– No dobra, może jeden – przyznałam.

Znów się uśmiechnął. Widywaliśmy się od kilku tygodni, ale od pierwszego dnia w moim pokoju czułam, że jakoś darowaliśmy sobie formalności towarzyszące początkom związku, te niezręczne chwile, w których ciągle jeszcze bada się ograniczenia drugiej osoby. Może stało się tak dlatego, że przez pewien czas krążyliśmy wokół siebie, nim w końcu Dexter wpadł przez moje okno. Jeśli jednak za dużo o tym myślałam – a starałam się tego unikać –

przychodziło mi do głowy, że czułam się przy nim swobodnie już od samego

początku, nawet wtedy, gdy złapał mnie za rękę. Jakby już wtedy wiedział, że to się tak skończy.

– Założę się, że wymienię więcej nazw stanów niż ty, zanim ta kobieta wyjdzie z pralni chemicznej.

Popatrzyłam na niego. Siedzieliśmy przed Joie, podczas przerwy na lunch. Ja piłam colę bez cukru, a on częstował się figami z paczki.

– Dexter, jest gorąco – odparłam.

– No chodź, założymy się. – Dotknął dłonią mojej nogi.

– Nie.

– Boisz się?

– Nie.

Przechylił głowę i uściśnął moje kolano.

– No chodź, zaraz wejdzie. Kiedy zamkną się za nią drzwi, zaczynamy.

– O Boże – westchnęłam – O co się chcesz założyć?

– O pięć dolców.

– Nuda. I za proste.

– Niech będzie dycha.

– Dobra. Ale stawiasz kolację.

– Stoi.

Kobieta w różowych szortach i koszulce, ze stosem pogniecionych koszul w rękach, otworzyła drzwi do pralni.

– Maine – powiedziałam, gdy się zamknęły.

– Dakota Północna.

– Floryda.

– Wirginia.

– Kalifornia.

– Delaware.

Liczyłam na palcach. Lubił oszukiwać, ale zawsze stanowczo zaprzeczał, więc musiałam mieć dowód. Takie wyzwania były dla Dextera jak pojedynki w starych filmach, w których mężczyźni ubrani w białe garnitury tłukli się po twarzach rękawiczkami, a chodziło imo honor. Jak dotąd, nie wygrałam wszystkich konfrontacji, ale i nie rejterowałam. W końcu wszystko to było dla mnie nowością.

Jak się okazało, Dexter słynął z zakładów. Pierwszy, którego byłam świadkiem, był zakład z Johnem Millerem. To się zdarzyło parę dni po tym, jak się zesłaliśmy i poszłam z nim do żółtego domu. John Miller siedział w piżamie przy kuchennym

stole i jadł

banana. Na blacie leżała wielka kiść, która wyglądała nie na miejscu w kuchni, gdzie jak już wiedziałam, posiłki składały się głównie ze słodzonych napojów i piwa.

– Co to za banany? – zainteresował się Dexter i usiadł.

John Miller, nadal zaspany, skierował na niego spojrzenie.

– Owoce miesiąca. Urodzinowy prezent od babci – odparł.

– Potas – zauważył Dexter. – Trzeba go spożywać codziennie.

John Miller ziewnęła, jakby znał na pamięć te głupoty, i wrócił do banana.

– Założę się... – zaczął Dexter głosem, którym zawsze proponował zakłady: głębokim, jakby prowadził teleturniej. – Założę się, że nie zjesz dziesięciu bananów.

John Miller przełknął kęs banana.

– Założę się, że masz rację – odparł.

– Rzucam ci wyzwanie – obwieścił Dexter i trącił nogą rozchwiane krzesło, sygnalizując, żebym usiadła. – Przyjmujesz?

– Odbiło ci?

– Za dziesięć dolców.

– Ani myślę zjadać dziesięciu bananów za dziesięć dolców! – obruszył się John Miller.

– To dolar za banana!

John Miller rzucił skórkę do przepelnionego kosza przy drzwiach i nie trafił.

– Co więcej, te twoje gówniane zakłady już się wszystkim przejadły, Dexter – dodał. – Nie możesz rzucać ludziom wyzwania za każdym razem, gdy przyjdzie ci na to ochota.

– A więc nie przyjmujesz?

– Możesz przestać mówić tym głosem?

– Dwadzieścia dolców – podbił stawkę Dexter. –

Dwadzieścia dolców...

– Nie.

– ...i wyczyszczę łazienkę.

To najwyraźniej zmieniało postać rzeczy. John Miller popatrzył na banany i na Dextera, a potem znów na banany.

– Liczy się ten, który zjadłem?

– Nie.

– Co? – John Miller trzasnął dłonią w blat. – Przecież jeszcze nie trafił do żołądka, na litość boską!

Dexter przez chwilę się zastanawiał.

– W porządku. Niech Remy zadecyduje – powiedział.

– Że co? – zdumiałam się.

Obaj na mnie patrzyli.

– Jesteś bezstronna – wyjaśnił Dexter.

– To twoja dziewczyna, nie będzie bezstronna! – zachnął się John Miller.

– Nie jest moją dziewczyną. – Dexter popatrzył na mnie tak, jakby jego słowa mogły mnie przygnębić, co oznaczało, że wcale mnie nie zna. – To znaczy, może się i widujemy... – Znowu umilkł, jakby czekał, aż coś powiem, lecz milczałam, więc dodał: –

...ale jesteś człowiekiem o własnych opiniach i przekonaniach, prawda?

– Nie jestem jego dziewczyną – poinformowałam Johna Millera.

– Ona mnie kocha – oznajmił Dexter, a ja poczułam, że się rumienię. – Tak czy owak, Remy, co ty na to? Liczy się czy się nie liczy?

– No, moim zdaniem powinien się jakoś liczyć. Może jako połówka.

– Połówka! – Dexter popatrzył na mnie jak na ósmy cud świata. – Doskonale. Więc jeśli przyjmiesz wyzwanie, będziesz musiał zjeść dziewięć i pół banana.

John Miller zastanawiał się przez chwilę. Później

dowiedziałam się, że w żółtym domu zawsze brakowało pieniędzy, a te wyzwania zapewniały równowagę w przepływie gotówki między jedną osobą a drugą. Dwadzieścia dolców oznaczało jedzenie i piwo przynajmniej na parę dni, a przecież chodziło tylko o dziewięć bananów. Dziewięć i pół.

– Okej – oznajmił John Miller i uścisnęli sobie dłonie.

W wypadku zakładu należało zgromadzić świadków.

Ściągnęliśmy Teda z werandy z tyłu, razem z dziewczyną, z którą się spotykał. Przedstawiono mi ją jako Scary Mary (wolałam nie wnikać, skąd to przezwisko). Po bezskutecznych poszukiwaniach klawiszowca Lucasa postanowiono, że zastąpi go pies Małpison.

Zgromadziliśmy się wokół stołu oraz na długiej brzydkiej sofie przy lodówce.

John Miller odetchnął głęboko i rozciągnął się, jakby miał pobiec na pięćdziesiątkę.

– No dobra – powiedział Ted, jedyny ze sprawnym zegarkiem – Start!

Ktoś, kto nigdy nie widział zawodów w jedzeniu, jak ja wtedy, mógłby się spodziewać czegoś ciekawego. Tyle tylko, że zakład nie dotyczył zjedzenia dziewięciu i pół banana na czas.

John Miller miał po prostu zjeść dziewięć i pół banana. Dlatego przy mnie więcej czwartym bananie zrobiło się nudno. Ted i Scary Mary poszli na gofry, a ja, Dexter i Malpison zostaliśmy na następne pięć i pół banana. Mogliśmy to sobie darować: John Miller poległ w połowie szóstego banana, po czym ostrożnie wstał i udał się do łazienki.

– Mam nadzieję, że go nie zabiłeś – mruknąłem do Dextera, gdy za Johnem Millerem zamknęły się drzwi.

– Gdzie tam – Przeciągnął się na krześle. – Trzeba go było widzieć miesiąc temu, kiedy zjadł piętnaście jajek. Wtedy się martwiliśmy. Zrobił się purpurowy.

– Dziwne, że ty nigdy nie musisz pochłaniać stert żarcia.

– Nieprawda. Po prostu zrezygnowałem z tego w kwietniu, po największym zwycięstwie w historii zakładów.

Nie chciałem pytać o szczegóły, ale ciekawość wzięła górę.

– Mianowicie?

– Zjadłem dziewięćdziesiąt deko majonezu w dwadzieścia minut – odparł.

Na samą myśl skręcił mi się żołądek. Nienawidziłam majonezu i wszystkich związanych z nim potraw: sałatki z jajek, sałatki z tuńczyka, a nawet jajek na ostro.

– Ohyda.

– Wiem – powiedział z dumą. – Nie pobiłbym własnego rekordu, nawet gdybym spróbował.

Zastanawiałam się, jaki człowiek czerpie satysfakcję z

nieustannej rywalizacji. Dexter założyłby się o wszystko. Ostatnio zakładał się między innymi o to, że następny przejeżdżający samochód będzie albo niebieski, albo zielony; stawiał pięć dolców, że zrobi coś jadalnego z kukurydzy w puszcze, frytek i musztardy; i oczywiście, ile stanów wymienisz, zanim ta kobieta wyjdzie z pralni.

Wymieniłam dwadzieścia. Dexter dotarł do dziewiętnastu i mózg mu się zawiesił.

– Kalifornia – powiedział w końcu i zerknął nerwowo na drzwi pralni.

W środku kobieta rozmawiała z kimś za ladą.

– Kalifornia już była – poinformowałam go.

– Wisconsin.

– Montana.

– Karolina Południowa.

Drzwi się otworzyły, kobieta wyszła.

– Koniec. Wygrałam – oznajmiłam.

– Wcale nie!

Uniosłam palce, na których liczyłam.

– Wygrywam jednym punktem! Płać.

Z westchnieniem sięgnął do kieszeni, ale rozmyślił się i mnie przytulił, ukrywając twarz w mojej szyi.

– Nic z tego. – Położyłam dłoń na jego piersi. – Nie uda ci się.

– Będę twoim niewolnikiem – szepnął mi do ucha.

Przeszył mnie dreszcz, jednak natychmiast sobie

przypominałam, że latem zawsze miałam jakiegoś chłopaka, który przykuwał moją uwagę po zakończeniu roku szkolnego, a taki związek trwał zwykle do rodzinnej wycieczki na plażę w sierpniu.

Jedyna różnica polegała na tym, że teraz jechałam na zachód, nie na wschód.

Poza tym wiedziałam już, że długodystansowy związek by

nam nie wyszedł. Widziałam, że Dexter jest niedoskonały i ma ewidentne wady.

Mogłam sobie wyobrazić, jakie uszkodzenia skrywały się głębiej i jak daleko sięgały. Mimo to trudno było mi myśleć trzeźwo, kiedy całował mnie teraz, w lipcu, po kolejnym zakładzie. W końcu wyglądało na to, że mamy jeszcze czas.

– Pytanie zasadnicze brzmi: czy usłyszał Mowę? – zapytała Jess.

– Nie – zaprotestowała Chloe. – Zasadnicze pytanie brzmi: czy już z nim spałaś?

Wszystkie popatrzyły na mnie. Naturalnie, miały prawo pytać, kiedyś był to pewniak. Teraz jednak się zawahałam.

– Nie – odparłam w końcu.

Któraś z nich odetchnęła nerwowo, a potem zapadła cisza.

– O rany – powiedziała w końcu Lissa. – Lubisz go.

– To nic wielkiego.

Właściwie nie zaprzeczyłam, więc zamilkły i wymieniły

porozumiewawcze spojrzenia. Siedziałyśmy w Punkcie, zbliżał się zachód słońca i czułam, jak batut ugina się pod mną. Odchyliłam się, rozsuwając palce na zimnym metalu sprężyn.

– Ani Mowy, ani seksu – podsumowała Jess. – Coś się święci.

– Może ten jest inny – zauważyła Lissa, mieszając drinka palcem.

– Żaden nie jest inny – zapewniła ją Chloe. – Remy wie o tym najlepiej.

Moje najlepsze przyjaciółki zdawały sobie sprawę z tego, że ściśle przestrzegam reguł dotyczących związków. Mowę

zazwyczaj wygłaszałam w szczytowym momencie gorącej,

romantycznej fazy. W ten sposób wciskałam hamulce, powoli zwalniałam

Polegało to zwykle na tym, że odciągałam aktualnego faceta na bok i mówiłam coś w rodzaju: hej, naprawdę cię lubię i świetnie się bawimy, ale wiesz, nie mogę traktować tego zbyt poważnie, bo wyjeżdżam nad morze lub: jesienią muszę skupić się na szkole, lub: niedawno zakończyłam związek i nie chcę nic długoterminowego. To była letnia Mowa. Zimą i na Gwiazdkę deklarowałam coś bardzo podobnego w stylu: jadę na narty/muszę się wziąć do roboty przed końcem roku/mam kłopoty rodzinne.

Faceci zazwyczaj przyjmowali to na jeden z dwóch sposobów.

Jeśli naprawdę mnie lubili, uciekali. I bardzo dobrze. A jeśli mnie lubili, ale też chcieli zwolnić i sprawdzić, gdzie są granice, kiwali głowami, a potem mówili, że czują to samo. W ten sposób usiłowali wyjść z tego z twarzą. Wtedy mogłam przejść do następnego etapu, który zwykle wiązał się z pójściem z nimi do łóżka, z czego nie jestem dumna.

To nie następowało od razu. Chciałam mieć dość czasu, żeby zobaczyć kilka pęknięć i pozbyć się tych facetów, z którymi na pewno nie dałabym sobie rady na dłuższą metę, to znaczy dłużej niż przez sześć tygodni, czyli pierwszą, rozrywkową fazę.

Kiedyś byłam łatwa, ale zrobiłam się wybredna, a to spora różnica.

Poza tym Dexter był jakiś inny. Kiedy próbowałam powrócić do rutyny, coś mnie powstrzymywało. Mogłam wygłosić Mowę i pewnie dobrze by to przyjął.

Mogłabym się z nim przespać i też czułby się z tym dobrze, pewnie nawet lepiej niż dobrze. Jednak w głębi duszy czułam, że straciłby do mnie szacunek.

Wiedziałam, że to głupie. Poza tym byłam zajęta. Tak, to na pewno przez to.

Chloe napiła się wody z butelki, po czym poprawiła to



łykiemburbona z buteleczki.

– Więc co robisz? – zapytała mnie wprost.

– Po prostu dobrze się bawię – odparłam, popijając colę. –

On też wyjeżdża pod koniec lata.

– No to dlaczego nie wygłosiłaś Mowy? – chciała wiedzieć Jess.

Zastanowiłam się.

– Szczerze mówiąc, nie pomyślałam o tym.

Zerknęły na siebie, niepewne, co to może oznaczać.

– Moim zdaniem to naprawdę miły chłopak – odezwała się

Lissa. – Jest uroczy.

– Niezdarny – mruknęła Jess. – Ciągłe depcze mi po nogach.

– Może po prostu masz wielkie stopy – odezwała się Chloe, jakby dopiero to sobie uświadomiła.

– Może powinnaś się zamknąć – odparła Jess.

– Dziewczyno, proszę. – Lissa zamknęła oczy. –

Rozmawiamy o Remy.

– Nie musimy rozmawiać o Remy – zauważyłam –

Porozmawiajmy o kimś innym.

Przez chwilę w milczeniu popijałam drinka. Lissa zapaliła.

– Wiesz, parę dni temu Dexter powiedział, że da mi dziesięć dolców, jeśli będę stała na głowie przez dwadzieścia minut –

powiedziała w końcu Chloe. – Co to znaczy, do cholery?

Wszystkie trzy popatrzyły na mnie.

– Po prostu go ignoruj – oznajmiłam – Następne pytanie?

– Adam chyba widuje się z inną – powiedziała

nieoczekiwanie Lissa.

– O, to jest interesujące – zauważyłam.

Lissa powiodła palcem po brzegu kubka i spuściła wzrok.

Minął już miesiąc, odkąd Adam ją rzucił, i przeszła od

popłakiwania do smutku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko od czasu do czasu nagle wybuchala śmiechem, jakby zapominając, że nie powinna być szczęśliwa, i szybko milkła.

– Co to za jedna? – zainteresowała się Chloe.

– Nie wiem. Jeździ czerwoną mazdą.

Jess spojrzała na mnie i pokręciła głową.

– Lissa, przejeżdżałaś koło jego domu? – zapytałam

– Nie – odparła i popatrzyła na nas. Wpatrywałyśmy się w nią, świadome, że kłamie. – Nie, ale przedwczoraj miałam zajęcia i...

– Pomyśli, że jesteś słaba – zauważyła Jess. – Chcesz mu dać tę satysfakcję?

– Ale dlaczego jest już z inną? – spytała Lissa, a Jess tylko westchnęła. – Ja jeszcze nie doszłam do siebie, a on już ma nową?

Jak to możliwe?

– To palant – poinformowałam ją.

– To facet – dodała Chloe. – Faceci się nie przywiązują, a do tego kłamią. Dlatego nie wolno im ufać i trzeba ich trzymać na dystans. Prawda, Remy?

Popatrzyłam na nią. Znowu zrobiła taką minę, jakby dostrzegła we mnie jakieś zmiany, i to ją martwiło.

– Prawda. – Uśmiechnęłam się do Lissy. – Jak najbardziej.

Grupa wcale nie nazywała się G Flats. Używali tej nazwy tylko na weselach, i to ze względu na pewien wypadek z

furgonetką, władzami Pensylwanii oraz bratem Dona, Michaeliem, miejscowym adwokatem. Występ na weselu mojej matki

najwyraźniej stanowił coś w rodzaju zapłaty ze strony zespołu, który w rzeczywistości nosił nazwę Truth Squad.

Przez ostatnie dwa lata jeździli po kraju, zawsze według tego samego scenariusza. Znajdowali miasto z w miarę przyzwoitą sceną muzyczną, wynajmowali niedrogie mieszkanie i grali po klubach. W pierwszym tygodniu wszyscy szukali zajęcia, najlepiej w tym samym miejscu, ponieważ mieli do dyspozycji tylko jeden samochód. Właśnie dlatego Dexter i Lucas pracowali teraz w zakładzie fotograficznym Flash Camera, John Miller parzył kawę w Jump Java, a Ted pakował klientom zakupy w Mayor's Market.

Chociaż większość członków kapeli była po college'ach, a Ted miał nawet dyplom, zawsze wybierali proste prace, które nie wymagały zostawiania po godzinach i myślenia. Potem wchodził na scenę miejscowego klubu i grali w nadziei, że dostaną angaż na cotygodniowe występy, tak jak w Bendo. Wtorkowe wieczory, kiedy przychodziło tam najmniej ludzi, mieli tylko dla siebie.

Kiedy spotkałam Dextera w Don Davis Motors, kapela bawiła w mieście od zaledwie paru dni. Spali wówczas w

furgonetce i dopiero później udało się im znaleźć żółty dom. Teraz wyglądało na to, że pozostaną tu, dopóki ktoś ich nie wygoni za długi lub drobne wykroczenia

(tak się zdarzało).

Może dlatego nie wygłosiłam Mowy. Nie chciałam być jak dziewczyny, które zapewne miał w innych miastach, słuchające bootlegów Truth Squad i wdychające do Dextera Jonesa, urodzonego w Waszyngtonie, spod znaku Ryb, wokalisty i wielbiciela zakładów, bez stałego adresu zamieszkania. Wyglądało na to, że pies jest jego jedyną rodziną. Ja z kolei wybierałam się na Uniwersytet Stanforda, by zostać studentką bez wybranej specjalizacji, choć skłaniającą się ku ekonomii. Mieliliśmy spotykać się tylko przez kilka tygodni, więc można było zrezygnować z ustalonych zasad.

Tego wieczoru ja, Chloe, Jess i Lissa wpadłyśmy o dziewiątej do Bendo. Truth Squad już grał, a widownia, choć nieliczna, zachowywała się entuzjastycznie. W sali zebrały się głównie dziewczyny; niektóre stały tuż przy scenie i kołysząc się rytmicznie, popijały piwo.

Muzyka okazała się mieszanką coverów i oryginalnych utworów. Jak to ujął Dexter, covery były „złem koniecznym”, oczekiwanym na weselach i przydatnym w klubach. Dzięki nim zespół unikał obrzucenia kapslami po piwie i petami (co najwyraźniej również się zdarzało). Dexter i Ted, którzy założyli zespół w trzeciej klasie liceum, woleli jednak oryginalne kompozycje, z których najważniejsze i najambitniejsze były pieśni o ziemniakach.

Gdy skończyli grać *Gimme Three Steps*, pokrzykujące dziewczyny na widowni zaklaskały.

– Teraz zagramy oryginalny utwór, przyszły klasyk – oświadczył Dexter po chwili. – Oto *Pieśń ziemniaka*.

Dziewczyny znów zaczęły bić brawo. Rozpoznałam jedną z nich, piersiastą rudą, która zawsze stała ze mną w kolejce do damskiej toalety. Teraz przysunęła się bliżej sceny, dzięki czemu wylądowała niemal u stóp Dextera. Uśmiechnął się do niej uprzejmie.

– „W sobotę wieczorem zobaczyłem ją w dziale warzywa-owoce” – zaśpiewał. – „Zostawiła mnie tydzień wcześniej i odeszła...”

Jednej z dziewczyn najwyraźniej od razu spodobał się nowy kawałek, bo radośnie zawyła.

– „Kiedyś uwielbiała moje zrazy wołowe i mięsożerne skłonności” – śpiewał dalej Dexter. – „Ale teraz jest wegańską księżniczką i zajada się fasolą. Zrezygnowała z sera i bekonu, do Burger Kinga się zniechęciła, a

kiedy nie chciałem zrobić tego samego, pierścionek mi zwróciła. Stałem przy rzymskiej sałacie, serce mi mocno waliło...” – W tym momencie przyłożył dłoń do piersi i zrobił smutną minę, co spotkało się z aplauzem dziewczyn.

– „Chciałem, żeby bezmięśne dziewczę znowu przy mnie było.

Ruszyła do kasy, w koszyku niosąc banan, a ja wiedziałam, że to ostatnia okazja, więc mówię do niej tak...”.

W tym momencie urwał, a John Miller mocniej załomotał w bębny.

– „Nie chcę od ciebie zgniętego buraka, bo pragnę twojego słodkiego ziemniaka” – śpiewał Dexter. – „Niech będzie

wieczorem, niech będzie z rana, bo tylko ciebie chcę, ukochana”.

– To ma być piosenka? – zapytała mnie Jess.

Lissa klaskała, rycząc ze śmiechu.

– To wiele piosenek – poinformowałam ją. – To opus.

– Co? – zdumiała się.

Nie powtórzyłam, bo piosenka właśnie osiągnęła punkt

kulminacyjny, w którym wokalista wymieniał wszystkie warzywa, jakie przysły mu do głowy. Gdy skończył, rozległo się potężne uderzenie w talerze, a tłum oszalał z zachwytu. Dexter pochylił się nad mikrofonem i zapowiedział krótką przerwę, a następnie zszedł

ze sceny. Patrzyłam, jak ruda podchodzi do niego i praktycznie blokuje mu drogę.

– Och, Remy. – Chloe też to dostrzegła. – Twój facet ma własną *groupie*.

– To nie jest mój facet. – Upiłam łyk piwa.

– Tyle tytułem zasady, że z muzykami się nie zadajemy –

mruknęła Chloe do Jess. – Jeszcze trochę, a będzie jeździła z nimi, sprzedawała koszulki na parkingu i pokazywała cycki, żeby dostać się za kulisy.

– Przynajmniej ma cycki do pokazywania – odparła Jess.

– Ja też mam cycki. – Chloe wskazała na swoje piersi. – To, że nie dostaję od nich skrzywienia kręgosłupa, nie znaczy, że nie są spore.

– Niech ci będzie, miseczko B. – Jess pociągnęła łyk.

– Mam cycki! – upierała się Chloe, odrobinę za głośno, bo w Punkcie zdążyła już wypić parę minibuteleczek. – Są świetne, do jasnej cholery! Wiesz co? Są fantastyczne! Mam niesamowite cyce!

– Chloe – odezwałam się, oczywiście, za późno.

Stojący obok dwaj faceti nie mogli oderwać wzroku od jej biustu, a Dexter, który

właśnie siadał przy mnie, miał zdumiony wyraz twarzy. Chloe, nietypowo dla siebie, zaczerwieńnięła się po uszy, a Lissa poklepała ją po ramieniu.

– A więc to prawda, że dziewczyny gadają o cymbałach – zauważył Dexter. – Zawsze tak podejrzewałem, ale brakowało mi dowodów.

– Chloe chciała coś udowodnić – wyjaśniła mu Lissa.

– Niewątpliwie – przyznał radośnie. – *Pieśń ziemniaka* naprawdę niezłe wypadła, co?

– Fakt. – Przysunęłam się do niego, a on mnie objął.

Popatrzyłam na Chloe i dokończyłam piwo. W tej samej chwili pojawił się Ted.

– Świetna robota – odezwał się z sarkazmem w głosie. –

Widzisz, tak się składa, że zarzynając słowa, niszczysz utwór.

– Zarzynając które słowa? – zdziwił się Dexter.

Ted głośno westchnął.

– Nie powinieneś śpiewać, że ruszyła do kasy, w koszyku niosąc banan.

Powinno być: „ruszyła do kasy, w koszyku niosąc banana”.

Dexter tylko wpatrywał się w niego skonsternowany.

– A co za różnica? – spytała Chloe.

– Zasadnicza! – warknął Ted. – „Nieć banan” to bardzo gramatyczne sformułowanie, które kojarzy się z wyższymi sferami, akceptacją normi status quo. „Nieć banana” nawiązuje do kultury plebejskiej, faktycznego słownictwa niższych klas społecznych, z których bez wątpienia wywodzi się podmiot liryczny utworu. Do nich również odwołuje się muzyka piosenki.

– I wszystko to wynika z jednego słowa? – spytała Jess.

– Jedno słowo może zmienić cały świat – odparł Ted ze śmiertelną powagą.

– Ted, rozumiem – powiedział Dexter. – Dociera do mnie to, co mówisz. Dziękuję, nie popełnię więcej tego błędu.

– Dobra. – Ted zamrugał. – Idę na fajkę.

– Okej.

Ted ruszył do baru przez tłum. Dziewczyny przy drzwiach popatrzyły na niego, gdy je mijał, i skinęły porozumiewawczo głowami. Pomyślałam, że niektóre kobiety nie mają wstydu.

– Robi wrażenie – powiedziałam do Dextera.

– To nie pierwszy raz – wyjaśnił. – Ted jest bardzo

zapalczywy i naprawdę chce, żeby ludzie go słuchali. Trzeba słuchać, potakiwać i zgadzać się z nim. Trzy kroki. Bułka z masłem

– Bułka z masłem – powtórzyłam, a on złapał mnie za kark i zacisnął lekko palce.

Przeszył mnie przyjemny dreszcz. Dexter przysunął się bliżej i pocałował mnie w czoło. Zamknęłam oczy, zastanawiając się, jak daleko dammu się posunąć, zanim ucieknę. Może nawet nie całe lato. Może należało skończyć to wcześniej, żeby uniknąć katastrofy.

– Wiadomość dla Dextera – rozległ się głos od frontu klubu.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam Johna Millera. – Masz się zgłosić w przejściu piątymi sprawdzić cenę.

Ruda znowu była przy scenie; odwróciła głowę i powiodła za spojrzaniem Johna Millera, prosto na nas i na mnie. Ja też na nią popatrzyłam, czując przyływ zaborczości.

– Muszę iść – powiedział Dexter, a następnie pochylił się do mojego ucha i spytał: – Zaczekasz na mnie?

– Może – odparłam

Zaśmiał się, jakby to był dowcip, i zniknął w tłumie. Parę sekund później wspiał się na scenę, chudy i niezdamny. Idąc, zahaczył nogą o głośnik i go przewrócił.

Oczywiście miał

rozwiązaną sznurówkę.

– Łojezu – westchnęła Chloe, patrząc na mnie i kręcąc głową. – Już po tobie.

### **Rozdział dziewiąty**

– Myślałem, że chodzi o grill. No wiesz, hot dogi i hamburgery. – Dexter wrzucił do wózka paczkę twinkies. – I twinkies.

– Bo tak jest. – Popatrzyłam na listę i sięgnęłam po słoik importowanych suszonych pomidorów za cztery dolary. – Tyle że to grill, który urządza moja mama.

– I?

– Mama nie gotuje.

Patrzył na mnie, jakby nadal czekał.

– W ogóle. Mama w ogóle nie gotuje.

– Na pewno czasem się jej zdarza.

– Nie.

– Każdy potrafi usmażyć jajecznicę, Remy. To wrodzona umiejętność, z którą przychodzimy na świat, tak jak umiejętność pływania i

świadomość, że nie miesza się ogórków konserwowych z owsianką. To się po prostu wie.

– Mama nawet nie lubi jajecznicy. Jada tylko jajka benedyktyńskie. – Ruszyłam z wózkiem przed siebie.

– Czyli jakie?

Zatrzymałam się przed dużym plastikowym pistoletem na wodę, wyeksponowanym wśród płatków zbożowych, dokładnie na wysokości oczu dziecka.

– Nie wiesz?

– A powinienem wiedzieć?

Wziął do ręki pistolet i nacisnął spust, po czym jak snajper schował się za regałem z puszkami kukurydzy.

– To takie jajka, których zrobienie jest bardzo skomplikowane i wymaga użycia sosu holenderskiego oraz angielskich muffinek – wyjaśniłam.

Miałam ochotę wpuścić go w maliny.

– Uch. – Wzdrygnął się. – Nienawidzę angielskich muffinek.

– Co?

– Nie mogę jeść muffinek. – Odłożył pistolet i ruszyliśmy dalej. – Powinniśmy natychmiast przestać o nich rozmawiać.

Nawet nie mogę o nich myśleć.

– To nie myśl. Tak naprawę jajka benedyktyńskie to sadzone na grzankach z szynką.

– Aha – mruknął.

Zatrzymaliśmy się przed przyprawami, bo matka chciała coś, co się nazywało azjatycki sos rybny. Z frustracją wpatrywałam się w buteleczki, a tymczasem Dexter zajął się zonglowaniem pudełkami ze słodzikiem. Odkryłam, że zakupy z nim przypominają zakupy z małym dzieckiem. Ciągłe się rozpraszał, nieustannie coś chwycił i już mieliśmy w koszyku za dużo rzeczy włożonych tam pod wpływem impulsu. Zamierałam pozbyć się ich przed kasą, kiedy Dexter zajmie się czymś innym.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz zjeść słoik majonezu na jedno posiedzenie, a nienawidzisz angielskich muffinek, które w gruncie rzeczy są zwykłymi bułeczkami? – zapytałam i wzięłam do ręki sos.

– Fuj. – Znowu się wzdrygnął i położył rękę na brzuchu. –

Paskudztwo. Mówię poważnie.

Zakupy zajmowały nam całą wieczność. Na liście matki znajdowało się raptownie piętnaście produktów, ale za to ekskluzywnych, takich jak zagraniczny kozi ser, chleb focaccia, konkretnej marki oliwki w czerwonym słoiczku (nie w zielonym).

Na tę okazję matka kupiła nowy grill, a także nowe meble ogrodowe. Innymi słowy, wydała fortunę na coś, co miało być zwykłym grillem na Czwartego Lipca.

Samą to sobie wymyśliła. Od powrotu z miesiąca miodowego pracowała nad książką, jednak kilka dni temu wyłoniła się z pokoju, gdyż przyszło jej do głowy, że potrzebne jest nam amerykańskie przyjęcie rodzinne z okazji Święta Niepodległości.

Mieli się zjawić Chris i Jennifer Anne, a także Patty, sekretarka Dona, samotna biedulka, i czy nie byłoby cudownie, gdyby spiknęła się z zatrudnionym przez matkę dekoratorem wnętrz, Jorge, któremu koniecznie należało podziękować za ciężką pracę?

I czy nie byłoby wspaniale, gdyby wszyscy poznali mojego nowego wielbiciela (tu mnie skreśliło), a także uczyli

wybudowanie nowego patio i stworzenie cudownej, niezwykłej rodziny?

O tak, naturalnie. Byłoby.

– Co jest? – Na drodze wózka, który pchałam, stanął Dexter.

Nieświadomie przyśpieszyłam i niechcący rąbnęłam go w brzuch.

– O co chodzi?

– O nic – burknęłam. Chciałam ruszyć, ale złapał wózek rękami. – Dlaczego pytasz?

– Bo masz taki wyraz twarzy, jakby mózg ci się zapadł.

– Ładnie to ująłeś – zauważyłam – Bardzo dziękuję.

– I przygryzasz wargę. Robisz to tylko wtedy, gdy wpadasz w obsesyjny nastrój. Patrzyłam na niego w milczeniu. Jak to możliwe, że tak łatwo mnie rozszyfrował?

– Nic mi nie jest – odparłam zimno.

– O, głos Królowej Śniegu – mruknął. – To oczywiście oznacza, że mam rację.

Obszedł wózek i stanął za mną, po czym położył dłonie na moich rękach i ruszył tym swoim rozkołysanym krokiem,

zmuszając mnie, żebym dostosowała się do jego rytmu.

– A jeśli przyniosę ci wstyd? – zapytał. – Jeżeli stłukę jakieś porcelanowe



nacznynie, które od pokoleń jest w twojej rodzinie?

Albo zacznę mówić o twoich majątkach?

Spiorunowałam go wzrokiem i mocniej popchnęłam wózek.

Dexter się potknął, ale nie puścił. Pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

– A jeśli będę chciał się założyć z Donem przy kolacji? Jeżeli powiem mu, że na pewno nie da rady zjeść całego słoika

suszonych pomidorów i poprawić kostką margaryny? – Jęknął dramatycznie. – O mój Boże, a jeśli Don to zrobi?

Ukryłam twarz w dłoniach i pokręciłam głową. Wkurzało mnie, że Dexter mnie rozśmieszał, kiedy wcale tego nie chciałam.

To była utrata kontroli, zupełnie do mnie niepodobna.

– Ale wiesz, chyba tego nie zrobię – dodał.

– Nie znoszę cię – powiedziałam, a on pocałował mnie w szyję i w końcu puścił wózek.

– Nieprawda. – Ruszył w kierunku lodówek z przetworami mlecznymi. – Całkowita nieprawda.

– Remy, podobno będziesz studiować w Stanfordzie!

Z uśmiechem skinęłam głową i przełożyłam drinka do drugiej ręki. Sekretarka Dona, Patty, której nie widziałam od wesela, stała przede mną z imponującym kawalkiem szpinaku na siekaczu.

– To wspaniała uczelnia. – Osuszyła czoło serwetką. – Na pewno nie możesz się doczekać.

– Fakt – przytaknęłam.

Od niechcienia potarłam ząb, mając nadzieję, że Patty załapie i zrobi to samo. Ona jednak uśmiechała się do mnie, wypijając resztę wina i rozglądając się wokół, jakby nie była pewna, co powiedzieć.

Jej uwagę, podobnie jak moją, przyciągnęło zamieszanie przy nowym grillu, gdzie Chris przygotowywał niesamowicie drogie steki zamówione przez matkę u rzeźnika. Słyszałam, jak

informowała kogoś, że to „brazylijska wołowina”, cokolwiek to znaczyło.

Chris słabo sobie radził. Najpierw opalił sobie brew i włosy na ręce, a potem miał trudności z opanowaniem obsługi

skomplikowanej łopatki, którą matka kupiła wraz z zestawem eleganckich przyborów do grilla.

Teraz płomienie strzelały wysoko, a Chris zmagał się z

pokrętle gazu. Wokół grilla zebrała się grupa gapiów i wszyscy patrzyli, jak skwierczą i syczą steki na buchającym ogniu, który jednak po chwili zgasł całkowicie, a grill zagulgotał. Pochłonięta rozmową z sąsiadką matka popatrzyła na niego bez specjalnego zainteresowania, jakby systematyczne palenie głównej atrakcji imprezy było cudzym problemem.

– Bez obaw! – krzyknął Chris, gdy płomienie ponownie wystrzeliły, i zaczął tłuc je łąpatką. – Panuję nad sytuacją – dodał niepewnie.

– Zapraszamy! – zawołała matka, wskazując stół z serami i przekąskami. – Jemy, jemy! Jest tutaj mnóstwo wszystkiego!

Chris rozwiewał dłonią dym sprzed twarzy. Obok stała

Jennifer Anne, przygryzając wargę. Przywiozła kilka przystawek w pudełkach o pastelowych wieczkach. Na spodzie każdego

pojemnika napisane było niezmywalnym markerem „Własność Jennifer A. Baker, do zwrotu”. Można by pomyśleć, że cały świat uknuł międzynarodowy spisek z zamiarem dokonania kradzieży jej plastików.

– Barbara! – wykrzyknęła Patty. – To jest fantastyczne!

– Och, drobiazg. – Matka powachlowała się dłonią.

Miała na sobie czarne spodnie i limonkowy top, który podkreślał jej opaleniznę z miodowego miesiąca. Z włosami ściągniętymi opaską wyglądała jak uosobienie podmiejskich rozrywek.

Zawsze z zainteresowaniem patrzyłam, jak związki matki

odbijają się na jej osobowości. Przy moim tacie była hipiską: na wszystkich zdjęciach wygląda bardzo młodo, miała niemal niewidzialne spódniczki albo wystrzępione dzinsy, i długie, ufarbowane na czarno włosy z przedziałkiem pośrodku. Podczas małżeństwa z Haroldem, profesorem, nosiła mnóstwo tweedu i okulary do czytania, mimo że nie były jej potrzebne. W związku z Winem, lekarzem, zapisała się do Country Clubu, paradowała w bliźniakach i tenisowych spódniczkach, chociaż nie miała zielonego pojęcia o grze. Przy Martinie, profesjonalnym golfiście, poznanym naturalnie w Country Clubie, znowu się odmłodziła, ponieważ był sześć lat młodszy od niej: nosiła mini, dzinsy i krótkie, obcisłe sukienki. Teraz, po ślubie z Donem, stała się Barb i wyobrażałam sobie, jak w przyszłości będą nosili identyczne dresy i gnali wózkami golfowymi, żeby poćwiczyć back swing.

Naprawdę miałam nadzieję, że to ostatnie małżeństwo mamy. Nie byłam pewna,

czy choć jedna z nas jest gotowa na kolejną metamorfozę.

Teraz przyglądałam się Donowi, który w golfowej koszuli popijał piwo z butelki i częstował się crostini. Sądziłam, że jest mistrzem grilla, ale on chyba w ogóle nie przepadał za jedzeniem, sądząc po ogromnych ilościach wypijanego przez niego napoju marki Ensure, małych puszczonek płynnego pokarmu, który podobno miał odżywczą wartość porządnego posiłku i w przeciwieństwie do niego zawsze był pod ręką. Don kupował całe pudła ensure w Sam's Club. Nie wiedzieć czemu, przeszkadzało mi to nawet bardziej niż widok piersiastej baby przy śniadaniu.

Don snuł się w skórzanych kapciach po domu, z nosem w gazecie i przylepioną do dłoni puszką ensure. Syk towarzyszący odciąganiu zawleczonego informował nas o jego obecności.

– Remy, kochanie?! – zawołała matka. – Możesz tu przyjść na chwilę?!

Przeprosiłam Patty i przesłam przez patio do matki.

Chwyliła mnie za nadgarstek i delikatnie pociągnęła.

– Nie jestem pewna, czy nie powinnam zacząć się niepokoić o steki – wyszeptala mi do ucha.

Zerknęłam na grill i zauważyłam, że wspaniałe platy

brazylijskiej wołowiny przemieniły się w małe czarne bryłki, przypominające fragmenty lawy.

– I tak, i nie – odparłam.

Machinalnie pogłaskała mnie po przegubie. Jej dłonie zawsze były chłodne, nawet podczas upałów. Nieoczekiwanie

przypomniało mi się, jak sprawdzała, czy nie mam gorączki, gdy byłam dzieckiem.

– Zajmę się tym – zadeklarowałam.

– Och, Remy, co ja bym bez ciebie zrobiła – westchnęła.

Odkąd wróciła do domu, wielokrotnie zauważyłam, jak nagle zmienia się jej wyraz twarzy. W takich chwilach uświadamiałam sobie, że myśli o moim wyjeździe na studia i zdaje sobie sprawę, że naprawdę do tego dojdzie. Miała nowego męża, nowe skrzydło domu, nową książkę. Obie wiedziałyśmy, że da sobie radę beze mnie. Przecież córki wyjeżdżają i wiodą własne życie – to było tematem przewodnim jej książek. Dziewczynie się nie wiedzie, a potem odnosi sukces, znajduje miłość i mści się, w takim porządku. Podobały mi się części o tym, jak bohaterce jest kiepsko, ale zaczyna sobie dobrze radzić. Reszta była tylko premią.

– Daj spokój, mamo, nawet nie zauważysz mojej

nieobecności – powiedziałam

Pokręciła głowę, po czym ucałowała mnie w policzek.

Czułam jej perfumy i zapach lakieru. Na chwilę zamknęłam oczy, wdychając ten aromat. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Nadal o tym myślałam, stojąc w kuchni i wyciągając z głębi lodówki kupione przez siebie hamburgery, które ukryłam za stertą puszek ensure. W supermarkecie, kiedy Dexter pytał, po co biorę hamburgery, skoro nie ma ich na liście, odparłam, że lubię być przygotowana na każdą ewentualność, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. Może jestem cyniczna, a może, w przeciwieństwie do wielu osób z otoczenia mamy, uczyłam się na błędach z przeszłości.

– A więc to prawda. – Odwróciłam się i ujrzałam za sobą Jennifer Anne. W jednej ręce trzymała dwie paczki parówek, w drugiej bułki. Uśmiechała się pod nosem, jakby przyłapano nas na czyns niestosownym. – Wielkie umysły myślą podobnie, prawda?

– Jestem pod wrażeniem – odparłam, gdy podeszła.

Otworzyła jedną z paczek i ułożyła parówki na talerzu. – Dobrze ją znasz.

– Nie, ale znam Christophera – powiedziała. – Miałam

wątpliwości co do grilla od dnia, w którym go przynieśliśmy. Od razu zrobił ogromne wrażenie na Christopherze. Gdy tylko sprzedawca zaczął mówić o konwekcji, sprawa była przesądzona.

– O konwekcji? – powtórzyłam

Westchnęła, odgarniając włosy.

– Chodzi o coś z procesem przekazywania ciepła – wyjaśniła.

– W tym grillu ciepło otacza żywność, a nie tylko ogrzewa ją od spodu. To właśnie trafiło do Christophera. Facet powtarzał to jak mantrę. Ciepło otacza żywność, ciepło otacza żywność.

Parsknęłam śmiechem, a ona popatrzyła na mnie i też się uśmiechnęła, z wahaniem, jakby chciała się upewnić, że nie robię sobie z niej jaj. Stałyśmy tak razem, z mięsem w rękach, aż wreszcie uznałam, że zrobiło się zbyt kłiwie i postanowiłam przejść do rzeczy.

– Zastanawiam się, jak wytłumaczymy tę nieoczekiwaną zmianę menu – oznajmiłam

– Steki były zepsute – odparła. – Śmierdziały. A poza tym hamburgery i hot dogi są takie kiczowate i typowo amerykańskie.

Twoja mama będzie zachwycona.

– Okej – oznajmiłam i sięgnęłam po talerz z kotletami.

Jennifer Anne złapała bułki i swój talerz, po czym ruszyła do drzwi na patio, a ja za nią, zadowolona, że przejęła inicjatywę.

Byliśmy przy drzwiach, gdy się odwróciła i wskazała brodą ogródek przed domem.

– Wygląda na to, że twój gość się zjawił – mruknęła.

Wyrzałam przez okno i ujrzałam Dextera. Maszerował chodnikiem, spóźniony o ponad pół godziny. Niósł butelkę wina (byłam pod wrażeniem), był w dzinsach i w czystej białej koszulce (byłam pod jeszcze większym wrażeniem). Na smyczy prowadził

Małpiszona, który wrywał naprzód z godną podziwu energią, biorąc pod uwagę jego wiek.

– Weźmiesz to? – Wyciągnęłam talerz w kierunku Jennifer Anne.

– Pewnie – odparła. – To do zobaczenia.

Gdy szłam podjazdem, Dexter przywiązywał Małpiszona do naszej skrzynki pocztowej i przemawiał do niego z powagą:

– ...może nie lubić psów, więc zostaniesz tutaj, dobrze? –

Zawiązał jeden supeł, a potem drugi, jakby to rozdygotane stworzenie dysponowało nadludzką siłą. – Później znajdziemy jakąś sadzawkę, to sobie popływasz. A jeśli naprawdę nam odbije, przejedziemy się samochodem i będziesz mógł wystawić łeb przez okno. Okej?

Małpiszon dyszał z zamkniętymi oczami, gdy Dexter drapał go pod brodą. Na mój widok pies zaczął merdać ogonem, tłukąc nim o trawę.

– Hej, przepraszam za spóźnienie. – Dexter odwrócił się do mnie. – Miałem problem z tą Małpiatką.

– Problem? – Przykucnęłam, wyciągając rękę do Małpiszona.

– Byłem tak zajęty pracą i występami, że trochę go

zaniedbałem. Czuje się samotny. Nie zna tu żadnych psów, a jest bardzo towarzyski. Miał mnóstwo przyjaciół.

– Rozumiem – mruknęłam.

– Kiedy dzisiaj szykowałam się do wyjścia, cały czas łąził za mną i żałośnie skowytał. Może tu zostać, prawda? – spytał Dexter i wstał, a Małpiszon z nadzieją zamachał ogonem – Nie będzie sprawiał kłopotów.

– W porządku. Przyniosę mu wody – zaproponowałam.

Dexter uśmiechnął się do mnie, jakbym go zdumiała.

– Dzięki. – Popatrzył na Małpiszona. – Widzisz, mówiłem

Lubi cię.

Przyniosłam wodę psu, Dexter zacisnął węzły na smyczy, po czym oboje przeszliśmy na patio, nad którym unosił się zapach parówek.

Matka była pogrążona w rozmowie z Patty, ale na widok

Dextera umilkła i przyłożyła rękę do piersi.

– Witaj – powiedziała. – Dexter, prawda?

– Prawda. – Dexter uściskał jej rękę.

– Poznaję cię z wesela! – wykrzyknęła, jakby dopiero dodała dwa do dwóch, chociaż mówiłam jej o tym parę razy. – Wspaniały wokalista z ciebie.

Dexter wydawał się jednocześnie zadowolony i trochę zakłopotany. Matka nie puszczała jego ręki.

– Świetne wesele – oświadczył w końcu. – Gratulacje.

– Musisz się czegoś napić. – Spojrzała na mnie wymownie. –

Remy, skarbie, poczęstuj Dextera piwem. A może winem? Albo jakimś napojem?

– Może być piwo – powiedział Dexter do mnie.

– Remy, kochanie, w lodówce zostało jeszcze trochę,

prawda? – Matka położyła dłoń na moich plecach, kierując mnie w stronę kuchni, po czym wzięła Dextera pod rękę. – Koniecznie musisz poznać Jorge, to fenomenalny dekorator wnętrz. Jorge!

Chodź tu do nas, poznasz nowego chłopaka Remy!

Jorge ruszył przez patio, a matka trajkotała o tym, jak wspaniali są wszyscy w promieniu trzech metrów od niej.

Tymczasem ja, jak służąca, ruszyłam po piwo dla Dextera. Po powrocie zorientowałam się, że Don przyłączył się do rozmowy i z jakiegoś niezrozumiałego powodu wszyscy rozmawiają o

Milwaukee.

– Tam jest potwornie zimno – zauważył Don i wepchnął do ust garść zagranicznych orzeszków. – Wystarczy pięć minut, żeby wiatr przewiał człowieka do kości. W dodatku sól jest zabójcza dla samochodów.

– Ale mają tam superśnieg. – Dexter wziął ode mnie piwo i delikatnie musnął palcami moją dłoń. – I niezłą scenę muzyczną, chociaż dopiero się rozwija.

– W muzyce nie da się zrobić prawdziwej kariery – mruknął

Don. – Do zeszłego roku ten chłopak studiował zarządzanie. Dacie wiarę? Na

Uniwersytecie Wirginii.

– Interesujące – wtrąciła matka. – Jesteście spokrewnieni?

– Don to szwagier mojego ojca – poinformował ją Dexter. –

Jego siostra jest moją ciotką.

– Wspaniale! – wykrzyknęła matka nieco zbyt entuzjastycznie. – Jaki ten świat mały, prawda?

– Miał pełne stypendium – ciągnął Don, jakby jej nie słyszał.

– Wszystko opłacone. Mimo to rzucił studia. Jego matce omal nie pękło serce. I czemu to zrobił? Dla muzyki.

Teraz nawet matka nie potrafiła wymyślić stosownego

komentarza. Patrzyłam na Dona, zastanawiając się, dlaczego z tym wyskoczył.

Pewnie przez te napoje, które w siebie wlewał.

– To genialny piosenkarz – zwróciła się matka do Jorge, który pokiwał głową, jakby jeszcze tego nie słyszał.

Don spoglądał w przestrzeń, ściskając w dłoni pustą puszkę piwa. Zerknęłam na Dextera i uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam go w takim stanie. Był przygaszony, czuł się

niezręcznie i nietypowo dla siebie nie potrafił obrócić wszystkiego w żart.

– Chodź. – Wzięłam go za rękę. – Zjemy coś.

Podeszliśmy do grilla, gdzie Chris z zadowoleniem smażył parówki, nareszcie był w swoim żywiole.

– Wiecie co – powiedziałam – Don to palant.

– Nie, nieprawda – sprzeciwił się Dexter. Uśmiechnął się krzepiąco i mnie objął.

– W każdej rodzinie jest jakaś czarna owca.

To bardzo amerykańskie.

– Jakbym nie wiedział. – Chris odwrócił hamburgera. – Ty przynajmniej nie siedziałeś.

Dexter wypił solidny łyk piwa.

– Tylko raz – wyznał beztrąsko i mrugnął do mnie

porozumiewawczo. Już wrócił do normy i zachowywał się zupełnie swobodnie, ja jednak patrzyłam z niechęcią na Dona.

Tylko przez chwilę widziałam Dextera tak wyciszonego, ale to wystarczyło, żeby wydał mi się bardziej realny. W tym jednym momencie przestał być tylko moim chłopakiem na lato i

dostrzegłam w nim kogoś znacznie ważniejszego, na kim mi naprawdę zależy.

Reszta wieczoru przebiegła spokojnie. Hamburgery i hot dogi były smaczne, większość drogiej pasty z oliwek i suszonych na słońcu pomidorów pozostała nietknięta, a jajka na ostro Jennifer Anne i jej sałatka z fasoli okazały się hitem. Widziałam nawet, jak matka oblizuje palce po dokładce czekoladowego puddingu Jennifer Anne, ozdobionego bitą śmietaną.

Gdy zapadł zmrok, wszyscy się pożegnali, a matka zniknęła w swoim pokoju, twierdząc, że jest kompletnie wyczerpana. Jak wiadomo, zabawianie gości jest szalenie męczące, nawet jeśli to inni odwalają większość pracy. Jennifer Anne, Chris, Dexter i ja pozbieraliśmy naczynia i poowijaliśmy resztki w folię.

Niesmaczne smakołyki i spalone steki trafiły do kosza.

Zostawiliśmy tylko jeden kawałek mięsa, który po odcięciu spalenizny nadawał się dla Małpiszona.

– Będzie mu smakowało. – Dexter wziął zapakowany w folię stek od Jennifer Anne. – Tak naprawdę jada tylko suchą karmę, więc to dla niego jak gwiazdkowy prezent.

– Ma interesujące imię – zauważyła Jennifer Anne.

– Dostałem go na dziesiąte urodziny. – Dexter wyjrzał na zewnątrz. – Tak naprawdę chciałem małpę, więc byłem rozczarowany, ale okazał się o wiele lepszy. Podobno małpy bywają naprawdę nie do wytrzymania.

Jennifer Anne spojrzała na niego pytająco i uśmiechnęła się.

– Też tak słyszałam – oznajmiła całkiem życzliwie i wróciła do owijania folią chlebków pita.

– Jeśli masz chwilę, powinieneś zobaczyć moje nowo wyklute jaszczurki. Są niesamowite – powiedział Chris do Dextera.

– Jasne! – odparł Dexter z zapalem i spojrzał na mnie. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Możesz iść – oświadczyłam, jakbym była jego matką, i obaj pobiegli do pokoju z jaszczurkami.

Jennifer Anne z westchnieniem zamknęła lodówkę.

– Nigdy nie zrozumie tego hobby – wyznała. – Psy i koty można przytulać. Kto chciałby przytulać jaszczurkę?

Trudno mi było odpowiedzieć na to pytanie, więc tylko

wyciągnęłam korek z odpływu w zlewie i zaczęłam, aż woda spłynie. Z góry dobiegały nas śmiechy i okrzyki zachwyty.



Jennifer Anne z irytacją popatrzyła na sufit.

– Powiedz Christopherowi, że jestem w salonie.

Chwyliła torebkę, wyciągnęła z niej książkę i poszła do sąsiedniego pokoju, gdzie po kilku sekundach zabrzmiało szmeranie telewizora.

Zapaliłam światło na werandzie i wyszłam z zawiniętym w folię stekiem. Na mój widok Małpison zerwał się z ziemi i zamachał ogonem.

– Cześć, stary. – Dałam mu rękę do powąchania. – Mam dla ciebie coś na ząb.

Połknął mięso w dwóch kęsach, omal nie odgryzając mi przy tympalca. Potem beknął i przewrócił się na grzbiet, a ja usiadłam na trawie.

Noc była pogodna i przyjemnie się ochłodziło. Pomyślałam, że to idealne Święto Niepodległości. Parę ulic dalej ktoś puszczał

petardy. Małpison parę razy trącił mnie w łokieć, aż w końcu ustąpiłam i podrapałam go po brzuchu. Było oczywiste, że temu psu bardzo przydałaby się kąpiel, i na dodatek śmierdziało mu z pyska, ale i tak był słodki.

W końcu usłyszałam trzaśnięcie drzwi i głos Dextera.

Małpison natychmiast pobiegł w jego kierunku, ale smycz go zatrzymała.

– Cześć – powiedział Dexter.

Widziałam jedynie jego sylwetkę na werandzie.

– Cześć – odparłam, a on ruszył ku nam.

Przyglądałam się Małpisonowi, zdumiona jego radością na widok osoby, której nie widział raptem godzinę. Zastanawiałam się, jak by to było tak bardzo kogoś kochać. On najwyraźniej to wiedział, a ja mu prawie zazdrościłam. Prawie.

Późno w nocy, gdy leżałam na łóżku Dextera, wziął do ręki gitarę. Oświadczył, że nie jest najlepszym gitarzystą, ale usiadł po drugiej stronie pokoju, bez koszuli, bez skarpetek, i zagrał

fragment piosenki Beatlesów, a potem kilka ostatnich taktów *Opusu ziemniaczanego*. Rzecz jasna, nie grał tak dobrze jak Ted: z wahaniem uderzał w struny, jakby liczył na łut szczęścia, ale poprawiłam się na poduszkach i słuchałam, jak dla mnie śpiewa.

Gdy już prawie zasnęłam, nagle zagrał coś, czego się nie spodziewałam.

– „Moja kołysanka to ledwie kilka słów i parę prostych akordów...”

– Nie. – Usiadłam całkiem rozbudzona. – Przestań.

Mimo ciemności widziałam, że jest zdumiony. Popatrzył na mnie. Miałam nadzieję, że nie dostrzegł mojego wyrazu twarzy.

Dotąd wszystko było zabawą i tylko kilka razy ogarniał mnie strach, że sprawy mogą posunąć się za daleko, tak jak teraz. Nie mogłam do tego dopuścić.

Powiedziałam mu o tej piosence w chwili słabości, gdy

naszła mnie ochota na zwierzenia, których zwykle unikałam w związkach.

Przeszłość była pełna min, a ta piosenka przypominała uporczywy, wieczny siniak.

Byłam pewna, że w stosownym

momencie może zostać wykorzystana przeciwko mnie.

– Nie chcesz tego słuchać? – zapytał.

– Nie, nie chcę.

Wcześniej, gdy wyznałam mu prawdę, był zdumiony.

Bawiliśmy się w „Powiemci coś, czego o mnie nie wiesz”.

Dowiedziałam się, że Dexter ma alergię na maliny, że w szóstej klasie wybił sobie przedni ząb, bo wpadł na ławkę w parku, i że jego pierwsza dziewczyna była daleką kuzynką Elvisa. Ja wyznałam, że mało brakowało, a przekłuliabym sobie pępek, ale zemdlałam, że któregoś roku sprzedałam więcej ciastek niż którakolwiek inna skautka z mojej drużyny, i że mój ojciec to Thomas Custer, a *Kolysankę* napisał dla mnie.

Oczywiście Dexter znał tę piosenkę i natychmiast zanucił

początek. Powiedział, że kilka razy grali ją na weselach, bo niektóre panny młode wybierały ją do tańca z ojcem

– Dexter.

– Dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz?

– To nie tak. Po prostu mam jej dosyć.

Prawda wyglądała trochę inaczej. Czasami nienawidziłam tej piosenki, bo była kłamstwem – tak jakby ojciec w kilku słowach mógł usprawiedliwić fakt, że nawet nie chciało mu się mnie poznać. Spędził siedem w zasadzie dobrych lat z matką, aż do ostatniej kłótni, po której wyjechał do Kalifornii i zostawił matkę w ciąży, o czym zresztą dowiedziała się później. Dwa lata po moich narodzinach zmarł na atak serca. Nigdy nie przyjechał, żeby mnie zobaczyć. Wykręcił się tą piosenką, przyznając przed światem, że tylko by mnie rozczarował. Co za szlachetność.

Zupełnie jakby chciał mnie ubiec; jego słowa były wiecznie żywe, a ja nawet nie mogłam powiedzieć, co o tym sądzę.

Dexter leniwie brzdąkał na gitarze.

– Dziwne – powiedział. – Znam tę piosenkę, odkąd sięgam pamięcią, i nie miałem pojęcia, że jest dla ciebie.

– To tylko piosenka – odparłam – Nawet go nie znałam.

– Szkoda. Na pewno był fajnym facetem.

– Może – mruknęłam.

Dziwnie było mówić na głos o ojcu. Nie robiłam tego od szóstej klasy, kiedy matka znalazła terapię tak jak niektórzy odnajdują Boga, i ciągała nas na terapię grupową, indywidualną oraz terapię sztuką, dopóki nie skończyły się jej pieniądze.

– Przykro mi – szepnął.

Zirytowała mnie powaga w jego głosie.

– To nic takiego – oznajmiłam.

Przez chwilę milczał, a ja przypominałam sobie jego minę i bezbronność podczas przemowy Dona. To mnie zaniepokoiło, bo przywykłam do innego Dextera – zabawnego, chudego faceta, który przyciskał palce do mojej szyi dokładnie tak jak trzeba.

Przez krótką chwilę widziałam jego inną twarz, a gdyby teraz było jasno, on zobaczyłby to samo we mnie. Tak jak często w życiu, dziękowałam losowi za ciemność.

Przetoczyłam się na brzuch i przywarłam do poduszki,

nasłuchując swojego oddechu. Usłyszałam, jak Dexter porusza się cicho po pokoju. Po chwili mnie objął i oparł twarz na moim ramieniu. W tym momencie był mi bardzo bliski, zbyt bliski, jednak nigdy nie odepchnęłam z tego powodu faceta. Jeśli już, to ich przyciągałam, przyjmowałam, tak jak teraz, pewna, że taka bliskość wystarczy, by ich wystraszyć.

## **Rozdział dziesiąty**

– Na litość boską. – Lissa zatrzymała się przed ekspozycją pościeli. – Kto wie, jaka jest różnica między kapą a narzutą?

Znajdowałyśmy się w Linens Etc., uzbrojone w złotą kartę kredytową mamy Lissy, z listą rzeczy, których kupno uniwersytet sugerował pierwszorocznikom, oraz z listem od przyszłej współlokatorki Lissy, dziewczyny o imieniu Delia z Boca Raton na Florydzie. Delia skontaktowała się z Lissą po to, by mogły skoordynować kolorystycznie pościel i omówić, kto przywiezie telewizor, mikrofalówkę i draperię, a także przełamać lody, by we wrześniu, kiedy zaczną się zajęcia, były „jak siostry”. Lissa i tak czuła się przynębiona, że pójdzie na studia jako singielka, bez Adama, a ten list, napisany srebrnym tuszem na różowej papeterii i posypany brokatem, całkiem dobił.

– Kapa to gruba narzuta – powiedziałam, zatrzymując się przed stertą grubych, fioletowych ręczników. – Zwykle bardzo duża.

Lissa spojrzała na mnie i westchnęła. Ostatnio przez cały czas chodziła rozdrażniona, tak jakby w wieku osiemnastu lat doszła do wniosku, że życie jest do kitu i już się nie poprawi.

– Mam kupić narzutę w fioletoworóżowym odcieniu – oświadczyła, patrząc na listę. – I pościel do kompletu. Czy naprawdę wszystko musi być takiej samej barwy?

– Chodzi o to, żeby zadbać o ciągłość kolorystyczną z podłogą.

– Ciągłość kolorystyczną? – Lissa uniosła brwi.

– Kilka lat temu mama kupiła nowy zestaw mebli do sypialni

– odparłam – Wiem wszystko o egipskiej bawełnie i luksusowych prześcieradłach.

Lissa zatrzymała się przed plastikowymi koszami na śmieci i wybrała limonkowy z niebieskimszlaczkim

– To powinnam kupić. – Obróciła go w rękach. – Tylko po to, żeby się kłócił z wybraną przez nią kolorystyką. Właściwie powinnam wybrać potwornie brzydkie dodatki w proteście

przeciwko założeniu, że będę się zgadzała na wszystko, co ona sobie wymyśli.

Rozejrzałam się wokół siebie. Można tu było znaleźć takie rzeczy – nie tylko limonkowe kosze, ale także cętkowane serwetniki, oprawione zdjęcia kotków bawiących się z piaskami i dywaniki łazienkowe w kształcie stóp.

– Może nie powinnyśmy robić tego akurat dzisiaj – zasugerowałam łagodnie.

– Musimy – burknęła i wrzuciła do wózka krwistoczerwone poszwy w nieodpowiednim rozmiarze. – Spotykam się z Delią na spotkaniu wprowadzającym w przyszłym tygodniu i jestem pewna, że będzie się dopytywała.

Odłożyłam czerwone poszwy na półkę, a Lissa smętnie wbiła wzrok w stojaki na szczoteczki do zębów.

– Lissa, tak chcesz zacząć college? – zapytałam – Z takim gównianym nastawieniem?

Lissa przewróciła oczami.

– Tobie to łatwo. Nie masz żadnych problemów. Wyjedziesz do słonecznej Kalifornii, będziesz sobie surfować i jeść sushi, a ja utknęłam tutaj, w tym samym

miejscu, w którym byłam zawsze, i przez cały pierwszy rok będę musiała się przyglądać, jak Adam wrywa kolejne dziewczyny.

– Surfować i jeść sushi? – spytałam – Jednocześnie?

– Przecież wiesz, o co mi chodzi – warknęła, przyciągając uwagę kobiety obok. – Może w ogóle nie pójdę na studia – dodała ciszej. – Wstąpię do Korpusu Pokoju, pojedę do Afryki, ogolę głowę i będę kopać doły kloaczne.

– Ogolisz głowę? – Co za idiotyzm – Ty? Masz pojęcie, jak brzydkie są nagie czaszki? Mają rozmaite guzki i zgrubienia, ale dowiesz się o tym, kiedy będzie za późno.

– Przecież ty mnie nawet nie słuchasz! – westchnęła. – Tobie zawsze było łatwo, Remy. Jesteś piękna, pewna siebie i inteligentna. Żaden facet cię nie rzucił i nie złamał ci serca.

– To nieprawda – odparłam spokojnie. – Dobrze o tym wiesz.

Umilkła, gdy przypomniała sobie naszą przeszłość. Może i faktycznie słyszałam z przewagą w związkach, ale nie bez powodu.

Lissa nie wiedziała, co się stało tamtej nocy u Alberta, tuż obok jej domu, jednak od tamtego czasu oberwałam jeszcze parę razy, choćby od Jonathana.

– Zaplanowałam całą przyszłość z Adamem – dodała cicho

Lissa. – Teraz nie mam nic.

– Nieprawda. Teraz nie masz Adama. To zasadnicza różnica, tylko jeszcze to do ciebie nie dotarło.

Wymamrotła coś niezrozumiale i wrzuciła do wózka chusteczki w pudełku w krowie łaty.

– Widzę, że wszyscy robią dokładnie to, co chcieli zrobić z życiem – ciągnęła. – Stoją na starcie, gotowi do biegu, a ja się czuję tak, jakbym okulała, i czekam na kulę w łeb, która skróci moje cierpienia.

– Złotko, szkoła skończyła się dopiero miesiąc temu. –

Próbowałam zachować cierpliwość. – To jeszcze nie jest prawdziwy świat, tylko coś pomiędzy.

– Beznadzieja – oznajmiła. – Wróciłabym do liceum w mgnieniu oka, gdybym tylko mogła.

– Trochę za wcześnie na tęsknotę za szkołą.

W milczeniu powędrowaliśmy do następnego działu, gdzie

Lissa skupiła się na zasłonach, a ja podeszłam do regału wyprzedażowego i pochyliłam się nad artykułami piknikowymi w dzisiejszej specjalnej cenie.

Patrzyłam na plastikowe talerze we wszystkich kolorach tęczy, na noże z przezroczystymi rączkami i widelce z metalowymi zębami. Podniosłam zestaw kubków w różowe flamingi. Okropieństwo.

Myślałam o żółtym domu, gdzie nie było nic poza jednym ceramicznym talerzem, kilkoma sztuccami z różnych bajek, darmowymi kubkami do kawy ze stacji benzynowej i serwetkami, które Ted wyciągnął z kubła na uszkodzone produkty w Mayor's Market. A tutaj, na wyprzedaży, znalazłam zestaw plastikowych sztucców za jedyne sześć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Bez zastanowienia włożyłam komplet do wózka.

Olśniło mnie jakieś dziesięć sekund później. Co ja robię?

Kupuję sztucce dla faceta? Dla chłopaka? Całkiem jakby kosmici wyprali mi mózg, tak jak mojemu bratu. Jaka dziewczyna kupuje artykuły gospodarstwa domowego komuś, z kim chodzi za ledwie od miesiąca? Tylko psychopatka, która chce jak najszybciej wyjść za mąż i urodzić dzieci. Wzdrygnęłam się na samą myśl i odłożyłam zestaw tak pośpiesznie, że upadł na talerzyki w delfiny.

Narobiłam hałasu, przez który Lissa oderwała wzrok od lampek na biurko.

Uspokój się, powiedziałam sobie i odetchnęłam głęboko powietrzem przesyconym wonią świeczek zapachowych.

– Remy? – Lissa trzymała w rękach zieloną lampę. –

Wszystko okej?

Skinęłam głową, a ona ponownie skupiła się na oglądaniu przedmiotów.

Przynajmniej ona poczuła się lepiej: lampka pasowała do kosza na śmieci.

Pchałam wózek wśród regałów pełnych ręczników,

wieszaków i świeczek, powtarzając sobie, że nie wszystko musi mieć ukryte znaczenie. Na litość boską, to były tylko plastiki w okazyjnej cenie, a nie pierścionek zaręczynowy! Trochę się uspokoiłam, chociaż racjonalna część mózgu podpowiadała mi, że w żadnym z mniej więcej piętnastu związków od gimnazjum nie czułam potrzeby kupienia chłopakowi czegoś poza colą. Nawet na urodziny i Gwiazdkę dawałam im zwyczajne rzeczy, takie jak koszulki czy płyty kompaktowe wykonawców, którzy szybko wychodzili z mody. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, sztucce to jedzenie, jedzenie to utrzymanie, a utrzymanie to życie. Czyli, innymi słowy, kupując choćby jeden plastikowy widelec,

deklarowałam, że chcę się zajmować Dexterem do końca życia.

Błę. Gdy w drodze do kasy raz jeszcze mijaliśmy stół z przecenami, Lissa sięgnęła po budzik w stylu retro.

– Śliczny – zachwyciła się. – I spójrz na te plastikowe talerzyki ze sztuccami.  
Może by mi się przydały.

– Może. – Wzruszyłam ramionami.

– A gdyby mi się nie przydały? – ciągnęła niezdecydowanie.

– W sumie to tylko siedem docłów... I są śliczne. Ale pewnie i tak zabraknie mi na nie miejsca.

– Pewnie tak – zgodziłam się i pchnęłam wózek.

Ona jednak stała nieruchomo, głaszcząc niebrzydkią saszetkę, w której sprzedawano sztuce.

– Naprawdę śliczne – oznajmiła. – Nieporównanie ładniejsze od sztucców na wynos. Ale to cały komplet, a przecież jestem tylko ja i Delia...

Milczałam, przytłoczona zapachem świec.

– A może czasem kogoś zaprosimy, na przykład na pizzę? –

Westchnęła. – Nie, to byłby tylko zakup pod wpływem impulsu, całkiem niepotrzebny.

Znów ruszyłam, ale Lissa przeszła tylko kilka kroków.

Konkretnie dwa.

– Inna sprawa, że... – odezwała się i umilkła. – Nie, lepiej nie...

– Boże! – Sięgnęłam za siebie i chwyciłam saszetkę. – Ja to kupię, dobrze?

Chodźmy.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Ale... chcesz? Bo ja nie jestem pewna, czy mi się przyda.

– Tak – potwierdziłam dobitnie. – Chcę. Te sztuce są mi ogromnie potrzebne.

– No dobrze – mruknęła bez przekonania. – Skoro naprawdę są ci potrzebne.

Później, kiedy ją podrzuciłam pod dom, kazałam jej

sprawdzić, czy wszystko wzięła, łącznie ze sztuccami. Jak zwykle jednak zabrała z bagażnika wszystko poza jedną torebką, o której ja również zapomniałam.

Parę dni później Dexter i ja wyładowywaliśmy zakupy do

zółtego domu: masło orzechowe, chleb, sok pomarańczowy i doritos. Już miał zamknąć bagażnik, kiedy nagle znieruchomiał.

– A to co? – Wyciągnął białą, zawiązaną torebkę.

– Nic – odparłam szybko, próbując mu ją wyrwać.

– Czekaj, czekaj. – Odsunął ode mnie torebkę, żebym nie mogła po nią sięgnąć. –

Co to takiego?

– Coś, co kupiłam dla siebie – odparłam krótko.

Był za wysoki, żeby zmogła wyrwać mu torebkę.

– To sekret?

– Tak.

– Naprawdę?

– Tak.

Potrząsnął torbę, uważnie nasłuchując.

– Nie brzmi jak sekret – oznajmił.

– A jak brzmi sekret? – zapytałam Idiota. – Dawaj.

– Jak tampony. – Ponownie potrząsnął. – A to nie grzechocze jak tampony.

Spiorunowałam go wzrokiem, a on oddał mi torebkę, jakby już go nie interesowało, co jest w środku.

– Skoro musisz wiedzieć, to są plastikowe sztucce, które kupiłam w Linens Etc. – powiedziałam, jakby to nie było nic wielkiego.

– Plastikowe sztucce?

– Tak, z wyprzedazy.

Staliśmy nieruchomo. Z domu słychać było głosy z

telewizora i śmiech. Po drugiej stronie siatkowych drzwi Małpison patrzył na

nas i machał ogonem.

– Noże, widelce i łyżki? – upewnił się.

– Tak, same podstawowe rzeczy – potwierdziłam, wycierając kurz z auta.

– Po co ci plastikowe sztucce?

Wzruszyłam ramionami.

– Dziwne – ciągnął. – Bo to ja potrzebuję sztucców, i to bardzo.

– Możemy już wejść? – Zamknęłam bagażnik. – Straszny

upał.

Popatrzył na torebkę i znowu na mnie, a potem uśmiechnął

się szeroko, tak jak się tego obawiałam.

– Kupiłaś mi plastikowe sztucce, prawda?

– Nie – warknęłam.

– Ależ tak. – Roześmiał się głośno. – Kupiłaś mi widelce, noże i łyżki, bo...

– Wcale nie – zaprzeczyłam głośno.

– Bo mnie kochasz! – Uśmiechnął się, jakby rozwiązał

zagadkę.

Poczułam, że się rumienię. Głupia Lissa. Mogłabym ją zabić.

– Były na wyprzedazy – poinformowałam go ponownie,



jakby to mnie tłumaczyło.

– Kochasz mnie. – Zabrał torebkę i dołączył do innych pakunków.

– To tylko siedemdoliców – dodałam, ale on już szedł przed siebie. – Były na wyprzedazy, na litość boską!

– Kochasz mnie! – zawołał śpiewnie przez ramię. – Kochasz.

Mnie!

Stałam przed domem i po raz pierwszy od dawna poczułam, że wszystko wymyka mi się spod kontroli. Jak do tego dopuściłam? Lata płyt kompaktowych i swetrów, a także przechodnich prezentów, a teraz wystarczył jeden zestaw piknikowych sztućców i od razu straciłam przewagę. To się wydawało niemożliwe.

Małpiszon wybiegł na widok Dextera i obwąchał torby, po czym obaj weszli do środka. Drzwi się zamknęły, a ja miałam ochotę wsiąść do samochodu i odjechać jak najszybciej, a potem zamknąć się na cztery spusty, żeby chronić resztki godności oraz rozsądku. Wiele razy mogłam to powstrzymać i nadal miałam czas się ratować, a jednak nie drgnęłam.

Drzwi się otworzyły, z domu wyszedł zadyszany Małpiszon, a nad nim pojawiła się ręka z widelcem, która pomachała, jakby chcąc coś przekazać. Tylko co? Czy w ogóle mnie to obchodziło?

Ostatnia szansa, pomyślałam.

Potem westchnęłam i ruszyłam po schodach.

Pewne znaki zawsze wskazywały na to, że matka zbliża się do końca pracy nad powieścią. Po pierwsze, pracowała przez cały czas, nie tylko od południa do czwartej. Budziłam się w środku nocy, słysząc stukot maszyny, a gdy wyglądałam przez okno, widziałam w ogrodzie plamy światła z pokoju matki. Mamrotała do siebie podczas pisania, tak cicho, że nie dało się zrozumieć, co mówi. Można jednak było odnieść wrażenie, że są w niej dwie osoby: jedna dyktuje, a druga desperacko usiłuje wszystko spisać.

Jednak najbardziej charakterystycznym sygnałem było co innego: gdy nadążała ze spisywaniem tego, co jej przychodzi do głowy, puszczała Beatlesów, żeby jej śpiewali podczas powstawania epilogu.

Pewnego ranka w połowie lipca zatrzymałam się na szczycie schodów i nadstawiłam uszu. No tak, Paul McCartney śpiewał jakiś wczesny przebój.

Drzwi do jaszczurczego pokoju się otworzyły i ze środka wyszedł Chris w uniformie do pracy, z paroma pustymi słoiczkami po jedzeniu dla niemowlaków, które było podstawą menu jego gadów. Przechylił głowę i zamknął za sobą drzwi.

– To brzmi jak ten album z norweską piosenką – zauważył.

– Nie. – Ruszyłam po schodach. – To z tej płyty, na której wszyscy są w oknie i patrzą w dół.

Skinął głową i podążył za mną. W kuchni zobaczyliśmy

opuszczoną koralikową zasłonkę w przejściu do gabinetu, w którym głos Paula ustąpił głosowi Johna Lennona. Zajrzałam tam dyskretnie – widok wypalanej świeczki i stosu kartek papieru zrobił na mnie wrażenie. Musiała napisać co najmniej dwieście stron. Kiedy już wpadła w trans, nic nie mogło jej powstrzymać.

Wróciłam do kuchni i odsunęłam dwie puste puszki po

ensure, a następnie przygotowałam sobie miseczkę płatków z bananami i duży kubek kawy. Potem usiadłam tyłem do gołej baby na ścianie i wzięłam do ręki kalendarz.

Był piętnasty lipca. Za mniej więcej dwa miesiące miałam spakować walizki oraz laptop i ruszyć na lotnisko, a siedem godzin później wylądować w Kalifornii, by zacząć życie w Stanfordzie. W

kalendarzu niewiele było zapisane między dniem dzisiejszym a terminem mojego wyjazdu. Sama otoczyłam tę datę kółeczkiem ze szminki, jakby cała sprawa była ważna tylko dla mnie.

– Rety – jęknął Chris. – Znowu to zrobił.

Stał przed lodówką, trzymając niemal pustą torbę po chlebie, w której zostały tylko dwa ostatnie skrajne kawałki, na które mówiliśmy dupki.

Don długo mieszkał sami nadal nie docierało do niego, że inni korzystają z tych samych produktów. Z tego powodu bez skrpułów dopijał sok pomarańczowy i odstawiał pusty karton do lodówki albo zjadał chleb, zostawiając same dupki. Choć Chris i ja prosiliśmy, żeby zapisywał, czego brakuje (lista była przyczepiona do lodówki), to albo o tym zapominał, albo miał to gdzieś.

Chris zatrzaskał drzwi lodówki, aż zagrzechotały puszki ensure.

– Nienawidzę ich – wymamrotał i wepchnął dupki do tosterka.

– Przecież dopiero kupiłam tę torbę. Facet chleje te swoje puszki, dlaczego jeszcze dopycha się moim chlebem? Podobno to płynna dieta.

– Też tak myślałam – odparłam.

– Oczekuję tylko odrobiny zrozumienia. To chyba niewiele?

Wzruszyłam ramionami, wpatrując się w obrysowany szminką dzień. To nie był mój problem.

– Remy? – rozległ się głos matki i maszyna na chwilę umilkła. – Zrobisz mi przysługę?

– Pewnie! – zawołałam

– Przyniesiesz mi kawę? – Maszyna poszła w ruch. – Z mlekiem?

Wstałam i zrobiłam dwa pełne kubki. Łączyło nas tylko to, że obie piłyśmy kawę z odrobiną mleka. Z oboma kubkami w rękach odsunęłam zastonkę i weszłam do pachnącego wanilią pokoju.

Musiałam poprzestawiać nagromadzone na biurku brudne

kubki, żeby zrobić miejsce na nowe. Jeden z kotów leżał w fotelu i syknął na mnie bez przekonania, gdy go zepchnęłam. Popatrzyłam na schludny stosik. Miałam rację – szczyt wieńczyła dwieście siódma strona.

Byłam świadoma, że nie należy nic mówić, dopóki matka nie skończy myśli, więc sięgnęłam po kartkę na wierzchu sterty.

– Luc! – zawołała Melanie w kierunku drugiego pokoju w apartamencie, ale odpowiedziała jej cisza. – Proszę cię.

*Mężczyzna, który kilka godzin wcześniej całował ją w deszczu różanych płatków, a w obecności paryskich elit wyznał jej miłość, teraz milczał. Dlaczego małżeńskie łóżko było takie zimne?*

*Melanie, ubrana w koronkowy negliż, zadrżała. Czy napłynęły jej do oczu, gdy popatrzyła na bukiet białych róż i fioletowych lilii.*

*Leżał na nocnym stoliku, tam gdzie zostawiła go pokojówka. Nadal był świeży, a Melanie pamiętała, jak wtuliła w niego twarz i wdychając zapach kwiatów, myślała o tym, że teraz jest żoną Luca Perethela. Te słowa były niczym magiczne zaklęcie. Teraz jednak, kiedy światła miasta wpadały przez otwarte okno, Melanie tęskniła nie za swoim nowym mężem, lecz za innym mężczyzną w innym mieście. Och, Brock, brak mi Ciebie, pomyślała. Nie odważyła się wypowiedzieć tego na głos ze strachu, że słowa wymkną się i popłyną w dal, by znaleźć tego jedyne, którego pokochała.*

Hm. Zerknęłam na matkę, która nieustannie pisała,

marszcząc brwi i poruszając ustami. Wiedziałam, że jej dzieła to czysta fikcja.

Wymyślała historie o życiu i miłości w świecie bogaczy, podczas gdy my wycinaliśmy kupony z gazet i regularnie odłączano nam telefon. Zresztą Luc, ten oziębły nowy mąż, na pewno nie przepadał za napojemensure.

– Och, dziękuję!

Matka dostrzegła kubek świeżej kawy i natychmiast po niego sięgnęła. Miała włosy związane w kucyk, zero makijażu, pizamę i cętkowane kapcie, które kupiłam jej na urodziny. Ziewnęła i usiadła wygodniej.

– Pracowałam całą noc – oświadczyła. – Która godzina?

Popatrzyłam na zegar w kuchni, widoczny za rozkołysaną zasłonką.

– Kwadrans po ósmej – odparłam.

Westchnęła i znów wypita kawę. Przeniosłam wzrok na kartkę w maszynie, żeby sprawdzić, co będzie dalej, ale widziałam tylko kilka linijek dialogu. Najwyraźniej Luc jednak miał coś do powiedzenia.

– Widzę, że dobrze idzie. – Wskazałam głową stosik przy swoim łokciu.

Poruszyła ręką, dając mi do zrozumienia, że tak sobie.

– Jestem dokładnie w połowie, a sama wiesz, że czasem robi się trochę nudno – powiedziała. – Wczoraj już zasypiałam, kiedy nagle mnie olśniło. To na pewno dzięki gęsiom.

Czekałam, ale najwyraźniej to było wszystko, gdyż matka chwyciła pilniczek i zabrała się do szlifowania paznokcia na małym palcu.

– Gęsiom? – powtórzyłam w końcu.

– Bo wiesz... – Odłożyła pilniczek. – To wredne stworzenia.

Piękne, ale okropnie złośliwe. Rzymianie wykorzystywali je zamiast psów stróżujących.

Pokiwałam głową. Z drugiej strony pokoju dobiegło mnie chrapanie kota.

– Dlatego zaczęłam myśleć o cenie urody. Czy zamieniłabyś szczęście albo miłość na urodę? Czy piękna osoba o paskudnym charakterze to dobry partner? A jeśli skusisz się na pięknego łabędzia w nadziei, że cię nie skrzywdzi, co zrobisz, jeśli jednak tak się stanie?

Pomyślałam, że to retoryczne pytania.

– Nie mogłam przestać się nad tym zastanawiać. – Pokręciła głową. – I nie mogłam spać. To pewnie przez ten idiotyczny gobelin, który Don zawiesił na ścianie. Nie mogę się odprężyć, gdy widzę wszystkie te starannie wyszyte sceny bitewne i krzyżowanych ludzi.

– To lekka przesada – przytaknęłam.

Za każdym razem, gdy szłam po coś do jej pokoju, gobelin przykuwał moją uwagę. Trudno było oderwać oczy od fragmentu, który przedstawiał ścięcie Jana

Chrzyciela.

– Więc przyszedłam tutaj, myśląc, że trochę sobie posiedzę, a teraz jest ósma rano i nadal nie znam odpowiedzi. Jak to możliwe?

Muzyka ucichła i zapadła cisza. Podczas pisania matka zawsze zachowywała się bardzo dramatycznie. Co najmniej raz podczas pracy nad powieścią wpadała do kuchni bliska łez, krzycząc, że straciła talent, że cała książka to dno, katastrofa i koniec jej kariery, a Chris i ja siedzieliśmy w milczeniu. Po paru minutach, godzinach albo dniach wracała do gabinetu i pisała przy opuszczonych zasłonach. Kilka miesięcy później, kiedy książka wychodziła, matka zapomniała o załamaniach, będących

elementem procesu twórczego. Kiedy jej o tym wspominałam, twierdziła, że pisanie książek jest jak poród. Gdyby kobieta pamiętała, jaki to koszmar, nigdy nie zdecydowałaby się na to ponownie.

– Coś wymyślisz – powiedziałam w końcu. – Jak zawsze.

Przygryzła wargę i popatrzyła na kartkę w maszynie, a potem wyjrzała przez okno oświetlone przez słońce. Uświadomiłam sobie, że matka wydaje się zmęczona, wręcz smutna, czego wcześniej nie zauważyłam.

– Wiem – odparła bez przekonania. – Jak tam Dexter?

– Chyba dobrze.

– Bardzo go lubię. – Uśmiechnęła się ze skruchą. – Jest inny niż chłopcy, z którymi się umawiałaś.

– Bo nie umawiałam się z muzykami – wyjaśniłam.

– Ja też nie – westchnęła.

Roześmiałyśmy się obie.

– Więc dlaczego odstąpiłaś od tej zasady? – zapytałam.

– Wiadomo – odparła. – Byłam zakochana.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi – to Chris wyszedł do pracy, wykrzykując słowa pożegnania. Patrzyłyśmy, jak z mountain dew w dłoni idzie po podjeździe do samochodu.

– Pewnie kupi jej pierścionek, o ile już tego nie zrobił – oświadczyła matka z zadumą. – Czuję to przez skórę.

Chris wyjechał na ulicę, nadal sącząc napój.

– Wkrótce się dowiemy – odparłam.

Dopiła kawę, po czym pogłaskała mnie po policzku, wodząc palcem po konturach mojej twarzy. To był niezbyt naturalny gest, ale krzepiący, bo robiła to, odkąd

pamiętałam. Jej palce były zimne, jak zawsze.

– Och, Remy – westchnęła. – Tylko ty mnie rozumiesz.

Wiedziałam i nie wiedziałam, co ma na myśli.

Przypominałam swoją matkę, ale nie byłam z tego dumna. Gdyby rodzice zostali razem i zestarzeliby się, śpiewając protest songi nad zlewem, może byłabym kimś innym. Gdyby się przekonała, czego może dokonać miłość, może wierzyłabym w nią od

początku. Za dużo czasu w życiu spędziłam na obserwowaniu rozpadających się małżeństw. Więc tak, rozumiałam matkę –

czasem jednak, tak jak ostatnio, wołałabym, żeby tak nie było.

– Ale nabiera wody.

– Jeszcze za mało. Musi być pełna. – Zabrałam mu płyn do prania i zdjęłam zakrętkę.

– Zawsze wlewam płyn, kiedy tylko pralka zaczyna się napełniać – upierał się.

– I dlatego nigdy nie masz czystych ubrań. To chemia, Dexter.

– To pranie.

– Właśnie.

– Wiesz, reszta chłopaków jest jeszcze gorsza – powiedział. –

Prawie nie piorą. A już na pewno nie oddzielają kolorowych i jaskrawych rzeczy.

– Kolorowych i białych – poprawiłam – Kolorowe i jaskrawe pierze się razem

– Zawsze masz taką obsesję?

– Chcesz, żeby wszystko było różowe?

Po tych słowach się przyznałam. Nasza lekcja prania była skutkiem tego, że wrzucił nową czerwoną koszulę do pralki nastawionej na wysoką temperaturę, przez co wszystko, co nosił, zabarwiło się na różowo. Od incydentu z plastikowymi sztućcami robiłam, co mogłam, żeby nie angażować się w dom, ale nie zniosłabym różowego chłopaka. Dlatego właśnie stałam w pralni żółtego domu, której na ogół unikałam ze względu na sterty brudnej bielizny, skarpetek i rozmaitych podkoszulków, które często wysypywały się na korytarz. Taki stan nie był specjalnie dziwny, biorąc pod uwagę, że mało kto kupował tutaj detergenty.

W zeszłym tygodniu John Miller podobno wyprał swoje dżinsy w mydle

Palmolive.

Po uruchomieniu pralki ostrożnie ominęłambrudne skarpetki i wyszłam na korytarz, po czym podążyłam za Dexterem do kuchni.

– Pierzesz? – spytał Lucas, który siedział przy stole i jadł mandarynkę.

– Tak.

– Znowu?

– Wybielambiałe rzeczy – odparł Dexter.

Nagle zrobiło się ciemno, całkiemciemno. Wszystkie światła zgasły, a lodówka umilkła, podobnie jak pralka. Paliło się tylko światło na werandzie sąsiedniego domu.

– Ej! – wrzasnął John Miller z salonu, gdzie jak zwykle o tej porze oglądał *Koło fortuny*. – Właśnie miałemrozwiązać zagadkę!

– Zamknij się. – Lucas stanął przy włączniku światła i pstryknął kilka razy. – Chyba poszedł bezpiecznik.

– Cały domjest bez prądu – zauważył Dexter.

– I co z tego?

– Gdyby poszedł tylko jeden bezpiecznik, coś nadal by działało. – Dexter chwycił leżącą na stole zapalniczkę i ją zapalił.

– To na pewno przerwa w dostawie prądu. Idę o zakład, że odłączyło całą sieć. To nie był mój problem, jednak nie mogłam milczeć.

– W domu obok pali się światło – zauważyłam.

Dexter wyjrzał przez okno.

– W istocie – przytaknął. – Interesujące.

W drzwiach kuchni stanął John Miller. Jego blada skóra w ciemności wydawała się jeszcze jaśniejsza.

– Światło zgasło – powiedział, jakbyśmy byli ślepi.

– Dziękujemy, Einsteinie – warknął Lucas.

– To spięcie – oznajmił Dexter. – Jakieś zwarcie w przewodach.

John Miller opadł na sofę. Przez chwilę wszyscy milczeli, dopóki nie dotarło do mnie, że dla nich to nie jest żaden problem.

Prąd, sąd.

– Zapłaciłeś rachunek? – zapytałam w końcu Dextera.

– Rachunek? – powtórzył.

– Za elektryczność.

Przez chwilę panowała cisza.

– O cholera – mruknął Lucas. – Pieprzony rachunek.

– Ale przecież zapłaciliśmy – wtrącił John Miller. – Leżał w szufladzie, sam go wczoraj widziałem

– Widziałeś, czy zapłaciliśmy? – spytał Dexter.

– Jedno i drugie? – John Miller nie wydawał się przekonany.

– Gdzie był ten rachunek? W której szufladzie? – zapytałam Johna Millera.

– O, w tej. – Zapewne wskazał miejsce, ale po ciemku nic nie widziałam – Tam gdzie trzymamy ważne rzeczy.

Dexter zapalił świeczkę i zaczął szperać w szufladzie pełnej tak ważnych rzeczy, jak saszetki z sosemi zapalki reklamowe z każdego sklepu oraz baru w mieście.

– To to? – Wyciągnął jakieś papiery.

– Nie – odparłam powoli. – To zawiadomienie, że jeśli nie zapłacicie rachunku do... wczoraj, odetną wam dopływ prądu.

– Jak to mogło nam umknąć? – mruknął John Miller.

Odwróciłam rachunek. Przylepił się do niego zestaw zatłuszczonych kuponów zniżkowych na pizzę. Jeden już został wykorzystany.

– Nie mam pojęcia – burknęłam

– Wczoraj... – Lucas się zamyślił. – Czyli podarowali nam dodatkowe pół dnia.

Co za hojność.

– Kto miał zapłacić rachunek? – spytał Dexter pogodnie.

– Ted? – odezwał się John Miller

– Ted – powtórzył Lucas.

– Ted – zdecydował Dexter i sięgnął po telefon. – Hej, Ted.

Tu Dexter. Zgadnij, gdzie jestem – Umilkł na chwilę. – Nie. W ciemnościach. Jestem w ciemnościach. Miałeś zapłacić rachunek.

– A ja miałem rozwiązać zagadkę! – wrzasnął John Miller. – Brakowało mi tylko L albo V.

– Mamy to gdzieś – poinformował go Lucas.

Dexter słuchał Teda, co jakiś czas mrużąc „hm”.

– Okej – powiedział w końcu i odłożył słuchawkę. – Ted trzyma rękę na pulsie – zwrócił się do nas.

– Co to znaczy? – spytałam



– Jest solidnie wkurzony, bo zdaje się, że to ja miałem zapłacić rachunek. –  
Wiedziałam, że uśmiechnął się szeroko. – To co, pogadamy o duchach?

– Dexter, naprawdę... – westchnęłam

Taka nieodpowiedzialność doprowadzała mnie do wrzodów  
żołądka, ale Lucas i John Miller najwyraźniej do niej przywykli, bo nie  
wydawali się specjalnie poruszeni.

– W porządku, w porządku – powiedział Dexter. – Ted ma  
pieniądze. Zadzwoń do gości od prądu, więc może podłączą nas z powrotem  
jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano.

– To świetnie, ale co z tobą? – spytał Lucas.

– Ze mną? – Dexter wydawał się zdziwiony. – Jak to: ze  
mną?

– Chodzi mu o to, że w ramach przeprosin powinieneś zrobić coś dla domu –  
wyjaśniłam

– Właśnie. Słuchaj Remy – potwierdził Lucas.

Dexter westchnął ciężko.

– Skarbie, nie pomagasz.

– Przez ciebie tkwimy w ciemności – zauważył John Miller.

– Dobra, zrobię coś dla domu. Na przykład...

– Posprzątam łazienkę? – odpowiedział mu Lucas.

– Nie – odparł Dexter stanowczo.

– Zrobisz mi pranie?

– Nie.

– Kupisz piwo? – spytał John Miller.

– Tak! – wykrzyknął Dexter i wyciągnął z kieszeni banknot.

– Dwadzieścia dolców moich w pocie czoła zarobionych  
pieniędzy. Dla was.

Lucas szybko wyrwał mu banknot, jakby się bał, że Dexter zmieni zdanie.

– Cudownie. Jedziemy.

– Ja prowadzę. – John Miller i Lucas wyszli z kuchni,  
zastanawiając się, gdzie są kluczyki.

Zostaliśmy sami.

Dexter zapalił drugą świeczkę i postawił ją na stole, a ja usiadłam po drugiej  
stronie.

– Jak romantycznie – powiedziałam

– Jasne. Wszystko zaplanowałam tylko po to, żeby dorwać cię samotnie w ciemności.

– Banał.

– Staram się – odparł z uśmiechem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wiedziałałam, że mnie obserwuje, więc usiadłammu na kolanach.

– Gdybyś był moim współlokatorem, zabiłabym cię za to – poinformowałam go.

– W końcu byś to pokochała.

– Bardzo wątpię.

– Myślę, że tak naprawdę bardzo cię pociągają te cechy mojej osobowości, których podobno nie znosisz.

– Ale ja tak nie myślę. – Popatrzyłam na niego.

– Więc dlaczego mnie lubisz? – Przytulił mnie. – Powiedz.

– Nie – mruknęłam – To dziwne.

– Wcale nie. Ja powiem, co lubię w tobie. Jesteś piękna i muszę przyznać, że właśnie to przykuło moją uwagę w salonie samochodowym. Ale najbardziej urzekła mnie twoja pewność siebie. Dziewczyny często się zastanawiają, czy nie są za grube albo czy naprawdę je lubię – ty nie. Udawałaś, że nic cię nie obchodzi, czy z tobą rozmawiam, czy nie.

– Udawałam?

– Widzisz? Właśnie o to mi chodzi.

– Czyli pociąga cię fakt, że jestem wredną małpą?

– Nie, wcale nie. – Poprawił się na krześle. – Stanowiłaś wyzwanie. Większość ludzi łatwo rozgryźć, a ty jesteś

skomplikowana. To, co się widzi, jest dalekie od tego, co jest w środku. Możesz udawać twardzielkę, ale w głębi duszy jesteś całkiem miękka.

– Co? – Poczulałam się urażona. – Wcale nie jestem miękka.

– Kupiłaś mi sztucce.

– Bo były na przecenie!

– I jesteś miła dla mojego psa. Przychodzisz tu z własnej woli, uczysz mnie, jak oddzielać kolorowe ciuchy od jaskrawych...

– Od białych.

– ...a także rozwiązałaś nasz problem z rachunkiem. Jesteś słodka, Remy, i pogódź

się z tym

– Zamknij się – wymamrotałam.

– To takie straszne?

– Nie, tylko nieprawdziwe.

Mówiłam szczerze. Nazywano mnie bardzo różnie, ale nigdy słodką.

Zdenerwowałam się, jakby Dexter odkrył sekret, o którym nie miałam pojęcia.

– No dobra, teraz twoja kolej – zarządził.

– Na co?

– Powiedz, dlaczego mnie lubisz.

– Kto powiedział, że cię lubię?

– Remy. Bo znowu cię nazwę słodką.

– Dobra, dobra. No cóż, rozśmieszasz mnie – oznajmiłam w końcu. – I jesteś całkiem przystojny.

– Całkiem przystojny? Ja nazwałem cię piękną.

– Chcesz być piękny? – zdziwiłam się.

– Twierdzisz, że nie jestem?

Kręcąc głową, wzniosłam oczy ku sufitowi.

– Żartuję, już się zamykam. Spokojnie, dobrze? Nie

przystawiam ci lufy do skroni i nie żądam, żebyś recytowała Deklarację

Niepodległości.

– A szkoda.

Roześmiał się na tyle głośno, że zdmuchnął świeczkę na stole.

– Okej – powiedział, a ja w półmroku objęłam go za szyję. –

Nie musisz mówić tego na głos. I tak wiem, dlaczego mnie lubisz.

– Wiesz, tak?

– Tak.

Przytulił mnie mocniej.

– Więc to powiedz – zażądałam.

– To zwierzęcy pociąg – oświadczył. – Chemia.

– Kto wie, czy nie masz racji – przytaknęłam.

– Właściwie to wszystko jedno, dlaczego mnie lubisz.

– Poważnie?

– Poważnie. – Teraz głaskał mnie po głowie, a ja

próbowałam dostrzec zarysy jego twarzy. – Grunt, że tak właśnie jest.

## Rozdział jedenasty

– Ohyda – skomentowała Chloe, gdy kolejna bańka prysnęła jej w twarz.

– Przestań – uciszyłam ją. – On cię słyszy.

Otarła twarz wierzchem dłoni. Było gorąco, a zachwycony Małpiszon siedział w wypełnionym zimną wodą plastikowym baseniku dla dzieci.

– Przytrzymaj przednie łapy – powiedziałam do Chloe i

wycisnęłam na dłoń kolejną porcję szamponu. – Są koszmarnie brudne.

– Cały jest koszmarnie brudny – wymamrotała, a Małpiszon wstał i otrząsnął się, ochlapując nas pianą i brudną wodą. –

Widziałś jego pazury? Talinga ma krótsze, na litość boską.

Małpiszon zaszczeakał na widok kota, który spacerował pod żywoplotem ogródka Chloe.

– Siad! – poleciła Chloe. – Słyszysz? Siadaj, Małpiszonie.

Znów się otrząsnął, a ja przycisnęłam jego zad do dna

basenu.

– Dobry piesek – pochwaliłam go, choć od razu próbował wstać.

– Gdyby matka teraz przyszła, wyrzuciłaby mnie z domu. –

Chloe połała Małpiszona wodą z węża. – Dostałaby tętniaka na widok tego potwora w swoim ogródku.

Chloe w pierwszej chwili odmówiła, gdy pojawiłam się na jej werandzie z szamponem i psem, ale po kilku minutach jęczenia i obietnic, że postawię jej kolację oraz zrobię, co zechce, poddała się i chyba nawet polubiła Małpiszona. Głaskała go, gdy wyciągałam z samochodu basenik dla dzieci, kupiony okazyjnie w Wal-Marcie za marne dziewięć dolarów. Chciałam umyć psa u siebie w domu, ale Chris przerobił nasz wąż na skomplikowany system

wodociągowy dla jaszczurek, więc w zasadzie nie miałam wyboru.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że tak nisko upadłaś –

powiedziała Chloe, gdy opłukałam psa, a on wyskoczył z baseniku i otrząsnął się. – Zachowujesz się, jakbyś była dziewczyną Dextera.

– Nie. – Przytrzymałam Małpiszona, żeby nie zniszczył

żadnych roślin w ogródku. – Ulitowałam się nad nieszczęśliwym zwierzęciem.

Mówiłam prawdę, a poza tym spędzałam ostatnio sporo

czasu z Małpiszonem i trudno było znieść jego smród. A przecież wystarczyło tylko kupić psi szampon za pięć dolarów oraz cążki, a także przyciąć trochę kłaków.

Co w tymzłego? Moim zdaniem nic.

Zrobiłam to dla Małpiszona.

– Podobno miałaś się nie przywiązywać – zauważyła Chloe, gdy wyciągnęłam cążki z kieszeni i ponownie posadziłam psa.

– Wcale się nie przywiązuję – odparłam – To tylko na lato.

– Nie mówię o Dexterze. – Wskazała głową Małpiszona, który usiłował polizać mnie po twarzy. Teraz pachniał cytrusami.

Przycięłyśmy mu sierść nad oczami i na łapach, dzięki czemu wyglądał teraz pięć lat młodziej. Lola miała rację: dobra fryzura wszystko zmienia. – To dodatkowe zobowiązania, a ty

komplikujesz sobie życie.

– Chloe, to pies, a nie pięciolatek, który będzie cierpiał z powodu porzucenia.

– A jednak. – Przykucnęła. – Co z naszym dzikimi szalonym latem? Kiedy rzuciłaś Jonathana, myślałam, że będziemy się umawiać aż do końca sierpnia i nie przejmować się niczym.

Pamiętasz?

– Nie przejmuję się niczym.

– Jeszcze nie – odparła ponuro.

– Bez obaw. – Wstałam – Gotowe.

Obie przyjrzałyśmy się psu.

– Ogromna poprawa – przyznała Chloe.

– Tak myślisz?

– Wszystko byłoby lepsze niż tamto. – Wzruszyła ramionami, po czym pochyliła się i poklepała psa.

Szybko rozłożyłam kilka ręczników na tylnym siedzeniu

samochodu. Lubiłam Małpiszona, co nie oznaczało, że miałam ochotę zbierać psią sierść przez następne kilka tygodni.

– Chodź, Małpo! – zawołałam, a on pobiegł po podjeździe i wskoczył do auta. –

Dzięki za pomoc, Chloe.

Gdy usiadłam za kierownicą, Chloe położyła ręce na biodrach i na mnie spojrzała.

– Wiesz, jeszcze nie jest za późno – powiedziała. – Jeśli teraz z nim zerwiesz, przed wyjazdem wciąż będziesz miała miesiąc na dobrą zabawę jako singielka.

Wsunęłam kluczyk do stacyjki.

– Będę o tym pamiętać – odparłam.

– Do zobaczenia o wpół do szóstej?

– Tak. Podjadę po ciebie.

Skinęła głową i osłoniła oczy, gdy wycofywałam się na ulicę.

Dla niej wszystko było proste. Byłyśmy jak bliźniaczki w kwestiach związanych z chłopakami, a teraz wytraciłam ją z równowagi i nie mogła nic zrozumieć.

Wiedziałam, jak się czuła –

od spotkania z Dexterem też miałam z tym kłopoty.

Kolaż wisiał nad sofą w kuchni żółtego domu. Zaczęło się niewinnie, od paru fotek. Założyłam, że to znajomi chłopaków, jednak gdy przyjrzałam się uważniej, uświadomiłam sobie, że to fotografie klientów Flash Camera.

Dexter i Lucas obsługiwali tam maszynę fotograficzną – co oznaczało, że siedzieli na stołkach i oglądali przez otwór zdjęcia, oznaczając je i poprawiając kolor oraz jasność. To nie była skomplikowana praca, jednak wymagała minimalnych zdolności manualnych, wprawnego oka, a przede wszystkim skupienia.

Innymi słowy, Dexter się do tego nie nadawał. Po tym, jak zrujnował cały zestaw fotek z niepowtarzalnych wakacji na Hawajach i zniszczył dwadzieścia jednorazowych aparatów z fotografiami ze ślubów, właścicielka zakładu zdecydowała, że ze względu na łatwość nawiązywania kontaktów lepiej się sprawdzi za ladą. A ponieważ był czarujący, postanowiła pozostawić mu pensję technika – ku niezadowoleniu Lucasa zresztą.

– Moja praca wymaga większej odpowiedzialności – jęczał

Lucas przy każdej wypłacie. – Ty musisz znać tylko podstawy matematyki i alfabet.

– Tak, ale za to naprawdę rewelacyjnie porządkuję nazwiska w kolejności alfabetycznej – podkreślał Dexter z dumą.

To nie była prawda. Nieustannie gubił zdjęcia, głównie dlatego, że się rozpraszał i wkładał nazwiska na R między nazwiska na B, a czasami porządkował koperty według imion.

Gdybym to ja go zatrudniła, mogłabym mu zlecić co najwyżej ostrzenie ołówków, i to pod nadzorem.

Ted pracował w Mayor's Market, więc mógł dostarczać nieco poobijane, ale jadalne produkty żywnościowe, a John Miller był

nieustannie podkreślony wypijaną w Jump Java kawą. Z kolei Dexter i Lucas nie mieli szczególnych dodatkowych korzyści z pracy, ale to się zmieniło, gdy zaczęli robić odbitki zdjęć, które ich zaintrygowały.

Jak to faceci, początkowo wzięli na warsztat nieprzyzwoite zdjęcia, choć nie pornograficzne. Pierwsze przedstawiało kobietę w staniku i w majtkach, przed kominkiem. Nie była zbyt piękna, a do tego w tle stał wielki worek żwirku dla kotów, który psuł zamierzony efekt.

Mijały tygodnie, a zdjęć przybywało. Głównie były to fotki z wakacji, takie jak ta, na której rodzina pozowała przed pomnikiem Waszyngtona. Wszyscy się uśmiechali poza wykrzywioną ponuro córką z wystawionym środkowym palcem. Trafiło się też parę aktów, a także fotka bardzo grubego mężczyzny w czarnych majtkach, na skórze lamparta. Ci ludzie nie mieli pojęcia, że ich zdjęcia wiszą w charakterze dzieł sztuki na ścianie w żółtym domu przy Merchant Drive.

W dniu, w którym wykapałam Małpiszona, przywiozłyśmy go około szóstej, więc Dexter był już w domu, siedział przed telewizorem w salonie i jadł mandarynki. Pewnie były na wyprzedaży w Mayor's Market, a Ted miał jeszcze dodatkową zniżkę na zakupy, więc przynosił skrzynki mandarynek.

– Patrz – powiedziałam i wpuściłam Małpiszona do środka.

Natychmiast podbiegł do Dextera, z zapalem merdając.

– O rany, stary. – Dexter podrapał go za uszami. – Inaczej pachnie, jakbyś wykapała go w pomarańczach.

– To szampon – oznajmiła Chloe i opadła na plastikowe krzesło przy stoliku. – Przystanie tak śmierdzieć za jakiś tydzień.

Dexter popatrzył na mnie, więc pokręciłam głową. Małpiszon pognął do kuchni i rzucił się do miski z wodą.

– Metamorfozy budzą pragnienie – mruknął Dexter.

Drzwi się otworzyły i do domu wszedł John Miller.

– Mamnowiny – oświadczył, stając na środku pokoju.

Popatrzyliśmy na niego, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo przyszedł Ted, nadal w zielonym fartuchu z Mayor's Market, i przydźwigał dwie skrzynki mandarynek.

– O Boże – jęknął Dexter. – Proszę, dość tego.

– Mam wieści – oznajmił Ted. – Bardzo ważne. Gdzie

Lucas?

– W pracy – odparł Dexter.

– Ja też mamnowiny – odezwał się John Miller do Teda. – A byłem tu pierwszy, więc...

– Ale to bardzo ważne – przerwał mu Ted. – Więc...

– Chwileczkę! – John Miller pokręcił głową, jak zwykle oburzony. – Dlaczego zawsze to robisz? Moje informacje też mogą być bardzo ważne.

Zapadła cisza. Ted i Dexter popatrzyli na siebie sceptycznie, co nie umknęło Johnowi Millerowi, który głośno westchnął.

– Może zastanówmy się nad tym, że od dawna nie mieliśmy żadnych ważnych informacji, a teraz docierają do nas aż dwie jednocześnie – zaproponował Dexter.

– Chodzi o to, że spotkałem dziewczynę od AiR z Rubber Records, która dziś wieczorem przyjedzie nas posłuchać – obwieścił Ted głośno.

Zapadła cisza, zakłócona jedynie przez Małpizona, który wrócił do salonu.

– Czy ktoś czuje zapach pomarańczy? – Ted pociągnął nosem.

– To było bardzo niesprawiedliwe – burknął John Miller ponuro.

– AiR? – powtórzyła Chloe. – Co to takiego?

– Artyści i Repertuar – wyjaśnił Ted, ściągając fartuch. – To znaczy, że jeśli jej się spodoba, może zaproponuje nam umowę.

– Ja też miałem bardzo ważną informację – wymamrotał John Miller, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Czy to poważne? – spytał Dexter Teda. – Powiedziała to od niechcenia, czy na serio?

– Dała mi wizytówkę. – Ted sięgnął do kieszeni. – Dzisiaj jest zajęta, ale kiedy powiedziałem, że zaczynamy drugą część występu o wpół do jedenastej, oznajmiła, że zdąży

Dexter zsunął mnie z kolan i wstał, a Ted wręczył mi kartonik.

– Znajdź Lucasa – zdecydował Dexter. – Musimy pogadać.

– To wcale nie musi wypalić – burknął nadąsany John Miller.

– I pewnie nie wypali – przyznał Ted. – Ale może jej się spodoba, załatwi nam przesłuchanie i jeszcze przed końcem lata trafimy do większego miasta, na większą scenę. Tak jak

Spinnerbait.

– Nienawidzę ich – oświadczył John Miller i wszyscy trzej pokiwali głowami.

– Tyle że oni podpisali umowę i wydali płytę – dodał Dexter.



– Spinnerbait? – zapytałam.

– W tym samym czasie co my grali w barach nieopodał Williamsburga – wyjaśnił Dexter. – Kompletnie dupki z college’u, ale mieli naprawdę dobrego gitarzystę...

– Wcale nie był taki dobry – oburzył się Ted. – Gość jest przereklamowany.

– ...i całkiem przyzwoity materiał własny. W zeszłym roku podpisali umowę. – Dexter wbił wzrok w sufit. – Nienawidzimy Spinnerbait.

– Nienawidzimy – przytaknęła John Miller, a Ted pokiwał głową.

– Dobra, trzeba znaleźć Lucasa. – Dexter klasnęła w dłonie. – Pilne zebranie zespołu!

– Zebranie! – wrzasnął Ted, jakby nieobecny Lucas mógł go usłyszeć. – Doprowadzę się do porządku i widzimy się w kuchni za dwadzieścia minut.

Dexter chwycił telefon, wystukał kilka cyfr i wyszedł z pokoju, prosząc Lucasa do aparatu.

– Zgadnij, co przyniósł z roboty Ted? – spytał za drzwiami. – Tak, ale oprócz mandarynek przyniósł nowiny...

John Miller usiadł na sofie, założył nogę na nogę i odchylił głowę. Chloe uniosła brwi i zapaliła papierosa.

– No dobra – powiedziałam w końcu. – Mów, jakie są te twoje nowiny.

– Nie, rozczarujesz się – wymamrotał.

Nadal przypominał mi małe dziecko, rude i piegowane, takie jakie można czasem zobaczyć w telewizji, w reklamie masła orzechowego.

– Jak sobie chcesz. – Podniosłam pilot i włączyłam telewizor.

– Chciałam powiedzieć, że zgodziła się przyjść dziś do Bendo.

– Naprawdę?

– Tak. W końcu. A prosiłam ją od tygodni. – Podrapał się za uchem – I to bardzo ważne, bo myślałam, że już mi się nie uda.

– John Miller kocha się w swojej szefowej – powiedziałam do Chloe. Odetchnęła głęboko.

– W Jump Java?

– Tak naprawdę nie jest moją szefową – sprostował John Miller. – Raczej współpracownicą. Przyjaciółką.

– Chodzi o Scarlett Thomas? – upewniła się Chloe.  
Skinęłam głową, a John Miller szeroko otworzył oczy.

– Znasz ją? – zdumiał się.

– Chyba tak. – Chloe wzruszyła ramionami. – Ale Remy  
lepiej. Scarlett kiedyś chodziła z Chrisem

Przełknęłam ślinę i skupiłam się na przelatywaniu po  
kanałach. Wiedziałyśmy o zauroczeniu Johna Millera Scarlett.

Zaczęło się od zainteresowania, by w końcu osiągnąć etap absurdalnie  
romantycznej fascynacji. Scarlett była menedżerką w Jump Java i zatrudniła Johna  
Millera wyłącznie ze względu na Lolę, której była winna przysługę za cięcie i  
farbowanie. W

milczeniu słuchałam, jak John Miller wychwala Scarlett pod niebiosa – wolałam  
nie wyjawiać, że znam ją nie tylko przelotnie.

Teraz czułam, że John Miller na mnie patrzy, choć udawałam zainteresowanie  
wiadomościami o problemach strukturalnych związanych z nową tamą w okręgu.

– Remy? – odezwał się w końcu. – Znasz Scarlett?

– Mój brat z nią chodził – odparłam od niechcenia. – Milion lat temu.

Zabrał mi pilot i wyłączył dźwięk.

– Opowiadaj.

Popatrzyłam na niego.

– To znaczy, możesz mi coś powiedzieć? – poprawił się  
natychmiast.

Chloe roześmiała się głośno, a ja wzruszyłam ramionami.

– Mój brat chodził z nią pod koniec ostatniej klasy –

odparłam. – To nie było nic poważnego. Chris wtedy ćpał, a Scarlett była zbyt  
inteligentna, żeby to znosić. Poza tym miała już Grace.

John Miller skinął głową. Grace była córką Scarlett, obecnie trzyletnią. Scarlett  
urodziła ją w pierwszej klasie, powodując niewielki lokalny skandal. Została w  
szkole, egzaminy zaliczyła podczas letniej sesji, a teraz studiowała zaocznie na  
uniwersytecie, jednocześnie kierując Jump Javą i znosząc tęskne spojrzenia  
zakochanego Johna Millera, posyłane nad muffinkami przez dwadzieścia godzin w  
tygodniu.

– Czy Scarlett nie jest trochę poza twoją ligą? – zapytała Chloe bez złośliwości.

– Przecież ma dziecko.

– Fantastycznie radzę sobie z dziećmi – burknął poirytowany John Miller. –

Grace mnie kocha.

– Grace kocha wszystkich – powiedziałam.

Tak jak Małpizson, dodałam w myślach.

– Nieprawda – zaprzeczył. – Mnie uwielbia w szczególności.

Dexter zajął do pokoju i wycelował palec w Johna Millera.

– Zebranie zespołu! – oznajmił.

– Zebranie – powtórzył John Miller. Zerwał się z miejsca i na mnie popatrzył. –

Przydałaby mi się pomoc Remy. Może jakieś dobre słowo?

– Nic nie obiecuję – odparłam – Ale zobaczę, co da się zrobić.

Chyba poweselał, gdy to usłyszał, i energicznie poszedł do kuchni. Wstałam i wyjęłam kluczyki z torebki.

– Jedziemy – powiedziałam do Chloe. – Nic tu po nas.

Wsunęła papierosy do kieszeni i ruszyła do frontowych drzwi.

– Zadzwońię do Lissy z samochodu. Zobaczymy, czy spotka się z nami w

Punkcie.

– Okej.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Dexter podszedł do mnie.

– To ważne – powiedział z uśmiechem – A może nie. Może to będzie koszarne rozczarowanie.

– Rozsądne podejście.

– Albo... – przejechał rękami przez włosy, jak zawsze, kiedy ledwie nad sobą panował – ...to początek czegoś wielkiego.

Wiesz, kiedy Spinnerbait spotkał się z wytwórnią, natychmiast trafił do większych klubów. Moglibyśmy grać w Richmond albo nawet w Waszyngtonie, kto wie.

Uśmiechał się, więc i ja zmusiłam się do uśmiechu.

Oczywiście to były dobre wieści. Przecież sama chciałam czegoś przejściowego.

Tak naprawdę nie mogło ułożyć się lepiej. Dexter dostanie swoją wielką szansę i odjedzie brudną białą furgonetką w stronę zachodu słońca, a ja będę opowiadać historię o

zwariowanym muzyku, z którym spędziłam ostatnie dni lata przed studiami. Na tej samej zasadzie Scarlett Thomas była teraz zaledwie wspomnieniem w życiu Chrisa. „Śpiewali głupie piosenki o ziemniakach”, powiem „Opus”.

Tak. Tak było najlepiej.

Dexter pocałował mnie w czoło.

– Wszystko w porządku? – Popatrzył na mnie uważnie. –

Dziwnie wyglądasz.

– Dzięki – mruknęłam – Jezu.

– Nie, nie. Po prostu...

– Zebranie! – wrzasnął Ted z kuchni. – Zaczynamy!

Dexter zerknął na drzwi i na mnie.

– Idź. – Popchnęłam go lekko. – Masz zebranie.

Uśmiechnąłem się i przez sekundę miałam ochotę przyciągnąć go do siebie, on jednak już szedł tyłem do kuchni.

– Zobaczymy się w Bendo koło dziewiątej, prawda? – zapytał.

Skinęłam głową, obojętnie jak zawsze, a Dexter zniknął za rogiem. Patrzyłam, jak odchodzi. To było dziwne uczucie i doszłam do wniosku, że wcale mi się nie podoba. Ani trochę.

O wpół do jedenastej miała się rozpocząć druga część występu Truth Squad, a dziewczyna od AiR nadal się nie pojawiła.

Bywalcy lokalu powoli tracili cierpliwość.

– Zapomnijmy o niej. – Lucas wypluł kostkę lodu do kubka z piwem imbirowym. – Przez to zdenerwowanie i tak gramy jak potłuczeni. Ted fałszował przez całą pierwszą część.

Ted spiorunował go wzrokiem.

– Tylko dla mnie ma tutaj przyjść, więc się odpieprz – warknął.

– Dosyć. – Dexter szarpnął za kołnierzyk, tak jak przez cały wieczór. – Musimy tam wejść i zagrać najlepiej, jak umiemy. Dużo od tego zależy.

– Jasne, zero presji – wymamrotał Lucas.

– Gdzie, do cholery, jest John Miller? – Ted odepchnął się od stołu i rozejrzał. – Czy to nie jest zebranie zespołu?

– Ale niezapowiedziane – przypomniał mu Dexter. – Poza tym jest tam, z tą... szefową od kawy.

Popatrzyliśmy wszyscy jednocześnie. Rzeczywiście, w boksie przy scenie John Miller siedział razem ze Scarlett. Był ożywiony i wymachiwał rękami, a Scarlett piła piwo, z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Co jakiś czas rozglądała się po

pomieszczeniu, jakby sądziła, że to będzie większe spotkanie, i zastanawiała się, gdzie są pozostali.

– Żałosne – mruknął Ted. – Olewa nas i przyszłość grupy dla dziewczyny. Zupełnie jak z Yoko Ono.

– Daj mu spokój – powiedział Dexter. – Powinniśmy chyba zacząć od *Pieśni ziemniaka dwa*, potem zagrać wersję z kumkwatem, a dalej...

Wyłączyłam się i zaczęłam obrysowywać palcem mokre kółko spod szklanki piwa. Z lewej strony widziałam Chloe, Lissę i Jess, pogrążone w rozmowie z grupką facetów przy barze.

Wcześniej w Punkcie Chloe doszła do wniosku, że muszą wrócić do gry i poużywać sobie przed końcem lata. Niewątpliwie poczyniła postępy, gdyż siedziała na stołku barowym obok blondyna, który wyglądał jak surfer. Lissa rozmawiała z dwoma facetami: jeden z nich, naprawdę przystojny, rozglądał się jakby w poszukiwaniu lepszego towaru (zły znak), a drugi, niezbyt przystojny, ale do przyjęcia, wydawał się zainteresowany i chyba nie do końca obrażony, że ma atrakcyjniejszego kolegę (dobry znak). Jess z kolei utkwiała przy niskimi chudym facecie, który gadał z takim ożywieniem, że wciąż się odchylała. Najwyraźniej miał soczystą wymowę.

– ...nie będziemy grać coverów. To wniosek z poprzedniego zebrania – powiedział Dexter.

– Mówię tylko, że jeśli pieśni ziemniaka nie pójdą najlepiej, musimy mieć plan B – zaprotestował Lucas. – A jeśli ona nie cierpi ziemniaków? Jeśli uzna, że to są infantylnie, studenckie wygląpy?

Na moment zapadła pełna zdumienia cisza.

– Tak właśnie myślisz? – spytał w końcu Ted.

– Nie – odparł w końcu Lucas, zerkając na Dextera, który teraz z całej siły szarpał kołnierzyk. – Chodzi o to, że nie chcemy wyjść na wtórniaków.

– A granie coverów nie jest wtórne? – burknął Dexter.

– Covery przyciągają publikę i prezentują nasze możliwości

– upierał się Lucas. – Posłuchaj, grałem w wielu zespołach...

– O Boże. – Ted uniósł ręce w dramatycznym geście. –

Zaczyna się. Oświeć nas, mędrco.

– ...i wiemz doświadczenia, że przedstawiciele wytwórni

lubią dobrze dobrany repertuar, który rozkręca widownię i pokazuje potencjał zespołu. Czyli powinniśmy zagrać mix naszych utworów i coverów w naszym

brzmieniu. Przecież nie gramy *I've Got You Babe* jak Sonny i Cher. Dodajemy tej piosence kopa!

– Nie zagramy dzisiaj Sonny'ego i Cher! – wykrzyknął Ted.

– Za nic, stary. Nie będę chałturzył dla tej laski. G Flats jest na wesela. Zapomnij.

– To był tylko przykład – powiedział Lucas głucho. –

Możemy zagrać coś innego. Spokojnie, dobra?

– Hej! – wrzasnął zza baru Robert, właściciel Bendo. –

Macie zamiar dzisiaj popracować?

– Idziemy. – Ted dopił piwo i wstał.

– Czy w ogóle coś postanowiliśmy? – spytał Lucas, ale Ted go zignorował.

Dexter westchnął i przejechał palcami przez włosy. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby był aż tak podenerwowany.

– Boże – mruknął cicho. – To takie cholernie stresujące.

– Przestań o tym myśleć – poradziłam mu. – Idź i graj tak jak zawsze. Myślenie o tym wytrąca cię z równowagi.

– Graliśmy do dupy, co?

– Nie – zaprzeczyłam i nie do końca było to kłamstwo.

Tyle tylko, że Ted faktycznie fałszował, John Miller

koszmarnie się popisывał – wyrzucał pałeczki w powietrze, a potem nie mógł ich złapać – a Dexter pomylił słowa *Pieśni ziemniaka trzy*, które znał doskonale.

– Brakowało wam pewności siebie – dodałam. – A przecież graliście te kawałki milion razy.

– Milion – potwierdził.

– To tak jak z jazdą na rowerze – powiedziałam – Jeśli za dużo się o tym myśli, człowiek uświadamia sobie, jakie to skomplikowane. A przecież wystarczy wskoczyć na siodełko i jechać, nie przejmując się mechaniką.

– Masz rację. – Pocałował mnie w policzek. – Dlaczego zawsze masz rację?

– To przekleństwo. – Wzruszyłam ramionami.

Ścisnął moją nogę i wyśliznął się z boksu, wciąż szarpiąc za kołnierzyk.

Zauważyłam, że po drodze pacnął w głowę Johna Millera, który wciąż gadał ze Scarlett. Ted wziął gitarę i zagrał

kilka akordów, po czym on, Lucas i Dexter wymienili spojrzenia i pokiwali głowami.

Pierwszą piosenkę wykonali trochę niepewnie, ale potem

szło lepiej. Widziałam, że Dexter się odprężył, a kiedy całkiem nieźle grali trzeci utwór, dostrzegłam dziewczynę od AiR.

Natychmiast ją rozpoznałam. Po pierwsze, była trochę za stara na Bendo, gdzie przychodzili głównie studenci i młodzi ludzie. Po drugie, ubrała się trochę zbyt modnie jak na małe miasteczko: miała czarne spodnie, jedwabną koszulę i małe okulary, a do tego długie włosy związane luźno na karku. Gdy podeszła do baru po drinka, wszyscy faceci flirtujący z moimi koleżankami umilkli i zapatrzyli się na nią. Pod koniec piosenki tłum na parkiecie zgęstniał. Widziałam, że Ted dostrzegł tę babkę i powiedział coś cicho do Dextera.

Wkrótce oklaski umilkły, a Dexter szarpnął się za kołnierzyk.

– A teraz zagramy wam utwór *Pieśń ziemiaka* – oznajmił.

Publiczność zawyla radośnie. Zespół grał w Bendo na tyle długo, że *Pieśń ziemiaka* była dobrze znana we wszystkich swoich wariantach.

Nie odrywałam wzroku od dziewczyny przy barze. Słuchała, popijając piwo, i uśmiechnęła się przy zwrotce o wegańskiej księżniczce, a potem raz jeszcze, gdy tłum zaczął śpiewać o słodkim ziemiaku. Na koniec publiczność zgotowała grupie gorące owacje, nie kierując się uprzejmością, lecz entuzjazmem.

To był dobry znak.

Pewniejsi siebie, muzycy zaprezentowali inną *Pieśń ziemiaka*, której publiczność nie знаła tak dobrze. Robili, co mogli, ale w pewnym momencie John Miller coś pochrzaniał i zgubił rytm. Dexter znów szarpał się za kołnierzyk, a Ted patrzył

wszędzie, tylko nie w stronę baru. Potem zegrali inną własną piosenkę, nie o ziemiakach, ale też nie brzmiała dobrze, więc przerwali po dwóch zwrotkach.

Dziewczyna od AiR wydawała się znudzona, rozglądała się po klubie i patrzyła na zegarek. Bardzo zły znak. Ted powiedział

coś do Dextera, a on wzruszył ramionami. John Miller nabił rytmu po chwili kapela zagrała stary kawałek Thin Lizzy. Tłum znów wiwatował, a po pierwszej zwrotce dziewczyna od AiR zamówiła jeszcze jedno piwo.

Gdy piosenka się skończyła, Ted znów szepnął coś

Dexterowi, który się zawahał i pokręcił głową. Zgódź się, pomyślałam. Drugi cover wam nie zaszkodzi.

Dexter spojrział na Lucasa, a on przytaknął i rozległy się pierwsze akordy. Brzmiały znajomo, jakbym kojarzyła je z innego wcielenia. Przez chwilę słuchałam i nagle uświadomiłam sobie, co to takiego.

– „Moja kołysanka to ledwie kilka słów” – zaśpiewał Dexter.

O mój Boże, pomyślałam

– „I parę prostych akordów...”

W ich wykonaniu brzmiała bardziej retro niż oryginał i

wydawała się lekko autoironiczna, jakby nabijała się z własnej powagi. Ścisnęło mnie w żołądku. Znał moje uczucia, a jednak śpiewał.

– „Tu, w gościnnym pokoju jest cicho, ale ty ją słyszysz dobrze...”

Thum był zachwycony i wiwatował. Dziewczyny z tyłu śpiewały razem z Dexterem, trzymając dłonie na sercach.

Zerknęłam na bar i przekonałam się, że Chloe patrzy prosto na mnie, być może z litością. Odwróciłam głowę, zanim zdążyłam się upewnić. Parę taboretów dalej dziewczyna od AiR kołysała się z uśmiechem. Była zachwycona.

Wyszłam z boksu. Ludzie na widowni śpiewali piosenkę

znaną sobie od zawsze, ale dla nich to był stary przebój, zapewne z czasów ich rodziców, grany na bar micwach i weselach.

Najwyraźniej podobał się także teraz.

Poszłam do łazienki, gdzie przynajmniej raz nie było kolejki, i zamknęłam się w kabinie. Tam usiadłam, wsunęłam palce we włosy i powtarzałam sobie, że muszę się uspokoić. Przecież nic się nie stało, to była tylko muzyka. Nawet tutaj słyszałam znane od dzieciństwa dźwięki, ale brzmiały inaczej. Piosenkę śpiewał inny mężczyzna, prawie mi nieznanym, który najwyraźniej rościł sobie do mnie prawa.

Matka zawsze powtarzała, że to dar ojca dla mnie, i z

rozmarzoną miną odgarniała mi włosy z czoła. Zdążyła wymazać z pamięci złe chwile. Od innych dowiedziałam się, że byli biedni jak myszy kościelne i że ojciec właściwie nie spędzał czasu z małutkim Chrisem. W beznadziejnej próbie ratowania związku wzięli ślub. Nieważny, jak się potem okazało.

To ci dopiero dar.

Wybrzmiała ostatnia nuta, a potem gruchnęły oklaski. Było po wszystkim.

Wyszłam z łazienki i ruszyłam do baru, przy którym siedziała wyraźnie znudzona Chloe. Truth Squad grał w stylu Led Zeppelin, z ostrymi riffami i mnóstwem okrzyków, co wskazywało na końcówkę występu. Facet, z którym gadała Chloe, zniknął, a Lissa dalej nawijała z tym do przyjęcia. Założyłam, że Jess wykorzystała jedną ze swoich typowych wymówek i albo „poszła zadzwonić”, albo „wyjmowała coś z samochodu”.

– Co się stało z surferem? – spytałam Chloe.



– Ma dziewczynę. – Wskazała boks po lewej, gdzie facet całował jakąś rudą z przekłutą brwią.

Skinęłam głową i przyglądałam się, jak Ted żywiłowo gra na gitarze, a czerwony jak burak John Miller szaleje przy perkusji.

Zastanawiałam się, czy Scarlett jest pod wrażeniem, ale nie siedziała już w boksie, więc nie mogłam być pewna.

– Interesujący dobór utworów, nie sądzisz? – spytała Chloe. –

Wydaje mi się, że w szczególności jeden z nich obił mi się o uszy.

W milczeniu patrzyłam, jak John Miller bohatersko zмага się z bębnami.

– Powinien wiedzieć, że nienawidzisz tej piosenki – ciągnęła Chloe. – Przecież to aksjomat.

– Chloe, zamknij się, dobrze? – poprosiłam cicho.

Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym zamieszała drinka.

Dziewczyna od AiR dwa stołki dalej zapisywała coś ołówkiem pożyczonym od barmana, który przyglądał się jej z wielkim zainteresowaniem. Klienci przy barze na próżno usiłowali zamówić piwo.

– Jesteśmy Truth Squad i gramy tu co wtorek! – krzyknął

Dexter. – Dziękujemy i dobranoc!

Z głośników popłynęła knajpiana muzyka i wszyscy ruszyli do baru. Dexter zeskoczył ze sceny, zamienił parę słów z Tedem, po czym obaj skierowali się ku nam, a Lucas podążył za nimi. John Miller zmierzał prosto ku Scarlett przy drzwiach.

Dziewczyna od AiR wyciągnęła rękę do Dextera.

– Arianna Moss – powiedziała. – Świetny występ.

– Dzięki – odparł.

Uśmiechała się do niego, a ja powiodłam spojrzeniem po sali, zastanawiając się, gdzie jest Jess.

– Okropna akustyka – odezwał się Ted. – Brzmiałoby to o wiele lepiej, gdybyśmy mieli przyzwoity sprzęt. Poza tym publika jest do draki.

Dexter popatrzył na niego ciężkim wzrokiem, jakby chciał go uciszyć.

– Chętnie dowiedzielibyśmy się, co myślisz – powiedział do dziewczyny. – Dasz się zaprosić na piwo?

– Pewnie. – Zerknęła na zegarek. – Tylko gdzieś zadzwonię.

Odeszła, wyciągając komórkę z kieszeni. Dexter pomachał

do mnie i wyszeptał, że zaraz przyjdzie. Wzruszyłam ramionami, więc chciał podejść, ale Ted go zatrzymał.

– Co ty robisz? – warknął. – Ma porozmawiać z nami  
wszystkimi, nie tylko z tobą.

– On chce tylko usłyszeć, co ona myśli – odezwał się Lucas.

– Uspokój się.

– Chce jej kupić piwo! – bulwersował się Ted.

– To się nazywa piar – poinformował go Dexter.

Arianna Moss już wracała.

– O co chodziło z tą piosenką? – Ted pokręcił głową z  
niedowierzaniem – Sonny i Cher byliby lepsi. Wszystko byłoby lepsze. Równie  
dobrze mogliśmy zagrać kawałki do kotleta.

– Spodobało się jej. – Dexter usiłował złapać moje  
spojrzenie, ale celowo stanęłam za krępy męczyzną w czapce baseballowej.

– Fakt – przytaknął Lucas. – Poza tym dzięki temu

wyrzebaliśmy się z bagna, w które wpakowała nas *Pieśń ziemniaka*.

– *Pieśń ziemniaka* poszła dobrze – burknął Ted. – Gdyby John Miller raczył  
dotrzeć na ostatnią próbę...

– To zawsze wina kogoś innego, co? – warknął Lucas.

– Zamknijcie się – wymamrotał Dexter.

– Gotów do rozmowy? – zwróciła się Arianna Moss do  
Dextera.

Zauważyłam to, podobnie jak Ted, ale naturalnie tylko jego to zdenerwowało.

– Pewnie – odparł Dexter. – Możemy tam?

– Naturalnie.

Odeszli, a ja znów odwróciłam głowę, pokazując barmanowi, żeby nalał mi piwo.  
Gdy zapłaciłam, siedzieli już w boksie przy drzwiach: Arianna i Dexter po jednej  
stronie, Lucas i Ted po drugiej. Arianna mówiła, a wszyscy słuchali.

Nagle obok mnie pojawiła się Jess.

– Pora się zbierać? – spytała.

– Gdzieś ty była? – zwróciła się do niej Chloe.

– Musiałam iść po coś do samochodu – odparła Jess głucho.

– Remy, tu jesteś. – John Miller podszedł do mnie. –

Widziałas może Scarlett?

– Ostatnio była przy drzwiach.

Rozejrzał się i uniósł rękę na jej widok.

– Scarlett! Tutaj! – zawołał.

Uśmiech Scarlett odpowiedział mi, że miałam rację: naprawdę usiłowała ukradkiem się wymknąć. Ponieważ jednak John Miller nadal do niej machał, nie miała wyboru, musiała do nas podejść.

– Byliście świetni – oznajmiła, a on się rozpromienił. –

Naprawdę rewelacyjni.

– Zwykle gramy lepiej, ale Ted sobie nie radził – odparł. –

Spóźnił się na ostatnią próbę i nie znał nowych układów.

Scarlett skinęła głową i rozejrzała się wokół. Tłum przy barze gęstniał.

Lucas zaszedł Johna Millera od tyłu i zdołał trzepnąć go w tył głowy, choć niósł dwa piwa.

– Gdybyś znalazł wolną minutę, to wiedz, że rozmawiamy z tą kobietą od AiR – obwieścił. – Może załatwi nam występ w Waszyngtonie, jeśli cię to w ogóle obchodzi.

– W Waszyngtonie? – John Miller roztarł potylicę.

– Na tej dużej scenie, wiesz, na której widzieliśmy

Spinnerbait. – Lucas się skrzywił. – Nienawidzimy Spinnerbait.

– Nienawidzimy Spinnerbait – powtórzył John Miller i zabrał mu jedno piwo. – To taka kapela – zwrócił się do Scarlett.

– Uhm – mruknęła.

– Chodź, babka musi pogadać z nami wszystkimi – pośpieszył go Lucas.

– Zaraz wracam – John Miller uściśnął ramię Scarlett. – To takie zawodowe sprawy. Decyzje i w ogóle.

– No tak – odparła Scarlett, a John Miller poszedł za Lucasem do boksu.

– Biedactwo – powiedziała Chloe do Scarlett. – On ma obsesję.

– Jest bardzo miły – zauważyła Scarlett.

– Jest żalosny. – Chloe zeskoczyła ze stołka. – Idę do łazienki. A ty?

Pokręciłam głową. Chloe przesunęła paru facetów na bok i zniknęła w tłumie. Co jakiś czas udawało mi się dostrzec Dextera, który wyglądał tak, jakby coś tłumaczył Ariannie Moss, ona zaś kiwała głową, popijając piwo. Ted i Lucas rozmawiali, John Miller wydawał się całkowicie rozkojarzony. Co kilka sekund zerkał w naszą stronę, żeby sprawdzić, czy Scarlett nie uciekła.

– John Miller jest bardzo miły. – Czuję się w obowiązku to powiedzieć, bo na mnie patrzył.

– To prawda – przytaknęła Scarlett. – Ale dla mnie trochę za młody. Nie wiem, czy nadaje się na ojca.

Miałam ochotę powiedzieć jej, że moim zdaniem to nie jest najważniejsze, ale postanowiłam trzymać język za zębami.

– Od dawna chodzisz z Dexterem? – zapytała.

– Niezbyt. – Spojrzałam na boks.

Dexter wymachiwał rękami, a Arianna śmiała się, zapalając papierosa. Można było pomyśleć, że są na randce.

– Wydaje się świetny, słodki i zabawny – zauważyła Scarlett.

– Bo właśnie taki jest. – Skinęłam głową.

Nagle obok nas stanął Ted, który właśnie zdołał się przepchnąć przez tłumek ubranych w obcisłe podkoszulki tęgich dziewczyn, które zapewne szalały tu na wieczorne panieńskim.

– Dwa piwa! – wrzasnął do barmana, a potem zamarł, gotując się ze złości.

– Jak idzie? – zapytałam.

– Dobrze. – Popatrzył wilkiem na boks. – Dexter za godzinę wskoczy jej do majtek. Nie, żeby to pomogło zespołowi.

Scarlett spojrzała na mnie i uniosła brwi.

– Coś podobnego – mruknęłam.

– No cóż. – Wzruszył ramionami, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że nie powinien był mówić tego akurat do mnie.

Mimo to najwyraźniej nie zamierzał się zamknąć. – Taki po prostu jest. Zadaje się z dziewczyną, wszystko kończy się źle i nagle tracimy występ, dach nad głową albo sto dolców na żarcie. Zawsze to samo.

Poczułam się okropnie głupio i byłam pewna, że to po mnie widać. Chwyciłam drinka Chloe, z którego został praktycznie samłód, i pociągnęłam łyk, byle tylko się czymś zająć.

– Chodzi o to, że jeśli mamy pracować jako grupa, musimy myśleć grupowo – warknął i wziął zamówione piwa. – I tyle.

Po tych słowach zniknął, przepychając się wśród dziewczyn za nami tak mocno, że poleciały za nim przekleństwa. Ja tkwiłam obok Scarlett.

– No cóż, na pewno nie mówił poważnie – odezwała się

niepewnie.

Złościło mnie, że się nade mną lituje. To było jeszcze gorsze niż uzalanie się nad sobą. Odwróciłam się plecami do boksu.

Miałam gdzieś, co tam się dzieje.

– Wszystko mi jedno – oznajmiłam – Przecież wiem, na co się pisałam.

– Poważnie?

Wzięłam do ręki słomkę i zaczęłam ją obracać.

– Tak między nami, dlatego go wybrałam – oświadczyłam –

Jesienią wyjeżdżam na studia i nie mogę się angażować. Dlatego teraz jest idealnie. Wiadomo, kiedy sprawa się skończy, i nie ma komplikacji.

– Jasne.

– Wszystkie związki powinny być takie proste, nie sądzisz?

Znajdujemy fajnego chłopaka w czerwcu, bawimy się do sierpnia i spokojnie wyjeżdżamy we wrześniu.

To musiała być prawda, bo powiedziałam te słowa bez najmniejszych problemów. Przecież to samo mówiłam Jonathanie i o innych sezonowych chłopakach.

Skinęła głową, ale bez przekonania. Cóż, miała dziecko, a sytuacja pewnie się zmieniała, gdy w grę wchodziły inne osoby.

Naturalnie w normalnych rodzinach.

– Tak – dodałam – To tylko chłopak na lato. Bez zobowiązań i bez problemów. Tak jak lubię. Przecież Dexter nie nadaje się na męża. Nawet nie umie zawiązać sznurowadeł.

Roześmiałam się. To było takie prawdziwe. Co ja sobie myślałam?

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu, które nie było kłopotliwe, ale przyjemne również nie. Scarlett zerknęła na zegarek, a potem na tłum, i zrobiła zdumioną minę. John Miller zapewne machał do niej, że już kończy.

– Muszę już iść, opiekunka do dziecka mnie zabije – powiedziała. – Możesz przekazać Johnowi Millerowi, że zobaczymy się jutro?

– Jasne – zapewniłam ją.

– Dziękuję, Remy. Trzymaj się.

– Ty też.

Powiodłam za nią wzrokiem, kiedy szła do drzwi, i

pomyślałam, że ją wystraszyłam. Wróciła groźna, zła Remy, zimna suka.

– Chyba już naprawdę pora jechać – oznajmiła Jess, podchodząc do mnie.

– Jestemza – dodała Chloe. – Nic tu po nas.

– Lissa jakoś sobie radzi – poinformowała ją Jess.

Chloe pochyliła się i zerknęła na bar.

– To ten sam facet, który się do niej odezwał, kiedy tu przyszła, więc faktycznie powinniśmy się zbierać, zanim się zaręczą. Lissa!

Lissa podskoczyła.

– Tak?

– Jedziemy! – Chloe zeskoczyła z taboretu i pociągnęła mnie za sobą. – Na pewno znajdziemy coś ciekawszego do roboty.

– Chwila, rozmawiam z kimś – zaoponowała Lissa.

– Ten gość jest poniżej średniej – oświadczyła Chloe, patrząc na niego.

Biedaczysko, pomachał i uśmiechnął się. – Stać cię na więcej.

– Ale jest miły – oznajmiła Lissa. – Rozmawiałam z nim przez cały wieczór.

– Właśnie – przytaknęła Jess. – Potrzebujesz rozmaitych facetów, nie jednego.

Prawda, Remy?

– Prawda – odparłam – Idziemy.

Byłyśmy już prawie przy drzwiach, gdy zobaczyłam

Jonathana. Stał obok szafy grającej i rozmawiał z ochroniarzem.

Od zerwania zauważyłam go parę razy, ale teraz po raz pierwszy oficjalnie go mijalam, więc zwolniłam.

– Cześć, Remy – powiedział i w typowy dla siebie sposób wyciągnął rękę, żeby musnąć moje ramię. W innych

okolicznościach bym się odsunęła, ale teraz tego nie zrobiłam.

Wyglądał tak jak zawsze, miał tylko nieco krótsze włosy i był opalony. – Jak się miewasz?

– Dobrze – odparłam Chloe i Lissa wyszły, a Jess stanęła przy mnie, jakby chcąc mi przypomnieć, żebym nie traciła czasu. –

A ty?

– Super.

Uśmiechnął się szeroko, a ja zaczęłam się zastanawiać, co w nim widziałam. On to dopiero był poniżej przeciętnej. Inna sprawa, że Dexter niespecjalnie poprawiał

średnią.

– Och, Jonathanie. – Przynurłam się nieco bliżej. – Zawsze byłeś taki skromny.

Wzruszył ramionami i znowu dotknął mojego ramienia.

– Byłam świetny, prawda?

– Tego bym nie powiedziała – odparłam z uśmiechem –

Muszę iść.

– To do zobaczenia! – zawołał za mną zbyt głośno. – Gdzie będziesz później?

Idziesz na imprezę w Arbors?

Wyciągnęłam rękę i pomachałam palcami, po czym wyszłam w wilgotną ciepłą noc. Lissa i Chloe już czekały w samochodzie.

– Co za klasa – mruknęła Jess.

– Tylko rozmawialiśmy – poinformowałam ją, ale odwróciła głowę i opuściła szybę.

Ruszyłyśmy. Wiedziałam, że Dexter będzie się zastanawiał, gdzie zniknęłam, z kim rozmawiałam i dlaczego tak radośnie.

Manipulowanie facetami przychodziło mi zdumiewająco łatwo.

Mógł się spoufałać z taką laską, ale ja nie zamierzałam siedzieć i potulnie na niego czekać.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Lissa.

– Do Arbors – zdecydowałam – Jest tam impreza.

– Nareszcie coś sensownego – mruknęła Chloe i włączyła radio.

Nagle mogło być tak jak dawniej: nasza czwórka na polowaniu. Dotąd zachowywałam się inaczej, miałam zobowiązania i grzałam ławkę, podczas gdy one się bawiły. Dość tego. Został mi jeszcze kawał lata.

Na parkingu usłyszałam, że ktoś za nami krzyczy.

Odwróciłam głowę, zastanawiając się, co powiem, kiedy Dexter spyta, dlaczego odjeżdżam i o co chodzi. Jak mu wyjaśnię, że wcale nie chodzi o zazdrość?

Głos rozległ się ponownie, a ja spojrzałam przez okno z tyłu.

To nie był Dexter, tylko facet, z którym Lissa rozmawiała przez cały wieczór.

Zawołał ją po imieniu i wydawał się zdezorientowany, gdy wyjechałyśmy na ulicę.

Było już po pierwszej, kiedy Lissa podrzuciła mnie na nasz podjazd. Zdjęłam buty i ruszyłam po trawie, popijając colę bez kalorii kupioną po drodze do domu z

imprezy, która okazała się do niczego. Dotarliśmy tam już po wyjściu policji, więc ruszyliśmy do Quik Zip, gdzie usiadliśmy na masce auta Lissy, żeby pogadać i zjeść maślany popcorn. Miłe zakończenie beznadziejnego wieczoru.

Teraz było ładnie i ciepło, cykały świerszcze, trawa chłodziła moje bose stopy. Świeciły gwiazdy, a ciszę zakłócało jedynie szczekanie psa w oddali oraz stukot maszyny do pisania matki.

– Hej!

Ktoś za mną stał. Poczulałam, jak tężeję i robi mi się gorąco.

Obróciłam się odruchowo i nimcokolwiek do mnie dotarło, z całej siły cisnęłam kubkiem prosto w głowę osoby na środku trawnika.

Trafiłabym idealnie, tyle że ten ktoś w ostatniej chwili się uchylił, a kubek uderzył w skrzynkę pocztową i cola z lodem załała chodnik.

– O co ci chodzi?! – wrzasnął Dexter.

– O co mi chodzi? – warknęłam, czując, jak galopuje mi serce. Kto straszy ludzi po nocach? – Mało się nie sfałdowałam w gacie.

– Nie. – Ruszył ku mnie. – Tam, w klubie. Odjechałaś bez słowa. Co ty sobie myślisz, Remy?

Przez chwilę milczałam, żeby się uspokoić i dojść do siebie po stracie coli.

– Byłeś zajęty. – Wzruszyłam ramionami. – A mnie znudziło się czekanie.

– Nie. – Wepchnął ręce do kieszeni. – To nie to.

Odwróciłam się do niego plecami i wyjęłam klucze.

– Jest późno – westchnęłam – Padam z nóg i chcę się położyć.

– To przez piosenkę? – Podszedł jeszcze bliżej. – Dlatego ci odbiło i wyszłaś?

– Nie odbiło mi – oznajmiłam stanowczo. – Doszłam do wniosku, że jesteś bardzo zajęty tą dziewczyną i...

– O Jezu. – Cofnął się i roześmiał. – To przez to? Jesteś zazdrosna?

Okej, najwyraźniej szukał guza.

– Nie bywam zazdrosna – wycedziłam

– Jasne. Nie jesteś też człowiekiem

Znowu wzruszyłam ramionami.

– Remy, na miłość boską. Mówię ci, że zaraz wracam, a ty znikasz. I jeszcze zdążyłaś pogadać z jakimś byłym o późniejszym spotkaniu. To mnie trochę zdziwiło, bo przecież jesteście razem.

Przynajmniej tak myślałam



Tyle rzeczy miało się z prawdą, że zastanawiałam się, od czego zacząć.

– Wiesz, czekałam – odparłam w końcu. – Ted powiedział, że szczegółowo negocjujesz z tą dziewczyną, a moje przyjaciółki chciały już iść, więc wyszłam z nimi.

– Ted – powtórzył. – Co jeszcze powiedział Ted?

– Nic.

Dexter przejechał ręką przez włosy.

– Innymi słowy, wszystko jest okej.

– Całkowicie – zapewniłam go i odwróciłam się do drzwi, żeby przekreślić klucz.

– Słyszałam cię, wiesz? – powiedział, kiedy już miałam je otworzyć.

Zamarłam i przycisnęłam dłoń do drewna. W małej szybcie

widziałam swoje odbicie, a także odbicie Dextera. Wcisnął czubek buta w trawę, nie patrząc na mnie.

– Co słyszałeś? – zapytałam.

– Jak rozmawiasz ze Scarlett. – Podniósł wzrok, ale ja się nie odwróciłam. –

Chciałem powiedzieć ci, że za minutę kończę i żebyś poczekała. Podeszedłem i usłyszałem, jak mówisz o nas.

To dlatego Scarlett wydawała się taka zaskoczona. Założyłam włosy za ucho.

– Dobrze wiedzieć, na czym się stoi – ciągnął. – Chłopak na lato, i tyle.

Wiadomo, kiedy to się skończy, żadnych kłopotów.

Trochę to zaskakujące, muszę przyznać. A może powinienem podziwiać twoją szczerą?

– Dexter...

– Nie, nie. W porządku. Mama zawsze powtarzała, że będzie ze mnie beznadziejny mąż, więc warto poznać opinię z innego źródła. Poza tym dobrze wiedzieć, że twoim zdaniem to prowadzi donikąd. Przynajmniej nie muszę się zastanawiać.

Odwróciłam się.

– A czego oczekiwałeś? Że będziemy ze sobą na zawsze?

– To jedyna opcja? Wcale albo na zawsze? Boże, Remy, właśnie tak myślisz?

Może. Może i tak.

– Posłuchaj, szczerą jest dobra – powiedziałam –

Wyjeżdżam na studia, ty też znikasz pod koniec lata, a po tej rozmowie może nawet wcześniej. Ted dał mi do zrozumienia, że możecie wyjechać choćby jutro.

– Ted to idiota! – warknął. – I pewnie powiedział ci, że spiam z każdą poznaną

dziewczyną, co?

Wzruszyłam ramionami.

– To nie ma...

– Wiedziałem! – przerwał mi. – Wiedziałem, że w grę wchodzi Ted. Co powiedział?

– Nieważne.

Dexter westchnął ciężko.

– Rok temu związałem się z dziewczyną, która załatwiała występy zespołów w jednym takim klubie w Virginia Beach.

Kiepsko się to skończyło i...

Uniosłam rękę, żeby przerwał.

– Nie obchodzi mnie to – powiedziałam – Naprawdę. Nie bawmy się w zwierzenia, dobrze? Nie chciałbyś usłyszeć moich.

Wydawał się zdumiony i nagle uświadomiłam sobie, że wcale mnie nie zna.

– Ale mnie obchodzi – dodał pojednawczo, jakby wszystko dało się naprawić. –

Na tym polega różnica, Remy. Nie

zaangażowałam się w to na tydzień czy na miesiąc. Ja tak nie funkcjonuję.

Przejeżdżający samochód zwolnił, a facet za kierownicą

bezwstydnie wbił w nas wzrok. Mało brakowało, a pokazałabym mu środkowy palec.

– Czego się tak boisz? – spytał Dexter, podchodząc do mnie.

– To takie złe, że naprawdę mnie lubisz?

– Nie boję się – odparłam – Nie o to chodzi. Tak jest prościej.

– Twoim zdaniem powinniśmy teraz uznać, że to lato nic nie znaczy? Mamy wykorzystywać się nawzajem, a potem, kiedy każde z nas pojedzie w swoją stronę, będzie po wszystkim?

Kiepsko to brzmiało w jego ustach.

– Całe życie pracowałam, żeby stąd wyjechać bez zobowiązań. Nie mogę niczego ze sobą zabrać.

– Ale to nie musi być ciężar, który próbujesz z tego zrobić – zauważył.

– Po prostu wiem, jak to się kończy, Dexter. – Ściszyłam głos. – Wiem, do czego prowadzą zobowiązania, i źle to wygląda.

Łatwo jest w coś wejść, ale trudniej jest to skończyć.

– Nie wiesz, z kim rozmawiasz? – zapytał z

niedowierzaniem – Moja mama miała więcej mężów niż twoja.

Jestem w taki czy inny sposób spowinowacony z połową kraju.

– To nie żart. – Pokręciłam głową. – Tak właśnie musi być.

Przykro mi.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Przez wiele lat o tym

myślałam, a teraz, gdy powiedziałam to głośno, czułam się dziwnie, jakby wszystko to stało się realne. W końcu ujawniło się moje zimne, twarde serce. No cóż, powinnam była powiedzieć Dexterowi prawdę już na samym początku.

– Rozumiem, dlaczego to mówisz – oświadczył wreszcie. –

Ale coś przeoczyłaś. Bo wiesz, udana miłość jest zadziwiająca. Nie jest przereklamowana. Z jakiegoś powodu powstają te wszystkie piosenki.

Popatrzyłam na swoje ręce.

– To tylko piosenki, Dexter. Nic nie znaczą.

Podszedł, zatrzymał się tuż przede mną i wziął mnie za ręce.

– Wiesz, zaśpiewaliśmy to dzisiaj, bo kiepsko nam szło.

Lucas usłyszał wczoraj, jak nucę ten kawałek, i zaproponował, żebyśmy to zagrali. Chłopaki nie wiedzą, że *Kołysanka* ma jakikolwiek związek z tobą. Ich zdaniem to po prostu stary przebój.

– Chyba tak jest – odparłam – Tyle że nie dla mnie.

Wtedy ogarnęło mnie to dziwne uczucie, co oznaczało, że najgorsza część zrywania już za nami. Teraz pozostało tylko wymienić kilka uprzejmości i odejść.

– Wiesz, mogłoby nam wyjść albo nie. – Potarł mój kciuk. –

Z małżeństwami w ogóle. Któregoś dnia mogłoby się okazać, że to ty w to wierzysz, a ja cię odtrącam.

– Może – odparłam.

Jednak nie mogłam sobie wyobrazić wiary w miłość, nie z naszą historią. Tylko szalenie przeżyłby coś takiego i myślał, że

„na zawsze” jest możliwe.

Nadal trzymając moją rękę, pochylił się i pocałował mnie w czoło. Zamknęłam oczy, nerwowo poruszając palcami u stóp i myśląc o tym, co w nim polubiłam: zapach, wąskie biodra, gładkość skóry. Tak wiele w tak krótkim czasie.

– Do zobaczenia. – Odsunął się ode mnie. – Okej?

– Okej. – Skinęłam głową.

Po raz ostatni ścisnął moją rękę, puścił ją i ruszył przed siebie. Zostawiał świeże ślady. Poprzednie zniknęły, gdy trawa się wyprostowała.

W domu poszłam prosto do siebie, przebrałam się w stare bokserki i koszulkę i wśliznęłam się pod kołdrę. Dobrze znałam to uczucie, tę samotność o drugiej w nocy. Właściwie sama ją wynalazłam. Najgorzej było po zerwaniu. Przez pierwszych kilka godzin po powrocie do statusu singielki świat wydawał się większy i bardziej obcy. Właśnie dlatego w takich chwilach słuchałam piosenki, zapominając o wszystkim. To była jedyna stała w moim życiu, na karuzeli ojczymów, domów i chłopaków.

Nagranie wciąż było niezmiennie, podobnie jak słowa i głos ojca, jego oddechy między wersami. Teraz jednak nie mogłam

zapomnieć, jak śpiewał to Dexter: ironicznie, uroczo, inaczej.

Wciąż myślałam o tym, że pocałował mnie w czoło, gdy się ze mną żegnał. To chyba było najmiłsze zerwanie, co nie znaczy, że najłatwiejsze.

Przewróciłam się na bok i wsunęłam poduszkę pod głowę, zamykając oczy. Próbowałam myśleć o innych piosenkach: o Beatlesach, o obecnie ulubionej płycie, o hitach mojego dzieciństwa z lat osiemdziesiątych. Jednak głos Dextera wracał, więc zasnęłam, odtwarzając w pamięci jego śpiew. Kiedy oprzytomniałam, był już poranek.

## ***Sierpień***

### **Rozdział dwunasty**

– Kto chce do KaBoom?

Popatrzyłam na Lissę. Na zewnątrz były trzydzieści dwa stopnie Celsjusza, słońce prażyło bez opamiętania, a gdzieś po mojej lewej męski kwartet wokalny a capella śpiewał *My Old Kentucky Home*. Można było oficjalnie ogłosić, że jesteśmy w piekle.

– Ja nie – powtórzyłam.

Lissa od dwóch tygodni reklamowała nowy, nafaszerowany kofeiną napój dla sportowców i nadal nie mogła przyjąć do wiadomości, że mi nie smakuje. I nie tylko mnie.

– To jak... gazowana lemoniada – powiedziała Chloe taktownie, wypijając małeńki łyżeczek. – Ma taki dziwny posmak taniej coli.

– Więc co myślisz? – zapytała Lissa, napełniając rząderek plastikowych kubków przed sobą.

– Myślę... – Chloe przełknęła i skrzywiła. – Błę.

– Chloe! – syknęła Lissa, rozglądając się dookoła. – No naprawdę.  
– Mówiłam ci, że smakuje do dupy – zauważyłam, ale mnie zignorowała i  
wyłożyła na stół jeszcze więcej towarów  
reklamowych KaBoom: plastikowe frisbee, kubki, a także  
koszulki, wszystko ozdobione żółtym zawijaszem symbolizującym słońce. –  
Dobrze o tym wiesz, Lissa. Przecież nawet tego nie pijesz.

– To nieprawda – obruszyła się, poprawiając identyfikator KaBoom, na którym  
było napisane: „Cześć, jestem Lissa i lubię Boom! Chyba mi nie odmówisz?”.

Usiłowałam jej wytłumaczyć, że to brzmi dwuznacznie, ale ona tylko machnęła  
ręką, pewna, że zdoła wylansować nowy napój wśród wielbicieli coli.

– Piję to jak wodę – oświadczyła. – Jest niesamowite!  
Obejrzałam się na mijającą mnie rodzinę z dwójką dzieci. W  
rękach trzymali darmowe upominki z okazji Don Davis  
Toyotafaire, jednak się nie zatrzymali. Prawdę powiedziawszy, mało kto  
podchodził do stolika KaBoom, mimo że Lissa i jej współpracownik P.J. rozdawali  
mnóstwo gadżetów.

– Balony dla każdego! Kto chce balon KaBoom?! –  
pokrzykiwała Lissa. – Darmowe próbki! Rozdajemy frisbee!  
Cisnęła frisbee nad parkingiem. Plastikowy dysk poleciał  
daleko i spadł na ziemię tuż obok nowego land cruisera. Don, który rozmawiał z  
klientami przy rzędzie camry, zerknął na nas z ukosa.

– Przepraszam! – Lissa zasłoniła usta dłonią.  
– Spokojnie z tymi frisbee – powiedział P.J. i wypił  
zawartość jednego z plastikowych kubków. – Jest jeszcze wcześniej.  
Lissa uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i  
zarumieniła.

Don Davis Toyotafaire przygotowywano od tygodni. To było jedno z  
największych wydarzeń handlowych w roku, pełne atrakcji dla dzieci, wróżek i  
automatów z napojami. Nie zabrakło nawet wyraźnie zmordowanego kucyka, który  
dreptał po placu.

W cieniu tuż przy salonie zasiadła miejscowa pisarka i gwiazda, Barbara Starr.  
Matka zwykle nie pojawiała się publicznie, chyba że w  
ramach promocji nowej książki. Teraz znajdowała się na takim etapie, że nawet  
nie chciała wychodzić z gabinetu, a tym bardziej z domu. Chris i ja przywykliśmy do  
jej rozkładu zajęć i było dla nas jasne, że mamy siedzieć cicho, kiedy matka śpi,

choćby nawet o szesnastej, i że musimy schodzić jej z drogi, kiedy idzie przez kuchnię, mamrocząc pod nosem. Wiedzieliśmy też, że kiedy po raz ostatni przesuwa wózek maszyny do pisania, zawsze dwukrotnie klaszcze i krzyczy: „Dziękuję!”.

Don jednak tego nie rozumiał. Po pierwsze, nie szanował koralikowej zasłonki. Po drugie, bezceremonialnie ładował się do gabinetu i kładł ręce na ramionach matki, kiedy jeszcze pracowała.

Gdy to robił, przyśpieszała pracę, jakby chciała przelać na papier to, co miała w głowie, zanim Don zakłóci jej rytm. Potem szedł

pod prysznic i żądał, by przyniosła mu tam zimne piwo. Kwadrans później wołał matkę, zastanawiając się, gdzie to piwo. Znowu zaczynała pisać jak najszybciej, żeby zdążyć, zanim Don przyjdzie i spyta, co na kolację.

Najdziwniejsze było to, że matka się na to godzi. Nadal pozostawała pod urokiem Dona. Wszyscy inni mężowie i

przyjaciele zawsze przeszkadzali jej w rozkładzie dnia, więc ich pouczała tak jak nas, mówiąc o swoich „twórczych potrzebach” i

„niezbędnej dyscyplinie”. Teraz jednak była gotowa na kompromis, jakby rzeczywiście po raz ostatni wyszła za męża.

Chloe zniknęła w łazience, a ja zbliżyłam się do stolika, który Don wystawił dla matki przy salonie. „Poznajcie autorkę bestsellerów Barbarę Starr!”, głosił napis na transparencji rozwieszonym za jej plecami. Matka założyła okulary

przeciwsłoneczne i wachlowała się czasopismem podczas rozmowy z czytelniczką, która trzymała dziecko na biodrze.

– ...Melina Kennedy to najwybitniejsza postać literacka w historii! – oświadczyła kobieta, przekładając dziecko na drugie biodro. – Czuję jej ból, gdy rozstała się z Donovanem. Nie mogłam przestać czytać, naprawdę. Musiałam wiedzieć, czy się zejda.

– Bardzo dziękuję – odparła matka z uśmiechem.

– Pracuje pani nad czymś nowym?

– Owszem. Pewnie się pani spodoba – dodała matka ciszej. –

Główna bohaterka bardzo przypomina Melinę.

– Och! – zachwyciła się kobieta. – Nie mogę się doczekać.

Poważnie!

– Betsy! – rozległ się głos przy maszynie z popcornem –

Chodź na chwilę, co?

– To mój mąż – wyjaśniła kobieta. – Bardzo się cieszę, że panią poznałam.

– Ja również – oznajmiła matka.

Kobieta odeszła do męża, niskiego faceta z bandaną na szyi, który patrzył badawczo na licznik w minivanie. Matka zerknęła na zegarek. Don chciał, żeby siedziała tu przez pełne trzy godziny, ale ja miałam nadzieję wyrwać się stąd znacznie szybciej. Nie byłam pewna, czy wytrzymam kolejną dawkę męskiego kwartetu

wokalnego.

– Czytelniczki cię kochają – zauważyłam, podchodząc do matki.

– Tu nie ma moich czytelniczek. Ze dwie osoby już pytały mnie o finanse, ale głównie pokazują drogę do łazienki – odparła, po czym dodała weselej: – Ale ten męski kwartet wokalny jest fantastyczny. Uroczo śpiewają, prawda?

Nawet nie chciało mi się odpowiedzieć. Matka westchnęła i znów się powachlowała.

– Gorąco – zauważyła. – Mogę się tego napić?

Popatrzyłam na butelkę KaBoom, którą wcisnęła mi Lissa.

– Nie chcesz tego – uprzedziłam matkę.

– Nonsens. Jest upał i pić mi się chce. Daj.

Wzruszyłam ramionami i wręczyłam jej napój. Pociągnęła spory łyk, z trudem przełknęła i z niepewną miną oddała mi butelkę.

– Mówiłam – mruknęłam.

W tym momencie na parking wjechała furgonetka Truth

Squad. Drzwi z tyłu się otworzyły i wyskoczył z nich John Miller z pałeczkami pod pachą, a za nim Lucas z mandarynką. Obaj zabrali się do wyładowywania sprzętu. Po chwili dołączył do nich Ted.

Ostatni wysiadł Dexter, wkładając koszulę przez głowę. Zerknął w lusterko i zniknął po drugiej stronie auta.

Rzecz jasna, nie pierwszy raz go widziałam. Rankiem po

naszym zerwaniu stałam w kolejce w Jump Java po poranną kawę dla Loli, kiedy wszedł i zbliżył się do mnie stanowczym krokiem.

– Doszedłem do wniosku, że powinniśmy zostać przyjaciółmi – powiedział bez żadnych wstępów.

Natychmiast włączył mi się alarmi przypomniałam sobie, jak powinno wyglądać zerwanie z chłopakiem

– Przyjaciółmi? – powtórzyłam, myśląc jednocześnie, że to wykluczone.

– Zgadza się – potwierdził. – Byłoby głupio ignorować się i udawać, że nic się nie stało. Możemy od razu chwycić byka za rogi.

Popatrzyłam na zegar obok ekspresu. Było pięć po dziewiątej.

– Nie jest trochę za wcześnie? – spytałam powoli.

– Właśnie o to chodzi! – oświadczył tak głośno, że zerknął na nas jakiś facet z telefonem przy uchu. – Zerwaliśmy wczoraj w nocy, tak?

– Tak – przytaknęłam znacznie ciszej w nadziei, że zrozumie aluzję. Nic z tego.

– Dzisiaj się spotkaliśmy i na pewno czeka nas to jeszcze wiele razy przed końcem lata – ciągnął głośno. – Pracujemy naprzeciwko siebie.

– Zgadza się – odparłam

Barista zapytał, czy chcę to co zwykle dla Loli, więc skinęłam głową.

– Muszę przyznać, że jest trochę dziwnie, ale musimy sobie obiecać, że nie będziemy się unikać, doprowadzając do

niezręcznych sytuacji – ciągnął Dexter. – Co ty na to?

– Myślę, że nic z tego nie wyjdzie.

– Dlaczego?

– Bo nie da się przejść od randek do przyjaźni – wyjaśniłam.

– To kłamstwo. Tak się mówi, żeby zerwanie nie wydawało się permanentne.

Jedna ze stron zawsze uważa, że to coś więcej niż przyjaźń i jeszcze bardziej cierpi, bo przecież „przyjacielskie relacje” to coś znacznie mniej niż bycie ze sobą, więc w rezultacie ludzie zrywają ze sobą na nowo, tylko w jeszcze bardziej nieprzyjemny sposób.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Okej, rozumiem – powiedział w końcu. – W tym twoim scenariuszu ja będę cierpieć, bo to ja proponuję przyjaźń, tak?

– Trudno powiedzieć. – Wepchnęłam banknot jednodolarowy do pudełka na napiwki. – Ale w tym scenariuszu owszem

– Wobec tego udowodnię, że się mylisz – oznajmił.

– Dexter – westchnęłam, gdy szliśmy do wyjścia. – Daj spokój.

– Posłuchaj, to dla mnie ważne. – Przytrzymał mi drzwi. –

Nienawidzę przykrych rozstań. Nie znoszę niezręcznych sytuacji i dziwacznych rozmów, a także świadomości, że nie mogę gdzieś iść, bo ty tam jesteś. Chciałbym



choć raz rozstać się w przyjaźni.

Mówię poważnie.

Popatrzyłam na niego. Wczoraj, gdy staliśmy przed moim domem, bałam się ponownego spotkania. Cóż, w sumie byłam nawet zadowolona, że mamy to już za sobą.

– To będzie wyjątkowe wyzwanie. – Odgarnęłam włosy z twarzy.

– Owszem – przytaknął z uśmiechem – Piszesz się na to?

Czy się pisałam? Trudno powiedzieć. Dotąd jednak nie uciekałam przed wyzwaniami.

– Niech będzie – zgodziłam się. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi – powtórzył, a potem uścisnęliśmy sobie dłonie.

To się wydarzyło dwa tygodnie temu i od tamtego czasu rozmawialiśmy kilka razy na neutralne tematy, na przykład, co się dzieje z Rubber Records (niewiele, chociaż podobno szykowało się spotkanie) i jak się miewa Małpison (dobrze, ale oblaży go pchły, więc wszyscy w żółtym domu się drapali). Raz nawet zjedliśmy razem lunch na chodniku przed Flash Camera. Dotąd ustaliliśmy dwie reguły. Pierwsza: żadnego niepotrzebnego dotykania, bo to prowadzi do kłopotów. Druga: jeżeli coś, co zrobimy lub powiemy, okaże się dziwne albo nieprzyjemne, nie ma mowy o krępującej ciszy. Jak najszybciej to przyznamy, omówimy i zneutralizujemy.

Oczywiście przyjaciółki uważały, że mi odbiło. Dwa dni po zerwaniu poszłam z nimi do Bendo, gdzie Dexter podszedł i do mnie zagadał. Po jego odejściu odwróciłam się do sceptycznych i oburzonych twarzy. Dziewczyny zareagowały tak, jakby przed chwilą popijała piwo z gromadą apostołów.

– Nie mów mi tylko, że się przyjaźnicie. – Chloe wycelowała we mnie palec.

– Niezupelnie – odparłam.

Wydawały się jeszcze bardziej oburzone. Szczególnie rozczarowana była Lissa, która przez większość lata czytała poradniki samorozwoju, dotąd kojarzące mi się z Jennifer Anne.

– Lepiej się sprawdzimy jako przyjaciele niż para – dodałam.

– Zresztą spotykaliśmy się bardzo krótko.

– Nic z tego nie będzie. – Chloe zapaliła papierosa. – To tak, jakby mięczak usiłował chodzić o kulach. Kto tak mówił?

Przewróciłam oczami i wbiłam wzrok w sufit.

– O, no właśnie! Ty! – Strzeliła palcami. – Zawsze to powtarzałaś, tak samo jak to, że nigdy nie będziesz chodziła z muzykiem.

– Chloe... – przerwałam jej.

– I że nie dasz się poderwać facetowi, który będzie za tobą łąził, bo tacy tracą zainteresowanie w chwili, gdy złowią króliczka...

– Uspokój się.

– ...ani nie zakochasz się w gościu, którego była dziewczyna jest w pobliżu, bo skoro nie dotarło do niej, że to koniec, najwyraźniej facet nie dał jej tego do zrozumienia.

– Zaraz – zaoponowałam – To ostatnie jest nie na temat.

– No to dwa na trzy. – Machnęła ręką.

– Remy. – Lissa poklepała mnie po dłoni. – Wszystko w porządku. Jesteś człowiekiem, więc popełniasz błędy. W książce *Poznaj siebie: co może miłość, a czego nie*, którą niedawno przeczytałam, jest cały rozdział o tym, jak łamiemy swoje zasady dla mężczyzn.

– Nie łamię swoich zasad – warknęłam.

Byłam wściekła, że to nie ja doradzam, tylko mnie doradzają.

Na Toyotafaire zostawiłam matkę pogrążoną w rozmowie z kolejną wielbicieleką, i w poszukiwaniu cienia udałam się wraz z Chloe na trawnik. Truth Squad już się prawie rozstawił. Don mówił nam przy kolacji parę dni wcześniej, że zatrudnił ich do zagrania godzinnego programu piosenek o samochodach.

– No dobra, wyczałam kilku gości, którzy dobrze rokują – oświadczyła Chloe, gdy zagrali *Baby You Can Drive My Car*. –

Jeden ma na imię Matt i studiuje na pierwszym roku. Przystojny, wysoki, chce zostać lekarzem.

– Bo ja wiem? – mruknęłam. – W taki upał chodzić na randki?

– Wiedziałam – Pokręciła głową. – Wiedziałam.

– Co?

– Już nie jesteś jedną z nas.

– A co to znaczy? – zapytałam.

Skrzyżowała nogi w kostkach i ściągnęła buty.

– Mówisz, że jesteś singielką i że będziesz imprezowała razem z nami.

– Fakt.

– Ale za każdym razem, kiedy próbuję cię komuś przedstawić, ty się wycofujesz.

– To się zdarzyło tylko raz i to dlatego, że nie przepadam za wrotkarzami.

– Dwa razy – poprawiła mnie. – Za drugim razem facet był przystojny i wysoki, tak jak lubisz, więc nie gadaj głupot. Obie wiemy, w czym problem

– Wiemy? Niby w czym?

Wskazała głową Truth Squad.

– W twoim „przyjacielu”.

– Przestań.

– Nadal się z nim widzisz. – Zaczęła wyliczać na palcach.

– Pracujemy rzut beretem od siebie, Chloe.

– Rozmawiasz z nim – Wystawiła drugi palec. – Założę się, że nawet nadkładałaś drogi, byle tylko przejechać koło jego domu.

Nie zamierzałam zaszczycić tego odpowiedzią.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, a Truth Squad grał mix utworów: *Cars*, *Fun, Fun, Fun* i *Born to Be Wild*. Wyglądało na to, że kończy im się repertuar samochodowy.

– Dobra – westchnęłam w końcu. – Opowiedz mi o tych facetach.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Nie myśl, że robisz mi łaskę – oznajmiła. – Obie wiemy, że jeśli nie jesteś gotowa, to od razu będzie widać. Nie warto się wysilać.

– Mów.

– W porządku. Wszyscy są po pierwszym roku i...

Mówiła, a ja słuchałam nieuważnie, bo Truth Squad właśnie grał *Dead Man's Curve*, utwór, który nieszczerólnie zachęcał do kupowania nowych samochodów. Don też to zauważył i

spiorunował wzrokiem Dextera, więc piosenka skończyła się szybciej, przechodząc nieco niezręcznie w *The Little Old Lady from Pasadena*.

Dexter przewracał oczami między jedną i drugą zwrotką, i znów poczułam ukłucie, ale szybko odepchnęłam to od siebie, żeby nie narażać się na nowe napomnienia Chloe. Nadeszła pora, by wrócić do gry, zanim zupełnie zrujną sobie reputację.

– ...umawiamy się dziś na siódmą, na kolację w Rigoberto’ s.

Paleczki chlebowe będą gratis.

– Dobra, wchodzę w to – odparłam.

W imprezowaniu najgorsze jest to, że człowiek zapomina, jakie to bywa beznadziejne.

O tym właśnie myślałamkoło wpół do dziewiątej przy stoliku w Rigoberto’ s, jedząc czerstwe paleczki chlebowe.

Marzyłam o tym, żeby mój randkowy partner, Evan, krępy gość o poplątanych, sięgających ramion włosach, które rozpaczliwie domagały się mycia, zamykał usta podczas przeżuwania.

– Powiedz mi raz jeszcze, gdzie znalazłaś tych facetów? – wymamrotałamdo Chloe, która kleiła się do jedyne go przystojniaka w tej gromadzie.

– W Wal-Marcie – odparła. – Kupowali worki na śmieci, i ja też. Uwierzysz? Uwierzyłam. Evan powiedział mi już wcześniej, że kiedy poznali Chloe, właśnie jechali zbierać śmieci z odcinka szosy, którym opiekował się ich klub fantasy. Opieka polegała na tym, że jedną sobotę w miesiącu poświęcali na sprzątanie pobocza. Resztę czasu pochłaniało im rysowanie szkiców ich własnych alter ego w grach RPG oraz walka z trollami i demonami, polegająca na rzucaniu kostką w czyjejs piwnicy. W ciągu godziny dowiedziałam się więcej, niż bym chciała, o orkach, Klingonach i o jakiejś rasie panów wymyślonej przez Evana, zwanej Tricriptiorami.

Ben, z którym mówiła się Chloe, był uroczy, jednak nie zadała sobie trudu, żeby przyrzeć się jego kolegom. Evan był taki, jaki był, a bliźniacy David i Darrin mieli na sobie koszulki ze *Star Wars* i od początku kolacji konsekwentnie ignorowali Lissę i Jess, nieustannie nawijając o japońskie anime. Jess rzucała Chloe nienawistne spojrzenia, Lissa zaś uśmiechała się uprzejmie, myśląc o swoim współpracowniku z KaBoom, P.J.-u, i o tym, jak chytrze maskuje miłość do niego. Tak właśnie wyglądała nasza impreza i uświadomiłam sobie, że przez ostatni miesiąc ani trochę za tym nie tęskniłam.

Po kolacji David i Darrin poszli do domu razem z Evanem, równie zauroczeni nami jak my nimi. Jess się wykręciła, twierdząc, że musi położyć małych braci do łóżka, a Chloe i Ben zostali przy stoliku, żeby karmić się nawzajem tiramisu. Ja i Lissa byłyśmy zdane na siebie.

– Co teraz? – zapytała, gdy już wsiadłyśmy do mojego

samochoду. – Bendo?

– Nie – odparłam – Jedźmy do mnie, obejrzymy sobie filmy czy coś.

– Może być.

Gdy skręciłyśmy na nasz podjazd, zobaczyłam, że matka siedzi na frontowych schodach, boso i z łokciami na kolanach. Na mój widok wstała i zaczęła wymachiwać rękami jak rozbitek na tratwie pośrodku oceanu.

Wysiadłam, Lissa za mną, ale nie zdążyłam zrobić nawet dwóch kroków, gdy usłyszałam czyjś okrzyk.

– Nareszcie!

Odwróciłam się i ujrzałam Dona. Ścisnął w dłoni młotek do gry w krokieta, był czerwony, rozcheltany i sprawiał wrażenie wściekłego.

– Co się dzieje? – spytałam matkę, która szybko zmierzała w naszym kierunku.

– A to się dzieje, że od półtorej godziny nie możemy dostać się do domu! – wybuchnął Don. – Masz pojęcie, ile wiadomości zostawiliśmy ci w poczcie głosowej?!

Darł się na mnie. Przez chwilę nie docierało to do mnie, bo nic podobnego nigdy się nie wydarzyło. Moi poprzedni

ojczymowie nie za bardzo przykładali się do roli ojca, nawet kiedy Chris i ja byliśmy na tyle mali, żeby to tolerować. Szczerze mówiąc, zatkało mnie.

– Nie stój tak, tylko odpowiadaj! – ryknął.

Wyraźnie zdenerwowana Lissa cofnęła się o krok.

Nienawidziła konfrontacji. W jej rodzinie nikt nie wrzeszczał, dyskusje i spory prowadzono opanowanymi i pełnym zrozumienia cichym głosem.

– Don, skarbie. – Matka podeszła do niego. – Nie musisz się tak denerwować. Już jest i nas wpuści. Remy, daj swoje klucze.

Stałam nieruchomo, nie spuszczać wzroku z Dona.

– Byłam na kolacji – odparłam spokojnie. – Nie miałam przy sobie telefonu.

– Dzwoniliśmy sześć razy! – krzyknął. – Wiesz, która

godzina? Jutro o siódmej rano muszę być na spotkaniu w sprawie sprzedaży i nie mam czasu, żeby tak stać i próbować włamać się do własnego domu.

– Don, proszę, uspokój się. – Matka dotknęła jego ramienia.

– Jak wróciliście do domu samochodem, skoro nie macie

kluczy? – zapytałam ją, wiedząc, że trzymają kluczyki do auta i klucze do domu w jednym pęku.

– No... – zająknęła się.

– Przyjechaliśmy jednym z nowych modeli – burknął Don. –  
Zresztą nie o to chodzi. Ważne, że nagraliśmy się na pocztę głosową. Tobie i  
twojemu bratu, a wy nie oddzwoniliście. Nic was nie obchodziło, że tkwimy tu od  
ponad godziny, gotowi wybić cholerne okno...

– Ale już przyjechała – przerwała mu matka pogodnie. –

Więc weźmy klucze, wejdźmy do środka i...

– Barbaro, na litość boską, nie przerywaj mi, kiedy mówię –  
wycedził wściekle i popatrzył na nią. – Jezu.

Przez chwilę panowała cisza. Spojrzałam na matkę, czując przyptyw  
opiekuńczości, którego nie doświadczyłam od lat, gdyż albo darłam się na nią, albo  
(częściej) miałam na to ochotę. Bez względu na to, jaki gniew wzbudzała we mnie  
matka, zawsze wyczuwałam granicę oddzielającą naszą rodzinę od aktualnego  
mężczyzny w domu. Don tego nie dostrzegał, ale ja tak.

– Nie odzywaj się tak do niej – powiedziałam do niego cicho.

– Remy, skarbie, daj klucze – poprosiła matka. – Dobrze?

Don zbliżył się do mnie.

– Powinnaś się nauczyć szacunku dla innych, moja panno –  
wycedził.

Wycelował we mnie tłusty paluch, a ja skupiłam się tylko na nim. Wszystko inne  
– stojąca z boku Lissa, błagalne spojrzenie matki, zapach letniej nocy – przestało  
istnieć.

– Remy? – rozległ się cichy głos Lissy.

– A ty powinnaś się nauczyć szacunku dla mojej matki –  
poinformowałam Dona. – Ta sytuacja wynika z twojej winy i dobrze o tym  
wiesz. Zapomniałeś kluczy i nie mogłeś się dostać do domu.

Stał tam ciężko oddychał. Widziałam, jak Lissa wycofuje się po podjeździe,  
krok po kroczku, jak gdyby chciała stąd jak najszybciej zniknąć.

– Remy, klucze – powtórzyła matka.

Wyciągnęłam klucze z kieszeni, nie spuszczać wzroku z Dona, i wręczyłam je  
matce, która natychmiast ruszyła do drzwi.

Don nadal wpatrywał się we mnie, jakby myślał, że się poddam.

Bardzo się mylił.

Nagle światło na werandzie się zapaliło, a matka klasnęła w dłonie.

– Otwarte! – zawołała. – Wszystko dobre, co się dobrze  
kończy!

Młotek uderzył głucho o podjazd, a Don odwrócił się do mnie plecami i ruszył ze złością do domu. Na schodach minął matkę, choć coś do niego mówiła, i zniknął w korytarzu. Po chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwiami.

– Zachowuje się jak dziecko – mruknęłam do Lissy, która stała przy skrzynce pocztowej, udając zainteresowanie niedawno zainstalowanymi literami STARR/DAVIS.

– Naprawdę się wściekł, Remy. – Podeszła do mnie ostrożnie, jakby w obawie, że lada chwila Don wypadnie z domu, gotowy na drugą rundę. – Może trzeba było przeprosić?

– Niby za co? – zapytałam. – Za to, że nie jestem jasnowidzem?

– Nie wiem. Pewnie byłoby łatwiej.

Popatrzyłam na dom. Matka stała w drzwiach, z ręką na gałce, i patrzyła w głąb korytarza na ciemną kuchnię, w której znikł Don.

– Hej! – zawołałam, a matka odwróciła głowę. – Co go użarło?

Usłyszałam jego mamrotanie, a matka przymknęła lekko drzwi i odwróciła się ode mnie. Nagle dziwnie się poczułam, jakby dystans między nami był o wiele większy niż ten fizyczny, jakby granica, zawsze tak wyraźna, nagle się przesunęła albo w ogóle nie przebiegała tam, gdzie sądziłam.

– Mamo?! – krzyknęłam. – Wszystko dobrze?

– W porządku. Dobrej nocy, Remy – odparła i zamknęła drzwi.

– Mówię ci, to było totalnie popaprane – zwróciłam się do Jess.

Lissa skinęła głową.

– I trochę straszne – dodała.

Popijając colę, Jess poprawiła sweter na ramionach.

Zapukałyśmy do jej okna po wyjściu od mojej matki, kiedy doszłam do wniosku, że nie mam ochoty spędzać wieczoru pod tym samym dachem co Don. Do tego czułam się niemal zdradzona, jakbym dotąd grała z matką w jednym zespole, a teraz nagle odsunęła mnie na rzecz kogoś, kto wygrażał mi paluchem i żądał szacunku, na który nie zasłużył.

– W gruncie rzeczy to normalne zachowanie – mruknęła Jess.

– Wiesz, kto tu rządzi. Typowe dla faceta. Bardzo tatusiowate.

– Nie jest moim tatusiem – poinformowałam ją.  
– Chodzi o dominację – wtrąciła Lissa. – Jak u psów. Próbuje dać ci do zrozumienia, że jest psemalfą.

Popatrzyłam na nią.

– Oczywiście, to ty jesteś psemalfą – zapewniła mnie szybko. – Ale on o tym nie wie i cię sprawdza.

– Nie chcę być psemalfą – warknęłam. – W ogóle nie chcę być psem.

– Dziwne, że twoja matka to znosi – zadumała się Jess. –

Dotąd nie wytrzymywała w takich sytuacjach.

– Chyba się boi. – Obie spojrzały na mnie ze zdumieniem.

Sama się zdumiałam, bo dopiero teraz na to wpadłam – Boi się samotności. To jej piąte małżeństwo. Jeśli nie wyjdzie...

– No, a ty wyjeżdżasz. – Lissa pokiwała głową. – I Chris pewnie wkrótce się ożeni, więc twoja matka myśli, że to jej ostatnia szansa i musi się udać. – Lissa otworzyła torebkę skittles i wrzuciła czerwoną pastylkę do ust. – Może rzeczywiście wybrała jego, a nie ciebie. Chwilowo. Bo to z nim będzie musiała mieszkać, no wiesz, do końca życia.

Jess obserwowała mnie uważnie, jakby oczekiwała po mnie jakiejś reakcji.

– Witamy w dorosłym życiu – powiedziała. – Jest równie beznadziejnie jak w liceum.

– Dlatego nie wierzę w związki – oznajmiłam. – Dlaczego ona znosi tę dziecinadę? Bo myśli, że go potrzebuje?

– Może naprawdę go potrzebuje – odparła powoli Lissa.

– Wątpię – mruknęłam. – Gdyby jutro się wyprowadził, w ciągu tygodnia znalazłaby sobie nowego faceta. Postawię na to ostatnie pieniądze.

– Moim zdaniem ona go kocha – powiedziała Lissa. – A kiedy się kocha, to się kogoś potrzebuje. Znosisz jego wady, bo one jakoś cię dopełniają.

– Miłość to tylko usprawiedliwienie, żeby znosić szajs, którego nie powinno się tolerować – oznajmiłam, a Jess

wybuchnęła śmiechem – Miłość zaburza równowagę, więc to, co powinno być ciężarem, wydaje się lekkie jak piórko. To pułapka.

– Dobra, w takim razie porozmawiajmy o rozwiązanych sznurówkach. – Lissa usiadła wygodniej.



– Co? – spytałam.

– Dexter miał zawsze rozwiązane sznurowadła, prawda? – spytała.

– A co to ma do rzeczy?

– Odpowiedz.

– Nie pamiętam – oznajmiłam.

– Owszem, pamiętasz, i owszem, miał. Do tego był niezręcznym bałaganiarzem, kompletnie niezorganizowanym, i jadł w twoim samochodzie.

– Jadł w twoim samochodzie? – powtórzyła Jess z niedowierzaniem – Zalewasz?

– Tylko jeden raz. – Zignorowałam jej minę. – Ale o co chodzi?

– Chodzi o to, że gdyby robił to ktoś inny, pozbyłabyś się go w ciągu sekundy – wyjaśniła Lissa. – A dla Dextera to znosiłaś.

– Nieprawda.

– Prawda. – Wzięła więcej skittles. – Jak myślisz, dlaczego przymykałaś na to oko?

– Tylko nie mów, że z miłości – ostrzegłam ją.

– Nie, ale może zdołałabyś go pokochać.

– Mało prawdopodobne – oceniłam.

– Wyjątkowo mało – zgodziła się ze mną Jess. – Ale

pozwoliłaś mu jeść w swoim samochodzie, więc chyba wszystko jest możliwe.

– Inaczej się przy nim zachowywałaś – ciągnęła Lissa. –

Pojawiło się coś, czego wcześniej nie zauważałam. Może miłość.

– Albo pożądanie – dodała Jess.

– Może. Ale nigdy z nim nie spałam.

Jess uniosła brwi.

– Nie?

Pokręciłam głową.

– Prawie, ale nie.

Tamtej nocy, gdy zagrał dla mnie na gitarze akordy ojca, byłam gotowa.

Widywaliśmy się wtedy już od kilku tygodni, co kiedyś uważałabym za rekord, jednak kiedy się zbliżyliśmy, odsunął się odrobinę, położył moje dłonie na swojej piersi i wtulił

twarz w moją szyję. To był subtelny, ale jasny przekaz – nie teraz.

Zastanawiałam się, na co czekał, ale jakoś nie było okazji spytać, a teraz już miałam pozostać w niewiedzy.

– Oto dowód! – Lissa strzeliła palcami.

– Dowód na co? – spytałam.

– Z innym facetem byś się przespała. Bez wahania.

– Lepiej uważaj. – Wycelowałam w nią palec. – Zmieniłam się.

– Ale zrobiłabyś to, prawda? – Ta nowa Lissa była strasznie uparta. – Dobrze go znałaś, lubiłaś, chodziliście ze sobą już jakiś czas, a jednak nie poszłaś z nim do łóżka. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – przyznałam.

– Otóż dlatego, że coś dla ciebie znaczył – oświadczyła dobitnie. – To było coś więcej niż facet na jedną noc. To właśnie ta zmiana. Wszystkie to widziałyśmy. To mogło być coś poważnego i dlatego się wystraszyłaś.

Zerknęłam na Jess, ale drapała się po kolanie, celowo nie wdając się w dyskusję. Zresztą Lissa nie miała o niczym pojęcia.

To Dexter nie chciał, nie ja. Inna sprawa, że nie nalegałam, a mogłam. Zresztą to nic nie znaczyło.

– Widzisz? – Lissa była bardzo z siebie zadowolona. –

Zatkało cię.

– Nieprawda – obruszyłam się. – Po prostu w życiu nie słyszałam takich głupot.

– Z Dexterem zbliżyłaś się do miłości jak nigdy –

powiedziała cicho. – Do prawdziwej miłości. I uciekłaś w ostatniej chwili. Ale było blisko. Mogłabyś go pokochać.

– Mowy nie ma – odparłam – Za nic.

Gdy późną nocą dotarłam do domu, uświadomiłam sobie, że tym razem to ja nie mogę dostać się do środka. Oddałam klucze matce i nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić o nie z powrotem.

Na szczęście był już Chris. Zapukałam w okno nad zlewem kuchennym, a on podskoczył i pisnął jak dziewczyna.

– Jej – powiedział, otwierając drzwi z tyłu, już opanowany. –

Nie masz kluczy?

– Mam, ale nie przy sobie. – Przytrzymałam drzwi, żeby nie trzasnęły. –

Weźmiesz mamę i Don tkwili na dworze.

Opowiedziałam mu całą historię z drastycznymi szczegółami, a on słuchał, pożerając kanapkę z masłem orzechowym, kiwał głową i przewracał oczami we właściwych momentach.

– Niemożliwe – oznajmił głośno, gdy skończyłam. Musiałam go uciszyć, bo w naszym domu ściany były cienkie. – Co za dupek. Wrzeszczał na nią?

– No wiesz, nie z wściekłością, tylko po obraźliwsku, jak dzieciak.

– Nic dziwnego, to gówniarz – skomentował Chris. – Jeśli następnym razem potknę się o pustą puszkę ensure na werandzie, to kogoś zamorduję.

Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie, jak bardzo lubię brata. Mimo różnic dobrze się dogadywaliśmy.

– Chris? – odezwałam się, gdy nalewał sobie mleka.

– Tak?

Usiadłam przy stole i przejechałam dłonią po blacie, wyczuwając drobinki cukru albo soli.

– Dlaczego zdecydowałeś się pokochać Jennifer Anne? – zapytałam.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, po czym głośno przełknął mleko, co zawsze denerwowało matkę.

– Zdecydowałem się pokochać? – powtórzył.

– Wiesz przecież, o co mi chodzi.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową.

– Dlaczego poczułeś, że warto ryzykować? – wyjaśniłam.

– To nie jest finansowa inwestycja, Remy. – Włożył mleko do lodówki. – Nie da się tego wykalkulować.

– No to o co chodzi?

– Nie wiem.

– Wszystko jedno. – Wzruszyłam ramionami.

Odstawił szklankę do zlewu i zalał wodą.

– Chodzi ci o to, co sprawiło, że ją pokochałem?

Nie byłam pewna, czy chcę dalej dyskutować.

– Nie – zaprzeczyłam – Raczej o to, czy myślałeś o tym, czy chcesz się otworzyć, no wiesz, na niebezpieczeństwo zranienia, jeśli pozwolisz sobie na więcej i ruszysz sprawę naprzód.

Chris uniósł brwi.

– Co to za bełkot? Jesteś pijana?

– Nie – warknęłam – Boże, to proste pytanie.

– Tak, jasne. Takie proste, że nawet nie wiem, o co pytasz. –

Zgasił światło nad zlewem i wytarł ręce w ściereczkę. – Chcesz wiedzieć, czy zastanawiałem się, czy się w niej zakochać?

– Mniejsza z tym – burknęłam i wstałam – Nawet nie wiem, czego chcę się dowiedzieć. Zobaczmy się rano.

Ruszyłam na korytarz i ujrzałam swoje klucze na stoliku przy schodach.

Wsunęłam je do tylnej kieszeni i weszłam na schody.

– Remy? – Chris stanął na progu kuchni.

– Tak?

– Jeśli ciekawi cię, czy zastanawiałem się, czy ją pokochać, to odpowiedź brzmi: nie. Ani trochę. Tak się po prostu stało. Kiedy to sobie uświadomiłem, byłem już zakochany.

Stałam na schodach i patrzyłam na niego.

– Nie rozumiem – odparłam.

– Czego?

– Niczego.

Chris zgasił światło w kuchni.

– Nie przejmuj się – powiedział, mijając mnie na schodach. –

Któregoś dnia zrozumiesz.

Zniknął na korytarzu, a po chwili usłyszałam, jak zamyka drzwi, po czym mamrocze coś cicho do telefonu podczas

obowiązkowej nocnej pogawędki z Jennifer Anne. Umyłam twarz i zęby, a kiedy szłam do łóżka, zatrzymałam się przy uchylonych drzwiach do pokoju z jaszczurkami.

W większości terrariów panował mrok. Światła były uruchamiane przez timer, który włączał je i wyłączał w odpowiednich cyklach, pewnie po to, by jaszczurki wierzyły, że siedzą na pustyni, w słońcu, a nie w zamknięciu. Jednak na środkowej półce w głębi dawnej garderoby światło nadal się paliło.

Stało tam szklane terrarium, wysypane piaskiem i wyłożone gałązkami, na których siedziały dwie jaszczurki. Gdy podeszłam bliżej, okazało się, że są splecione – nie jak podczas godów, lecz niemal czule, jakby się tuliły. Obie miały zamknięte oczy, a gdy oddychały, widać było ich żebra.

Uklęknęłam przed terrarium, przyciskając palec do szkła.

Jaszczurka na górze otworzyła oczy i na mnie spojrzała.

Wiem, że to nic nie znaczyło. To były zwykłe jaszczurki, pewnie o inteligencji dżdżownicy. Wydały mi się jednak bardzo ludzkie i nagle przypomniałam sobie niedawne wydarzenia: zerwanie z Dexterem, zmartwioną twarz matki, palec Dona i wreszcie Chrisa, który kręcił głową, nie mogąc ubrać w słowa tego, co mnie wydawało się bardzo proste. A wszystko

sprowadzało się do miłości lub jej braku. Do podejmowania ryzyka bez żadnej gwarancji na sukces.

Popatrzyłam na jaszczurkę przed sobą, zastanawiając się, czy w końcu mi odbiło. Najwyraźniej uznała, że nie stanowią zagrożenia, i zamknęła oczy. Pochyliłam się, ale włączył się timer i światło powoli zgasło. Pokój pogrążył się w ciemności.

### **Rozdział trzynasty**

– Remy, skarbie, chodź na chwilkę, dobrze?

Wstałam z biurka recepcji i odłożyłam faktury na mleczka do ciała, po czym weszłam do pokoju manikiuru i pedikiuru, gdzie nasza najlepsza manikurzystka Amanda pracowniczo czyściła stolik. Za nią stała Lola z nożyczkami w dłoni.

– Co się dzieje? – zapytałam podejrzliwie.

– Usiądź – nakazała mi Amanda.

Zanim się zorientowałam, już tkwiłam na krześle. Talinga zakradła się z tyłu i szybko zawiązała mi na szyi fryzjerską pelerynę.

– Chwila – powiedziałam, gdy Amanda chwyciła mnie za rękę i błyskawicznie położyła je na stoliku.

Rozsunęła moje palce i agresywnie zabrała się do wygładzania paznokci pilniczkiem.

– Błyskawiczna metamorfoza – oświadczyła Lola, unosząc moje włosy. – Troszkę manikiuru, lekkie cięcie, odrobina makijażu...

– Mowy nie ma. – Wyrwałam się z jej uścisku. – Nie ruszysz moich włosów.

– Tylko podetnę! – Przygwoździła mnie z powrotem do

fotela. – Niewdzięczna dziewczyno, większość kobiet zapłaciłaby za to mnóstwo forsy, a ty masz za darmo!

– Na pewno nie – wymamrotałam, a one wybuchnęły śmiechem – W czymtkwi haczyk?

– Nie ruszaj rękami, bo obetnę ci więcej niż skórę – ostrzegła mnie Amanda.

– Nie ma haczyka – odparła Lola beztrąsko, a ja usłyszałam za sobą szcęknięcie.

Mój Boże, naprawdę obcinała mi włosy. – To premia.

Popatrzyłam na Talingę, która testowała na dłoni szminki, zerkając na mnie co kilka sekund.

– Premia? – powtórzyłam.

– Tak, bonus. Dodatek! – Lola zaśmiała się głośno. –

Wyjątkowy prezent dla naszej panny Remy.

– Prezent – powtórzyłam znowu. – Czyli co?

– Zgadnij. – Amanda uśmiechnęła się do mnie, nakładając czerwony lakier na mój mały paznokieć.

– Większy niż pojemnik na chleb? – zapytałam.

– Chciałabyś. – Teraz śmiały się prawie histerycznie, jakby to było niezmiernie zabawne.

– Mówcie, o co chodzi – nakazałam im surowo. – Albo stąd znikam. I nie myślcie, że tego nie zrobię.

Przez chwilę starały się opanować, aż w końcu Talinga odetchnęła głęboko.

– Remy, skarbie – oznajmiła. – Znalazłyśmy ci faceta.

– O Boże. A ja myślałam, że dostanę jakieś darmowe zabiegi.

Coś, czego mi potrzeba.

– Potrzeba ci faceta. – Amanda skupiła się na następnym paznokciu.

– Nie, to mnie potrzeba faceta. Remy potrzeba chłopaka – poprawiła ją Talinga.

– Miłego chłopaka – dodała Lola. – A dziś masz szczęśliwy dzień, bo właśnie takiego znalazłyśmy.

– Zaponnijcie – warknęłam – To ten, z którym już próbowałyście mnie umówić? Ten dwujęzyczny o pięknych dłoniach?

– Będzie tu o szóstej. – Lola całkowicie mnie zignorowała. –

To Paul, ma dziewiętnaście lat i myśli, że przychodzi po próbki dla matki. A zamiast tego zobaczy ciebie, z pięknymi włosami...

– Z makijażem – dodała Talinga.

– I z kolorowymi paznokciami – zakończyła Amanda. –

Tylko przestań się wiercić, do cholery.

– Padnie z zachwytu – wpadła jej w słowo Lola. Przycięła jeszcze dwa kosmyki i przejechała mi ręką przez włosy. – Mój Boże, tyle rozdwojonych końcówek. Wstyd!

– Dlaczego, na litość boską, uznaliście, że się na to zgodzę?

– zapytałam powoli.

– Bo jest przystojny – oznajmiła Talinga.

– Bo powinnaś – dodała Amanda.

– Bo możesz. – Lola zdjęła ze mnie pelerynę.

Muszę przyznać, że miały rację. Paul był przystojny, a także dowcipny, nie mylił mojego imienia, mocno ścisnął rękę, faktycznie miał ładne dłonie i wydawał się niezrażony tym, że ewidentnie wpadł w pułapkę. Wymieniliśmy nieufne spojrzenia na wieść, że Lola „zupelnym przypadkiem” dysponuje kuponem na darmową kolację w mojej ulubionej meksykańskiej restauracji i nagle nabrała niezachwianej pewności, że nigdy go nie

wykorzysta.

– Nie masz wrażenia, że to jest poza naszą kontrolą? – spytał mnie Paul.

– Owszem – przytaknęłam – Ale przynajmniej kolacja będzie za darmo.

– Masz rację – mruknął. – Tak czy owak, nie czuj się zobowiązana.

– Ty też nie.

Staliśmy nieruchomo, podczas gdy Lola, Talinga i Amanda w sąsiednim pokoju milczały tak dobitnie, że słychać było burczenie w czyimś brzuchu.

– Chodźmy tam – zaproponowałam – Niech mają frajdę.

– Jasne. – Uśmiechnął się do mnie. – Przyjadę po ciebie o siódmej, dobrze?

Zapisałam mu adres na wizytówce Joie i patrzyłam, jak szedł

do auta. Był przystojny, a ja nie miałam chłopaka. Minęły niemal trzy tygodnie od zerwania z Dexterem i nie tylko sobie z tym radziłam, ale także prawie udało się nam niemożliwe, czyli przyjaźń. Teraz trafił mi się fajny facet. Dlaczego miałabym nie skorzystać?

Jedyna możliwa odpowiedź na to pytanie pojawiła się, kiedy szłam do samochodu, szukając w torebce kluczyków i okularów przeciwsłonecznych. Nie patrzyłam dokąd idę, i nawet nie widziałam, jak Dexter wychodzi z Flash Camera i zmierza na parking, dopóki nie usłyszałam głośnego kliknięcia i nie zobaczyłam wycelowanego we mnie jednorazowego aparatu fotograficznego.

– Hej – przywitał się i przewinął film, po czym się pochylił, żeby sfotografować

mnie z innej perspektywy. – Świetnie wyglądasz. Jakaś randka?

Zawahałam się, a on zrobił zdjęcie.

– Wiesz, szczerze mówiąc... – zaczęłam.

Stał nieruchomo i tylko spoglądał na mnie przez wizjer.

Potem opuścił aparat i uderzył się w czoło.

– O rany – wymamrotał. – Niezręczna sytuacja. Wybacz.

– Zostałam wrobiona – wyznałam szybko. – Przez Lolę.

– Nie musisz się tłumaczyć. Przecież wiesz.

Zapadła zbyt długa cisza.

– No dobra – powiedziałam w końcu.

– O kurczę. Znowu krępująca chwila. Zakłopotanie do kwadratu. – Nerwowo wzruszył ramionami. – W porządku. W końcu to wyzwanie, prawda? Nie będzie łatwo.

Spojrzałam na swoją torebkę i uświadomiłam sobie, że

kluczyki schowałam do kieszeni. Wyciągnęłam je, zadowolona, że mam się na

czym skupić.

– No to kim jest ten facet? – spytał Dexter lekkim tonem.

– Daj spokój.

– Nie, poważnie. O tym rozmawiają przyjaciele. To zwykłe pytanie, jak o pogodę.

Zastanawiałam się przez chwilę. Wiedzieliśmy, w co się pakujemy. Zjedzenie dziesięciu bananów też nie było proste.

– Syn klientki – odparłam w końcu. – Poznałam go dwadzieścia minut temu.

– A, czarna honda? – Zakołysał się na obcasach.

Skinęłam głową.

– Widziałem go. Sprawiał wrażenie solidnego, godnego naśladowania gościa.

Godny naśladowania gość, pomyślałam. Tak jakby

kandydował na przewodniczącego samorządu studenckiego albo zaproponował

babci przeprowadzenie jej przez ulicę.

– To tylko kolacja – powiedziałam, kiedy Dexter robił następne zdjęcie, tym razem, nie wiedząc czemu, moich stóp. – O co chodzi z tym aparatem?

– Wadliwa partia – wyjaśnił. – Ktoś zostawił pudło na słońcu, więc plastik się zdeformował. Dyrekcja zarządziła, że możemy sobie wziąć aparaty, jeśli mamy ochotę.



To trochę tak jak z mandarynkami. Trudno nie wziąć czegoś, co jest za darmo.

– Ale czy te zdjęcia w ogóle wyjdą?

Dopiero teraz zauważyłam, że aparat jest powykrzywiany.

Wyglądało na to, że nawet nie da się z niego wyjąć filmu.

– Nie wiem – Zrobił jeszcze jedno zdjęcie. – Może tak, może nie.

– Raczej nie – oceniłam – Film pewnie diabli wzięli.

– A może wcale nie? – Uśmiechnął się szeroko i zrobił sobie zdjęcie. – Może wszystko będzie dobrze? Nie wiadomo, dopóki tego nie wywołamy.

– Pewnie marnujesz czas. I po co?

Opuścił aparat i popatrzył na mnie uważnie.

– To zasadnicze pytanie, co? – westchnął. – W tym problem.

Myślę, że wyjdą. Może nie będą idealne, okażą się nieostre albo połowiczne, niemniej warto spróbować. No, ale taki już jestem.

Stałam tam mrugając, a on zrobił mi jeszcze jedno zdjęcie.

Patrzyłam prosto na niego.

– Muszę iść – oznajmiłam.

– Pewnie. – Uśmiechnął się. – Do zobaczenia później.

Gdy wracał do zakładu fotograficznego, wsunął aparat do kieszeni. Może faktycznie zamierzał wywołać zdjęcia. Może uzna, że są fantastyczne: moja twarz, moje stopy, salon Joie za moimi plecami. A może wyjdą całkiem czarne, bez choćby zarysu twarzy czy sylwetki. W tym tkwił problem. Ja nie marnowałabym czasu na coś takiego, a on angażował się bez wahania. Ludzie pokroju Dextera szli za ryzykiem jak psy za zapachem, myśląc tylko o tym, co może ich czekać, a nie o tym, co prawdopodobnie ich spotka.

Dobrze, że się tylko przyjaźnimy, i nic poza tym. O ile w ogóle się przyjaźnimy. W życiu by nam się nie udało.

Za nic.

Minęły dwa dni od awantury z Donem. Jak dotąd udawało mi się go unikać: wchodziłam do kuchni tylko wtedy, gdy go nie było w domu albo brał prysznic. Z matką było łatwiej. Zatopiła się w powieści i z szybkością błyskawicy pędziła przez ostatnie sto stron. Nawet gdyby w salonie wybuchła bomba, nie odciągnęłoby jej to od Melanie, Brocka Dobbina oraz ich niemożliwej miłości.

Dlatego właśnie byłam zaskoczona, gdy wróciłam z pracy, by przygotować się na randkę z Paulem, i ujrzałam matkę przy kuchennym stole. Wpatrywała się w obraz nagiej kobiety, tak zamyślona, że podskoczyła, gdy dotknęłam jej ramienia.

– Och, Remy. – Przyłożyła palec do skroni. – Przestraszyłaś mnie.  
– Przepraszam – Usiadłam naprzeciwko niej. – Co robisz?  
– Czekam na Dona. – Poprawiła włosy. – Idziemy na kolację z jakimiś szuchami z Toyoty, a on strasznie się denerwuje. Myśli, że jeśli nie zrobimy na nich wrażenia, obetną mu dodatki.

– Co mu obetną?

– Sama nie wiem – westchnęła. – Coś handlowego. Przez cały wieczór będę słuchała handlowej gadaniny. Musiałam zostawić Melanie i Brocka w brukselskiej kafejce, choć właśnie nadchodzi jej mąż, z którym jest w separacji. Ostatnie, o czym chcę teraz myśleć, to wyniki sprzedaży i zniżki. – Spojrzała tęsknie w kierunku gabinetu. – Mój Boże, nie chciałabyś czasem się rozdziwić?

Nagle, nie wiedzieć czemu, pomyślałam o Dexterze z wycelowanym we mnie jednorazowym, zdeformowanym aparatem.

– Czasem tak. – Odepchnęłam od siebie tę myśl. – Czasem bym chciała.

– Barbaro! – krzyknął Don z oddali. Nie widziałam go, ale jego głos brzmiał bardzo donośnie. – Gdzie mój czerwony krawat?!

– Twój co, kochanie?! – zawołała.

– Czerwony krawat, ten, który miałem na kolacji w interesach. Widziałas go?

– Skarbie, nie wiem – Odwróciła się na krześle. – Może gdybyś...

– Nieważne, wezmę zielony. – Usłyszałyśmy trzaśnięcie drzwi.

Matka uśmiechnęła się do mnie, jakby Don był nie wiadomo kim, po czym poklepała mnie po ręce.

– Dość o mnie. Co tamu ciebie? – spytała.

– Dziś Lola umówiła mnie na randkę w ciemno – odparłam.

– Na randkę w ciemno? – Popatrzyła na mnie czujnie.

– Już poznałam tego chłopaka, w salonie – poinformowałam ją. – Wydaje się bardzo miły, a zresztą to tylko kolacja.

– Tylko kolacja. – Matka pokiwała głową. – Tak jakby nic nie mogło się zdarzyć w trakcie trzydaniowego posiłku podlanego winem. Dobrze – powiedziała nieoczekiwanie. – Powinnam to zapisać.

Patrzyłam, jak sięga po kopertę ze starym rachunkiem za prąd, i po długopis.

„Trzydaniowy posiłek, tylko kolacja, nic nie mogło się zdarzyć”, nabazgrała, dodała wielki wykrzyknik i wsunęła kopertę pod cukiernicę, gdzie zapewne miała leżeć aż do dnia, w którymogarnięta niemocą twórczą matka znajdzie cenny zapisek.

Upychała takie gryzmoły po całymdomu, w rozmaitych kątach, na półkach albo wykorzystywała jako zakładki w

książkach. W pudełku tamponów pod umywalką znalazłamkiedyś notatkę o fokach, które potemstały się głównym wątkiem *Wspomnień z Truro*. Widać nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się natchnienie.

– Idziemy do La Brei – dodałam – I pewnie zjemy tylko jedno danie. Długo tamnie posiedzimy, więc mała szansa, żeby coś z tego wyszło.

– Nigdy nie wiadomo, Remy. – Uśmiechnęła się do mnie. –

Miłość jest nieprzewidywalna. Czasemznasz mężczyznę od lat i nagle pewnego dnia bum! Widzi się go inaczej. A czasami dzieje się to od pierwszego spojrzenia.

Dlatego miłość jest wspaniała.

– Nie zakocham się w nim. To tylko randka – przypomniałammatce.

– Barbaro! – wrzasnął Don. – Co zrobiłaś z moimi spinkami do mankietów?

– Kochanie, nie dotykałamtwoich spinek. – Znów się odwróciła.

Nasłuchiwała przez chwilę, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie.

– Boże, nie wiem, jak ty z nim wytrzymujesz – mruknęłam cicho.

Zuśmiechemodgarnęła włosy z mojej twarzy.

– Nie jest taki zły.

– Rozpieszczony dzieciak – oświadczyłam – A ten jego ensure doprowadziłby mnie do szału.

– Może i tak – zgodziła się. – Ale ja go kocham. Jest dla mnie dobry, a poza tym nie ma idealnych związków. Czasemtrzeba trochę ustąpić, iść na kompromis. Dać coś z siebie, żeby zyskać coś większego. Tak, Don ma irytujące zwyczaje, ale podejrzewam, że ja również.

– Przynajmniej zachowujesz się jak dorosły człowiek – zauważyłam ze świadomością, że to nie do końca prawda. – A on nie umie się sam ubrać.

– Nasza miłość jest większa niż te drobne różnice – ciągnęła, jakby mnie nie słyszała. – To właśnie klucz do związku. Wyobraź

sobie duży tort. Miłość w związku to największy kawałek. Miłość może wiele wynagrodzić, Remy.

– Miłość to ściema. – Sięgnęłam po solniczkę.

– Skarbie, skądże! – Uścisnęła mi rękę. – Chyba w to nie wierzysz, co?

– Jeszcze nie mam dowodów na nic innego. – Wzruszyłam ramionami.

– Och, Remy... – Splotła palce z moimi. Jej dłonie były drobniejsze i chłodne. – Jak możesz tak mówić?

Tylko na nią patrzyłam. Po jakichś trzech sekundach załapała i puściła moją rękę.

– Och, to, że kilka małżeństw mi nie wyszło, nie znaczy, że to nieprawda.

Przeżyłam wiele dobrych lat z twoim ojcem, Remy, a najlepsze, że mam dzięki temu Chrisa i ciebie. Cztery lata z Haroldem były cudowne, aż do samego końca. Nawet z Martinem i Winem byłam szczęśliwa, przynajmniej przez większość czasu.

– Ale wszystkie te związki się skończyły – zauważyłam –

Nie wyszły.

– Niektórzy by tak powiedzieli. – Zastanawiała się przez chwilę. – Osobiście jednak myślę, że byłoby mi gorzej w samotności. Pewnie, ochroniłabym serce, ale czy naprawdę wyszłabym na tym lepiej? Czy mądrzej byłoby trzymać się na dystans z obawy, że coś nie potrwa wiecznie?

– Przynajmniej byłabyś bezpieczna. Lepiej jest, kiedy ty dyktujesz warunki i nikt nie ma dostępu do twojego serca.

Znowu się zadumała, tym razem dłużej.

– To prawda, że swoje wycierpiałam – odezwała się w końcu.

– Prawdą jednak jest także to, że kochałam i byłam kochana, a to ważne. Moim zdaniem ważniejsze. Gdy patrzę za siebie, na życie, zawsze dostrzegam, że najważniejsza dla mnie była miłość.

Problemy, rozwody, smutek... Ich też nie brakowało, ale to tylko małe kawałki tego tortu, o którym mówiłyśmy wcześniej.

– A ja uważam, że trzeba się chronić – oznajmiłam – Nie można zdradzać samej siebie.

– Naturalnie, że nie – przyznała z przekonaniem – Ale

trzymanie ludzi na dystans i pozbawianie się miłości nie dodaje siły. Jeśli już, to osłabia, bo człowiek robi to ze strachu.

– Ze strachu przed czym? – zapytałam

– Przed ryzykiem – odparła po prostu. – Przed poddaniem się uczuciu. A przecież

dzięki ryzyku jesteście, kim jesteście. To się nazywa życie, Remy. Obawa przed próbą to marnowanie życia.

Popeliłam wiele błędów, ale niczego nie żałuję. Przynajmniej nie stałam z boku, zastanawiając się, jak by to było naprawdę żyć.

Siedziałam w milczeniu, niepewna, co powiedzieć.

Uświadomiłam sobie, że niepotrzebnie litowałam się nad matką.

Zupełnie nie rozumiałam, że nie była nieszczęśliwa. Jej zdaniem rozstanie z Dexterem tylko mnie osłabiło, nie wzmocniło.

– Barbaro, musimy być na miejscu za dziesięć minut, więc...

– Don zjawił się w progu kuchni, w przekrzywionym krawacie i z marynarką przełożoną przez rękę. Znieruchomiał na mój widok. –

O, Remy. Cześć.

– Cześć – odparłam.

– Ojej, krawat. – Matka wstała, podeszła do Dona i poprawiła węzeł. – Już.

– Musimy iść. – Don pocałował ją w czoło, a ona cofnęła się o krok. – Gianni nie znosi czekać.

– No to chodźmy – powiedziała. – Remy, skarbie, baw się dobrze. I pomyśl o tym, co mówiłam.

– Pomyślę – obiecałam – Wy też się dobrze bawcie.

Don ruszył do samochodu z kluczykami w dłoni, ale matka podeszła do mnie i położyła ręce na moich ramionach.

– Nie pozwól, żeby historia matki zrobiła z ciebie cyniczkę, Remy – powiedziała cicho. – Dobrze?

Za późno, pomyślałam, gdy całowała mnie w policzek.

Patrzyłam, jak podchodzi do auta. Don pomógł jej wsiąść. W tym jednym momencie pomyślałam, że rozumiem, o czym mówiła.

Może w małżeństwie, tak jak w życiu, nie chodzi tylko o wielkie chwile i o to, czy były dobre, czy złe. Może wszystko sprowadza się do drobiazków, takich jak systematyczna, wzajemna pomoc. To one wzmacniają nawet najdelikatniejsze więzi.

Miałam szczęście. Paul okazał się nie najgorszym wyborem na randkę w ciemno.

Byłam trochę nieufna, kiedy po mnie podjechał, ale, o dziwo, natychmiast zaczęliśmy gadać o college' u. Jeden z najlepszych licealnych przyjaciół Paula studiował w Stanfordzie.

– Mają tam świetny campus – powiedział Paul, gdy mariachi z La Brei zaprezentowali kolejną wersję *Happy Birthday*. – Do tego nie brakuje tam

profesorów, więc studenci nie mają do czynienia z samymi asystentami.

Skinęłam głową.

– Słyszałam, że studenci mają tam pod górkę.

– Daj spokój. – Uśmiechnął się. – Skoro się tam dostałaś, to znaczy, że jesteś bardzo bystra. Nie będziesz miała problemów. Na pewno świetnie sobie poradziłaś z egzaminami. Mam rację?

– Ani trochę – zaprzeczyłam stanowczo.

– Ja jednak jestem kretynek – ciągnął, puszczając moje słowa mimo uszu. – Dlatego będę dalej studiował w stanowym college’u i jechał na trójkach, po państwowemu, gdy ty już zaczniesz rządzić światem. Wyślij mi pocztówkę albo wpadnij do mnie do pracy, gdzie chętnie dorzucę ci dodatkową porcję frytek, bo wiesz, w sumie się kolegujemy i w ogóle.

Uśmiechnęłam się do niego. Paul pochodził z zamożnej rodziny i lubił oczarowywać ludzi, ale i tak wzbudził moją sympatię. Należał do facetów, którzy łatwo dogadują się ze wszystkimi, bo z każdym mają coś wspólnego. Rozmawialiśmy też o narciarstwie wodnym (nie radził sobie, ale był uzależniony), o jego dwujęzyczności (władał hiszpańskim, bo jego babka była z Wenezueli), i o tym, że po wakacjach wracał do bractwa Sigma Nu, do studiowania psychologii i kierowania drużyną koszykówki („dużo serca, mało umiejętności”, jak ją opisał). Nie był

głupkowaty i nie śmiałam się do rozpuku z jego żartów, a do tego nie zachowywał się niezdarne i miał związane sznurowadła.

Zanim się zorientowałam, było po kolacji i tylko rozmawialiśmy, nawet gdy kelner zabrał talerze, subtelnie dając nam do zrozumienia, że na nas pora.

– Okej – powiedział, gdy ku uldze kelnera wreszcie wyszliśmy. – Jeśli mam być całkiem szczerzy, muszę przyznać, że trochę się obawiałem

– A ja, jeśli mam być całkiem szczerza, muszę przyznać, że nie byłeś w tym osamotniony.

Przy samochodzie zdumiał mnie, otwierając przede mną drzwi. Pomyślałam, że to miłe, nawet bardzo.

– Gdyby to się okazało totalną klęską, powiedziałbym ci, że świetnie się bawiłem, a potem odwiózłbym cię do domu, odprowadził do drzwi i uciekł pełnym gazem, ignorując znaki stopu.

– Co za klasa – zauważyłam.

– Ale ponieważ to nie była kłeska, zastanawiałem się, czy poszłabyś ze mną na imprezę. Przyjaciele zorganizowali balangę nad basenem. Jesteś zainteresowana?

Zastanawiałam się przez chwilę. Dotąd wieczór był bardzo przyjemny i nie zdarzyło się nic, czego bym żałowała ani o czym musiałabym później myśleć. Wszystko szło wręcz podręcznikowo, ale z jakiegoś powodu nie mogłam zapamiętać o słowach matki.

Może i faktycznie trzymałam się na dystans, bo do tego się to sprawdzało. Tyle tylko, że nigdy nic nie wiadomo.

– Pewnie – odparłam – Chodźmy.

– Świetnie. – Z uśmiechem uruchomił silnik.

Gdy cofał samochód, zobaczyłam, jak na mnie zerka, i zorientowałam się, że bomba poszła w górę. Dziwne, że tak łatwo było zacząć wszystko na nowo po zaledwie trzech tygodniach.

Myślałam, że Dexter bardziej na mnie wpłynie i jakoś mnie zmieni. Teraz byłam innym chłopakiem, w innym aucie i cały cykl zaczynał się od początku. Dexter był aberracją. Teraz działa się to, do czego przywykłam, i dobrze się czułam na znanym sobie terenie.

– O rany. – Lissa zanurzyła frytkę w keczupie. – Facet jest jak z żurnala. Jak to możliwe?

– Chyba mam szczęście. – Uśmiechnęłam się, popijając dietetyczną colę.

Lissa wepchnęła następną frytkę do ust.

– Wszyscy fajni są zajęci – poskarżyła się.

– Czy to jęczenie oznacza, że P.J. z KaBoom ma dziewczynę?

– Nie nazywaj go tak – burknęła Lissa. – Już raz zrywali tego lata. I nie przyszła na żadną imprezę promocyjną.

– Suka – skomentowała Jess, a ja wybuchnęłam śmiechem.

– To niesprawiedliwe, że zostałam porzucona, a facet, którego lubię, nie jest do wzięcia. Tymczasem Remy najpierw trafia się chłopak z fajnej kapeli, a potem przystojniak z college' u

– ciągnęła Lissa, całkiem nas ignorując. – To niesprawiedliwe. –

Znów połknęła frytkę. – Na dodatek nie mogę przestać jeść. Inna rzecz, że nikogo to nie obchodzi, bo nie da się mnie kochać.

– Błagam... – jęknęła Jess. – Zejdź z tego tematu.

– Chłopak z fajnej kapeli? – powtórzyłam.

– Dexter był miły. – Otarła usta. – Teraz masz idealnego Paula, a ja tylko

niewyczerpany zapas KaBoomi i apetyt kierowcy ciężarówki.

– Nie ma nic złego w zdrowym apetycie – poinformowała ją Jess. – Faceci lubią krągłości.

– Już mam krągłości – odparła Lissa. – Co będzie następne?

Zwały tłuszczu?

Chloe, najchudsza z nas, parsknęła śmiechem.

– Można i tak to nazwać – potwierdziła.

Lissa z westchnieniem odsunęła tacę.

– Muszę iść. Za piętnaście minut mam być na mityngu sportowym Lekkoatleci z całego stanu czekają na KaBoom.

– Nie zapomnij się zabezpieczyć – zażartowała kąśliwie Jess.

Lissa się skrzywiła. Miała już po dziurki w nosie dowcipów o KaBoom, ale same się narzucały.

Gdy byłam w salonie, Paul wpadł, żeby się ze mną zobaczyć po pracy na basenie, gdzie był ratownikiem. Od razu zauważyłam, że dwie drużyny, które czekały na manikiur, spojrzały na niego pożądliwie, gdy wszedł, śniady i pachnący olejkiem do opalania oraz chlorem.

– Hej – powiedział, a ja wstałam i cmoknęłam go w usta, bo właśnie na takim etapie znajdował się nasz związek. Minęło półtora tygodnia i widywaliśmy się na lunchach, kolacjach i imprezach. – Wiem, że dziś wieczorem jesteś zajęta, ale chciałem się przywitać.

– Witaj – powiedziałam.

– Witaj. – Uśmiechnął się.

Naprawdę był przystojny. Żałowałam, że nie umówiłam się z nim po raz pierwszy wtedy, gdy Lola usiłowała nas zeswatać. Całe lato wyglądałoby wówczas inaczej, zupełnie inaczej.

Paul spełniał wszystkie kryteria na mojej liście. Był wysoki, przystojny, nie miał irytujących nawyków i był starszy ode mnie, ale nie więcej niż trzy lata. Nieźle się ubierał, jednak nie zwracał

uwagi na stroje bardziej niż ja. Dbał o higienę osobistą w dopuszczalnym zakresie (woda kolońska tak, pianka i samoopalacz nie) i nie brakowało mu inteligencji, więc radził sobie podczas rozmowy, ale nie był jajogłowym.



Najważniejsze jednak było to, że pod koniec lata wracał na studia. Już ustaliliśmy, że rozstajemy się w przyjaźni i każde pójdzie w swoją stronę.

I tak trafił mi się miły, przystojny, szarmancki chłopak, który miał własne życie i własne hobby, bardzo dobrze całował, płacił za kolacje i nie protestował przeciwko moim warunkom. A to wszystko wzięło się z randki w ciemno. Niesamowite.

– Wiem, że dzisiaj spotykasz się z koleżankami – powiedział, gdy wzięłam go za rękę. – Ale zastanawiałem się, czy mam szansę spotkać się z tobą później.

– Nie bardzo – odparłam – Tylko najgorsze fłdry wystawiają przyjaciółki dla faceta. To wbrew zasadom.

– Aha. – Kiwnął głową. – Warto było spróbować.

Zauważyłam, że po drugiej stronie parkingu furgonetka Truth Squad podjeżdża przed Flash Camera. Ted zaparkował na kopcach dla dostawców i wyskoczył z auta, zatrzasnąwszy drzwi, po czym zniknął w zakładzie.

– A ty co będziesz robił? – spytałam Paula. – Jakieś męskie sprawy?

– Tak – odparł.

Przeglądałam się, jak Dexter idzie za Tedem z powrotem do furgonetki. Zżywieniem zamienili kilka słów, po czym wskoczyli do auta i odjechali w pośpiechu.

– ...jakiś zespół, który chłopaki chcą zobaczyć, gra w klubie przy uniwersytecie.

– Aha – powiedziałam machinalnie.

– Tak. Trey twierdzi, że są naprawdę niezli... O ile pamiętam, kapela nazywa się Spinnerbait.

– Nienawidzimy Spinnerbait – oznajmiłam machinalnie.

– Co?

Spojrzałam na niego, uświadomiwszy sobie, że kompletnie nie śledziłam rozmowy.

– Nie, nic. Słyszałam, że ten zespół jest kiepski.

– Poważnie? – Uniósł brwi. – Trey mówi, że są świetni.

– Na pewno wie lepiej ode mnie – podkreśliłam pośpiesznie.

– Wątpię. – Wychylił się i mnie pocałował. – Zadzwonię dziś wieczorem, dobrze?

– Pewnie. – Skinęłam głową.

Po jego wyjściu dwie drużyny popatrzyły na mnie z uznaniem, jakby należał mi się szacunek tylko za to, że mam takiego faceta. Z

jakiegoś powodu jednak byłam roztargniona: nabiłam pasemka pani Jameson

jako depilację bikini i zażądałam pięćdziesięciu dolarów zamiast pięciu za żywkę do paznokci. Nie mogłam się doczekać końca pracy.

Gdy wsiadałam do samochodu, ktoś zastukał w okno od strony pasażera. To był Lucas.

– Cześć, Remy – powiedział, gdy opuściłam szybę. –

Podwieziesz mnie do domu? Dex już odjechał, więc grozi mi zasuwanie na piechotę.

– Pewnie – odparłam, choć i tak byłam spóźniona.

Miałam podjechać po Lisse, a do żółtego domu jechało się w zupełnie przeciwnym kierunku. Nie mogłam jednak zostawić Lucasa na lodzie.

Wsiadł i natychmiast zaczął bawić się radiem. Kiedyś wyrzuciłabym go za to z auta, ale chwilowo byłam wielkodusznie usposobiona.

– Jakie masz płytki? – spytał, nastawiając jakąś eksperymentalną rozgłośnię studentką.

– Są w skrytce.

Otworzył ją i zaczął gmerać w pudełkach. Były ułożone alfabetycznie, ale tylko dlatego, że kilka dni temu miałam parę wolnych minut, kiedy tkwiłam w korku. Cmokał, wzdychał i mamrotał. Najwyraźniej moja kolekcja nie spełniła jego

oczekiwań. Nie musiałam jednak robić wrażenia na Lucasie.

Dzięki Dexterowi wiedziałam, że nie tylko ma na imię Archibald, ale również to, że w liceum nosił długie włosy i grał w metalowej grupie Residew. Podobno uchowało się jedno jego zdjęcie z tamtych czasów, a dysponował nim Dexter.

Miałam ochotę trochę podrażnić się z Lucasem.

– Słyszałam, że dzisiaj gra Spinnerbait – oświadczyłam.

– Gdzie? – Spojrzał na mnie.

– W Murray's – odparłam.

– A gdzie to jest?

– Po drugiej stronie miasta, przy uniwersytecie. Spory klub. –

Widziałam Lucasa kątem oka. Z poirytowaną miną żuł mankiet koszuli.

– Nienawidzimy Spinnerbait – burknął. – Banda pozerskich dupków. Grają bez polotu, a ich fani to zbieranina blond lalusiów o wymuskanych fizyurkach, jeżdżących samochodami tatusia.

Kompletne bezguścia.

– Ojej.

Trudno było nie zauważyć, że ten opis, chociaż surowy, pasował do Treya, najlepszego przyjaciela Paula, a także do samego Paula, jeśli nie znało się go lepiej. Ale ja oczywiście dobrze go znałam.

– To ważna sprawa – oświadczył Lucas, gdy skręciłam w ich ulicę. – Ale nie tak jak inna.

– Czyli jaka?

Przypomniała mi się furgonetka wyjeżdżająca pędem z parkingu.

Popatrzył na mnie, a z jego miny wywnioskowałam, że się zastanawia, czy w ogóle mi o tym mówić.

– Wewnętrzna sprawa zespołu – powiedział enigmatycznie. – Jesteśmy na krawędzi. W zasadzie.

– Na krawędzi czego? – spytałam cierpliwie.

Wzruszył ramionami, a ja zwołam. W ogródku przed domem dostrzegłam Teda i Scary Mary: siedzieli na leżakach, jedli twinkies, a ona trzymała stopy na jego kolanach.

– Ludzie z Rubber Records chcą się z nami spotkać – dodał Lucas. – W przyszłym tygodniu jedziemy do Waszyngtonu, żeby z nimi pogadać.

– Ho, ho. – Wjechałam na podjazd, gdzie parkowała furgonetka. Ted spojrzał na nas z umiarkowanym zainteresowaniem, a Mary pomachała. – To świetnie.

Lucas wysiadł.

– Spinnerbait dzisiaj gra! – wrzasnął do Teda.

– Nienawidzimy Spinnerbait! – powiedziała Mary.

– Gdzie? – spytał Ted.

Lucas zatrzasnął drzwi i obszedł samochód.

– Dzięki za podwózkę. – Wsunął dłoń w otwarte okno po mojej stronie.

– Facet, co jest grane?! – krzyknął Ted. – W szkodę leżą!

– Nie oddamy ani pędzi! – oświadczył Lucas i obaj się roześmiali.

Zatrąbiłam, a Lucas odwrócił się do mnie.

– Hej, Lucas – powiedziałam.

– Tak?

– Życzę powodzenia. – Nagle ogarnęło mnie zakłopotanie, bo przecież prawie go

nie znalazłam – To znaczy, wam wszystkim.

– Zobaczymy, jak pójdzie – odparł.

Wyjeżdżając, wiedziałam, że bierze skrzynkę po mleku, żeby dołączyć do pikniku Mary i Teda. Po raz ostatni zerknęłam na domi na Małpiszona w drzwiach.

Zastanawiałam się, gdzie jest Dexter, a potem przypomniałam sobie, że to już nie moja sprawa. Pewnie gdyby był w domu, wyszedłby i przywitał się. W końcu byliśmy przyjaciółmi.

Już na ulicy zwołałam przed znakiem stopu. W lusterku wiedziałam Teda, Mary i Lucasa, tyle że już był z nimi Dexter.

Kucał przy skrzynce, która pełniła funkcję prowizorycznego stołu, i odwijał twinkie. Poczulałam ukłucie, jakbym coś traciła. Kierowca za mną zatrąbił niecierpliwie, a ja powróciłam do rzeczywistości i nacisnęłam pedał gazu.

W domu było cicho. Matka wyjechała na konferencję pisarzy, jak zawsze w sierpniu, żeby przez trzy dni i dwie noce prowadzić warsztaty dla przyszłych autorów romansów i delektować się powszechnym podziwem oraz uwielbieniem we Florida Keys.

Chris niemal na stałe zamieszkał u Jennifer Anne, gdzie nie musiał jeść wyłącznie chlebowych dupek i mógł w trakcie śniadania podziwiać kolorowe kwiaty w ogrodzie, a nie olbrzymi

neoklasycy biust. Zazwyczaj lubiłam mieć dom tylko dla siebie, ale sytuacja z Donem nadal była krępująca, więc przyjął propozycję nocowania u Lissy podczas weekendu. Zostawiłam Donowi lakoniczną wiadomość, którą wsunęłam pod rosnącą stertę puszek po ensure na kuchennym stole.

Potem weszłam do gabinetu matki. Na półce przy biurku

leżał stos papierów: jej nowa powieść. Położyłam ją sobie na kolanach i podkuliwszy nogi, zaczęłam przerzucać kartki. Kiedy ostatnio rozstawałam się z Melanie, uświadamiała sobie właśnie, że jej małżeństwo to pomyłka, a było to na stronie mniej więcej dwusetnej. Do strony dwieście pięćdziesiątej zdołała wyjechać z Paryża i wrócić do Nowego Jorku, gdzie pracowała jako

projektantka mody dla okropnej kobiety, która miała wypisane na czole, że jest czarnym charakterem. O dziwo, Brock Dobbin również trafił do Nowego Jorku, ranny po zamieszkach w Trzecim Świecie, gdzie robił karierę jako fotoreporter. Na jesiennych pokazach ujrzeli się po przeciwnych stronach wybiegu i odnowili romans.

Przewertowałam kartki do strony trzechsetnej, gdzie znów wszystko się

posypało. Melanie trafiła do szpitala

psychiatrycznego, łąszzerowano ją lekami, a jej była sześowa przypisała sobie zasługi za całą jesienną kolekcję. Objawił się również porzucony mąż Luc, zaplątany w zawile machlojki finansowe. Brock Dobbin zniknął, ale odnalazłam go na stronie trzysta siedemdziesiątej czwartej w meksykańskim więzieniu, gdzie gnił niesłusznie oskarżony o przemyt narkotyków, a wcześniej uległ wdziękkomiejscowej żebraczki o imieniu Carmelita. Doszłam do wniosku, że matka najwyraźniej straciła węgę, jednak na szczęście odzyskała ją przed stroną czterechsetną.

Wszyscy znaleźli się w Mediolanie i zajęli przygotowaniami do jesiennych pokazów. Luc próbował pogodzić się z Melanie, ale miał złe zamiary. Brock wrócił do pracy i skupił się na tropieniu przekrętów w przemyśle odzieżowym.

Ostatnia kartka miała numer czterysta pięć, a zapisany na niej fragment dotyczył Melanie i Brocka, którzy popijali espresso w mediolańskiej kawiarni.

*Wpatrywali się w siebie, jakby po rozłące byli najbardziej spragnieni nie słów, lecz swego widoku. Dłonie Melanie drżały, choć ukryła je w jedwabnym szalu.*

– Kochasz go? – spytał Brock.

*Jego zielone oczy obserwowały ją z uwagą.*

*Ta bezpośredniość zaszokowała Melanie. Czas spędzony w więzieniu najwyraźniej odmienił Brocka, który stał się porywczy i oczekiwał natychmiastowych odpowiedzi.*

– To mój mąż – odparła.

– Nie o to pytam. – Pochylił się i wziął ją za rękę. Jego palce były twarde, szorstkie, pełne odcisków. – Chcę wiedzieć, czy go kochasz.

*Melanie przygryzła wargę, tłumiąc szloch, którego nie zdołałaby opanować, gdyby była zmuszona wyjawic prawdę o Lucu i jego zimnym sercu. Brock zostawił ją wiele miesięcy temu, nie dając jej wyboru. Myślała, że umarł, a wraz z nim ich miłość.*

*Był niczym duch, który podszedł do niej teraz, gdy siedziała w kawiarni. Miała wrażenie, że przybył do jej świata z krainy umarłych.*

– Nie wierzę w miłość – powiedziała.

*Brock uścisnął jej rękę.*

– Jak możesz mówić tak po tym, co nas połączyło?

– Nic nas nie łączy – oznajmiła i zabrała rękę. – Jestem mężatką i naprawię małżeństwo, bo ...

– Melanie.

– ...bo tamten mężczyzna mnie kocha – dokończyła.

– Ten mężczyzna cię kocha – sprostował Brock z powagą i wskazał palcem

siebie.

– Za późno.

Melanie wstała, czując, że musi ponownie wymazać Brocka z pamięci, by ułożyć sobie życie u boku Luca – ujmująco grzecznego, czarującego mężczyzny. Brock pojawiał się w jej życiu i znikał, składał obietnice, a potem zostawiał ją ze wspomnieniami i ruszał w świat w poszukiwaniu kolejnej przygody. Może Luc nie potrafił jej pokochać tak jak Brock, wypełniając jej ciało i umysł

radością, jednak radość ta nigdy nie trwała długo, a Melanie chciała wierzyć w miłość do grobowej deski.

– Melanie! – zawołał Brock, gdy ruszyła po kocich łbach, otulając się szalem. – Wróć.

Dobrze знаła te słowa. Powtarzała je na dworcu w Pradze, gdy on wsiadał do taksówki, i na pokładzie jachtu, gdy jego łódź

odpływała. To on dotąd odchodził – jednak nie tym razem. Szła przed siebie i nie obejrzała się ani razu.

Brawo, Melanie, pomyślałam, odkładając kartkę. Musiałam jednak przyznać, że bohaterki matki raczej nie odwracały się plecami do pełnego namiętności mężczyzny i nie porzucały go dla mężczyzny z wadami, który zapewni im stałość. Czyżby matka propagowała stabilność? To mnie zaniepokoiło. Przecież

wmawiała mi, że myślę się w kwestii miłości. Było jednak za wcześnie na ferowanie wyroków. Wciąż jeszcze pozostało wiele stron do napisania.

## **Rozdział czternasty**

– Zatrzymaj się przy tym sklepie, dobra? – powiedział Paul do Treya, a on skinął głową i włączył migacz.

Lissa, która siedziała na fotelu pasażera, odwróciła się do mnie i uniosła brwi, wskazując konsolę z tyłu, gdzie znajdowała się nie tylko standardowa popielniczka i uchwyt na kubek, ale i osobny odtwarzacz płyt kompaktowych i ekran telewizora.

– Ten wóz jest niesamowity – wyszeptęła.

Musiałam się z nią zgodzić. Trey jeździł jednym z tych wielkich, w pełni wyposażonych SUV-ów. Auto przypominało statek kosmiczny z mnóstwem błyszczących guzików i

dźwigienek. Zastanawiałam się, czy gdzieś po lewej od kierownicy nie ma przełącznika podpisanego „Prędkość warpowa”.

Podjechaliśmy pod Quik Zip i Trey zgasił silnik.

– Co dla kogo? – zapytał. – Czeka nas długa droga.

– Potrzebujemy zapasów – zgodził się Paul i otworzył drzwi.

– Piwo i...?

– Skittles – dokończyła Lissa, a on się roześmiał.

– Paczka skittles – powiedział. – Remy?

– Dietetyczna cola – poprosiłam

Obaj wyskoczyli z samochodu. Jechaliśmy do pobliskiego miasta, gdzie w letnie wieczory odbywał się maraton filmowy. W zasadzie nie była to podwójna randka, bo Trey miał dziewczynę na uczelni, poza tym zaprosiliśmy też Chloe i Jess. Jess jednak musiała zajmować się braćmi, a Chloe po rzuceniu przelotnego chłopaka latała teraz za jakimś facetem poznanym w centrum handlowym

– Gdybym ja miała taki samochód, to bym w nim zamieszkała

– zadeklarowała Lissa. – Mogłabym tu żyć i jeszcze znaleźć współlokatora.

– Faktycznie jest wielki. – Obejrzałam się za siebie, na dodatkowe dwa rzędy foteli. – Szczerze mówiąc, to nienormalne.

Po co komu tyle miejsca?

– Może robi dużo zakupów – zasugerowała Lissa.

– Przecież to student.

– Wszystko jedno. – Wzruszyła ramionami. – Szkoda tylko, że ma dziewczynę. Doszłam do wniosku, że uwielbiam bogatych przystojniaków.

– Jak ich nie uwielbiać – mruknęłam z roztagraniem.

Patrzyłam, jak Paul i Trey przyglądają się facetowi za ladą – wszyscy wiedzieli, którzy sprzedawcy w Zipie sprawdzają datę urodzenia, a którzy nie – a następnie idą na tył sklepu, po drodze biorąc nie jedną, lecz dwie torebki skittles dla Lissy. Niczego nie robili na małą skalę. Wszystko, co od dwóch tygodni kupował mi Paul, było podwójne albo w wersji super, i zawsze natychmiast sięgał po portfel. Nadal był doskonałym chłopakiem, Idealnym Paulem, a jednak coś mnie gryzło, jakbym wcale się dobrze nie bawiła. Jakby ten owoc wielu lat pracowitego randkowania mi nie wystarczał.

Usłyszałam terkotanie i popatrzyłam na lewo, na parkującą obok nas furgonetkę Truth Squad. Odchyliłam się, żeby mnie nie zobaczyli, a potem przypomniałam sobie, że okna są

przyciemniane. Za kierownicą furgonetki siedział Ted, z papierosem w ustach, a obok John Miller, który w pewnej chwili sięgnął do klamki. Drzwi się otworzyły, ale on nie puścił klamki i runął na ziemię, znikając mi z oczu.

Ted zerknął na pusty fotel i westchnął, po czym wysiadł i okrążył samochód.

– Idiota – wymamrotał głośno. – Nic ci się nie stało?

Nie usłyszałyśmy odpowiedzi, a zresztą i tak zajęło mnie co innego. Zauważyłam Dextera, który nieporadnie wgramolił się na fotel kierowcy furgonetki, a następnie wysiadł mniej więcej równie sprawnie jak John Miller. Miał na sobie tę samą pomarańczową koszulkę, co w dniu naszego pierwszego spotkania, a na niej białą koszulę. Z kieszeni na piersi wystawał mu zdeformowany aparat.

Dexter zerknął na szybę od strony Lissy, ale nic nie zobaczył.

Ona tylko patrzyła na niego jak przez weneckie lustro.

– Przecież to Dexter – wyszeptała.

Dexter wyciągnął aparat i zrobił zdjęcie przyciemnionego okna od strony Lissy. Flesz na moment rozświetlił całe wnętrze SUV-a.

– Nie da się ukryć – odparłam

Chwiejnym krokiem obszedł furgonetkę od przodu, ewidentnie pijany.

– Dobra, słuchajcie – oznajmił Ted. – Mówiłem, że was tu dowiozę i tak zrobiłem. Ale mam randkę z Mary, a już jest na mnie wkurzona, więc to koniec. Nie jestem taksówką.

– Dobry człowieku – usłyszałam głos Johna Millera, usiłującego naśladować Robin Hooda. – Spełniłeś swą powinność.

– Wstaniesz wreszcie, czy nie? – zniecierpliwił się Ted.

John Miller wstał. Nadal miał na sobie strój do pracy, ale całkowicie pognieciony, jakby ktoś zwinął go w kulkę na parę godzin. Koszula wystawała mu z wymiętych spodni, a w kieszeni trzymał jednorazowy aparat. Zobaczyłam świeże zadrapanie na jego policzku, zapewne po upadku. Dotknął rany, jakby zdumiony jej istnieniem

– Dobry człowieku. – Dexter objął zirytowanego Teda ramieniem – Jesteśmy ci winni wielką przysługę.

– Dobry człowieku – powtórzył John Miller. –

Wynagrodzimy ci to w złocie i dziewicach, a także wieczną lojalnością twej sprawie! Hejże ho!

– Hejże ho! – wykrzyknął Dexter i uniósł pięść.

– Możecie dać sobie spokój? – warknął Ted i strząsnął ramię Dextera. – To irytujące.

– Jak sobie życzysz, kamracie – oświadczył John Miller. –

Wznieśmy kielichy i hejże ho!

– Hejże ho! – przytaknął Dexter.



– Dość. – Ted ruszył do furgonetki. – Spadam stąd. A wy sobie możecie hejżehoić, ile wlezie...

– Hejże ho! – wykrzyknęli jednym głosem

– ...ale sami wracacie do domu. Tylko nie róbcie nic głupiego, dobrze? Nie mamy kasy na kaucję.

– Hejże ho! – przyznał John Miller i zasalutował Tedowi. – Stokrotne dzięki, zacny panie.

Ted pokazał mu środkowy palec i odjechał sprzed Quik Zip, a Dexter oraz John Miller zajęli się robieniem sobie zdjęć na tle stojaka z gazetami. Widziałam, jak w środku Paul i Trey zagadują sprzedawcę, a on wkłada ich dwa sześciopaki do torby.

– A teraz zrób dzióbek – powiedział Dexter do Johna Millera, który przybrał pozę modelki i powachlował się kuponami

rabatowymi, zerkając zza nich uwodzicielsko. – Bardzo dobrze!

Świetnie! – Błysnął flesz, a Dexter zachichotał. – Teraz powaga. O tak, jesteś bardzo poważny. Jesteś urażony...

John Miller popatrzył na drogę i z melancholijną miną przyjrzał się barowi Double Burger po drugiej stronie ulicy.

– Pięknie – oznajmił Dexter i obaj wybuchnęli śmiechem.

Usłyszałam też chichot Lissy. John Miller upozował się przy budce telefonicznej i zatrzepotał rękami, a Dexter zrobił ostatnie zdjęcie, bo film mu się skończył.

– P siakrew – powiedział, potrząsając aparatem, jakby to mogło cokolwiek zmienić. – No cóż, to tyle.

Usiedli na chodniku. Myślałam o tym, że powinnam opuścić szybciej i coś powiedzieć, żeby zdali sobie sprawę z mojej obecności, ale chyba było już na to za późno.

– Szczerze mówiąc, dobry człowieku, sposobnie mi jestem urażony – wyznał z powagą John Miller, obracając aparat w dłoniach.

– Rozumiem cię, dobry człowieku. – Dexter oparł się na dłoniach i wyciągnął przed siebie nogi.

– Kobieta, którą darzę miłością, mnie nie chce. – John Miller zmrużył oczy. –

Uważa, że marny byłby ze mnie mąż, bom

cokolwiek niedojrzały. Oburzony tym twierdzeniem, rzuciłem dziś bardzo prostą pracę, w której płacono mi dziewięć dolarów za godzinę nicnierobienia.

– Są inne prace, mój panie – zauważył Dexter.

– A do tego zapewne kolejna wytwórnia płytowa odrzuci

zespół ze względu na niezłomność zasad artystycznych sir Teda, który do śmierci nie zdoła przyjąć do wiadomości, że jego ziemniaczane pieśni nie są warte funta kłaków.

– Prawda to. – Dexter pokiwał głową. – Młody Ted, w istocie, wszystkim nam w stopę strzela.

To było coś nowego, lecz wcale mnie nie zdumiało. Dexter opowiadał mi, że Ted uparcie nie chciał nagrywać coverów na demo, przez co już zmarnowali wcześniejsze okazje.

– Ty jednak, szlachetny panie, masz własne problemy. – John Miller klepnął Dextera w plecy.

– W rzeczy samej. – Dexter pokiwał głową.

– Ech, te kobiety – westchnął John Miller.

– Kobiety, mój panie, mnie również konsternują. – Dexter otarł twarz.

– Chodzi o nadobną Remy – sprecyzował John Miller, a ja poczułam, że się rumienię.

Lissa zasłoniła usta ręką.

– Nadobna Remy nie uważa mnie za godnego ryzyka – poskarżył się Dexter.

– Prawda to.

– Naturalnie, łotrzyk ze mnie i hultaj. Muzyk, co gorsza.

Niewiele mógłbym jej dać poza wstydem, biedą i siniakami nabitymi niechęcią przez swą niezręczność. Lepiej jej będzie beze mnie.

John Miller udał, że wbija sobie nóż w serce.

– Cóż za zimne słowa, mój panie.

– Hejże ho – przyznał Dexter.

– Hejże ho, w rzeczy samej – dodał John Miller.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a moje serce galopowało.

Patrzyłam na Dextera ze świadomością, że nie mogę nic zrobić.

Było mi wstyd, że się ukrywam.

– Ile masz pieniędzy? – spytał nieoczekiwanie John Miller i wsunął rękę do kieszeni. – Chyba trzeba nam więcej piwa.

– Myślę, że masz rację. – Dexter wyciągnął zwitek banknotów i garść monet, które rozsypały się po chodniku.

W tym momencie Paul i Trey wyszli ze sklepu.

– Hej, Remy! – wrzasnął Paul. – Chciałaś dietetyczną czy zwykłą? Kupiłem obie,

ale...

Lissa położyła dłoń na przycisku, chcąc opuścić szybę, ale zerknęła na mnie niepewnie. Ja jednak siedziałam nieruchomo, zapatrzona w Dextera, który spojrzął na Paula. Powoli dotarło do niego, co się dzieje. Potem przeniósł wzrok na nasz samochód.

– Dietetyczną – oświadczył głośno, jakby mnie widział przez przyciemnioną szybę.

– Co takiego? – Paul wbił w niego spojrzenie.

Dexter odkasznął.

– Ona chce dietetyczną, ale nie w butelce – wyjaśnił.

– Ej, stary, o czym ty gadasz? – Paul uśmiechnął się pod nosem.

– Remy pije dietetyczną. – Dexter wstał. – Ale z dystrybutora, ekstradują, mnóstwo lodu. Prawda, Remy?

– Remy, czy nie powinniśmy... – zaczęła Lissa cicho.

Zanim się zastanowiłam, co wyprawiam, wysiadłam i do nich podeszłam. Paul nadal niepewnie się uśmiechał, a Dexter tylko na mnie patrzył.

– Hejże ho – powiedział, ale tym razem John Miller mu nie zawtórował.

– Może być w butelce. – Wyjęłam torbę z rąk Paula. –

Dzięki.

Dexter spoglądał na nas z uwagą. Widziałam, że Paul się zastanawia, o co chodzi.

– Nie, w porządku – odezwał się nagle Dexter, jakby ktoś go o coś pytał. – Nikt się nie czuje niezręcznie. Powiedzielibyśmy to sobie, prawda? Taki jest układ między przyjaciółmi.

Trey ruszył do samochodu, rozsądnie trzymając się z dala od awantury. John Miller wszedł do sklepu, więc na parkingu została tylko nasza trójka.

– Wszystko dobrze? – zapytał mnie Paul.

– Wszystko – zapewnił go Dexter. – Wszystko w porządku.

Paul nie spuszczał ze mnie wzroku, czekając na potwierdzenie.

– W porządku – oświadczyłam. – Daj mi chwilę, dobrze?

– Jasne. – Uścisnął moje ramię, a potem wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

– Wiesz, powinnaś była dać znać, że tu jesteś – upomniał mnie Dexter.

Przygryzłam wargę i zerknęłam na butelki z colą.

– Co u ciebie? – spytałam cicho.

– Dobrze – odparł bardzo szybko, a potem pstryknął palcami.

– Cholernie cudownie! – Popatrzył na samochód i pokręcił głową.

– Mają cholerną naklejkę Spinnerbait. Na litość boską, śpiesz się, Remy, bo stary

Tucker i Bubba Trzeci się niecierpliwią.

– Dexter.

– Co?

– Dlaczego tak się zachowujesz?

– Niby jak?

Wiedziałam dlaczego. Zachowywał się jak typowy facet po rozstaniu. Właśnie tak powinien zachowywać się od początku, ale ponieważ zaczął dopiero teraz, trochę wytrąciło mnie to z równowagi.

– Sam chciałeś, żebyśmy zostali przyjaciółmi – zauważyłam.

– Daj spokój. – Wzruszył ramionami. – Po prostu zgodziłaś się na odczepnego, co?

– Nie – zaprzeczyłam.

– Taka właśnie jesteś. – Wycelował we mnie palec. – Nie wierzysz w miłość, więc to logiczne, że nie wierzysz też w przyjaźń ani nic, co mogłoby narazić cię na najmniejsze ryzyko.

Zaczynał mnie wkurzać.

– Byłam z tobą szczerą – warknęłam.

– No to należy ci się medal! – Zaklaskał w dłonie. – Zrywasz ze mną, bo mógłbym naprawdę lubić cię na tyle, żeby planować coś poza letnią przygodą, a teraz to ja jestem ten zły, tak?

– Wolalbyś, żebym kłamała i mówiła, że czuję to samo, a potem rzuciła cię miesiąc później?

– To by było bardzo niewygodne – powiedział sarkastycznie.

– Nie miałabyś okazji zostać panną Spinnerbait.

Przewróciłam oczami.

– O to ci chodzi? – zapytałam – Jesteś zazdrosny?

– Tak byłoby prościej, co? – Pokiwał głową. – A Remy lubi, kiedy wszystko jest proste. Myślisz, że zdołasz rozrysować moje słowa i reakcje na wykresie i mieć jasność w temacie. Ale życie takie nie jest.

– Doprawdy? Tylko jakie?

Zbliżył się do mnie.

– Mówiłem szczerze – oświadczył cicho. – To nie były żadne gierki. Wszystko, co powiedziałem, to prawda. Od pierwszego dnia. Każde cholerne słowo.

Pomyślałam o zakładach, o żartach, o niedokończonych piosenkach. Jaka znacząca prawda się w tym kryła? Tylko pierwszego dnia powiedział coś ważnego, a to było...

Wtedy usłyszałam głos Lissy.

– Hm, Remy? – zagadnęła mnie z wahaniem. – Przegapimy początek filmu.

– Już idę – powiedziałam przez ramię.

– I tak skończyliśmy – wyjaśnił Dexter. – Właśnie o to ci chodziło, tak? – Spojrzał na mnie. – Żeby wszystko było jasne: ty i ja to nic ponad to, co cię łączy z tym chłopakiem od Spinnerbait, i z facetem po nim. Tak?

Przez ułamek sekundy chciałam odpowiedzieć, że się myli, ale jego napastliwa bezczelność mnie powstrzymała. Sam

stwierdził, że suka ze mnie i tyle. Kiedyś byłabym z tego dumna.

– W porządku, nie ma sprawy. – Wzruszyłam ramionami. – Masz rację.

Stał tylko i na mnie patrzył, jakbym nagle zmieniła się na jego oczach. Ale przecież taka byłam od zawsze. Po prostu dobrze to ukrywałam.

Ruszyłam do auta, a Paul otworzył mi drzwi.

– Czy on ci się narzuca? – spytał z poważną miną. – Bo jeśli tak...

– Nie. – Pokręciłam głową. – W porządku. Wszystko załatwione.

– Młody rycerzu! – krzyknął Dexter do Paula. – Śpieszę cię przestrzec, że gdy Remy ma przy sobie kubek z napojem, jej ręka przemienia się w straszliwą broń miotającą. Grozi ci cios zadany w najmniej spodziewanym momencie!

– Jedźmy już – mruknął Paul, a Trey skinął głową i ruszył.

Gdy odjeżdżaliśmy, postanowiłam nie oglądać się za siebie, jednak w lusterku po stronie Lissy widziałam, jak Dexter stoi z wyciągniętą na spodnie koszulą i rozłożonymi rękami, jakbyśmy udawali się w wielką podróż, a on zostawał sam. Miłej podróży, uważaj na siebie. Odejdź w pokoju. Hejże ho.

Następnego dnia, gdy wróciłam po nocy spędzonej u Lissy, matka już była w domu. Usłyszałam ją w drodze do kuchni.

– Don?! – zawołała, a jej głos odbił się od ścian korytarza do nowego skrzydła. – Skarbie, przyleciałam wcześniej, bo

postanowiłam zrobić ci niespodziankę... – Wysła z za rogu i zatrzymała się na mój widok. – O, Remy. Cześć. Myślałam, że to Don.

– Zauważyłam – odparłam – Jak tam na Florydzie?

– Bosko! – Ucisnęła mnie i przytuliła. Miała ładną opaleniznę i nową fryzurę, krótszą, z blond pasemkami, jak gdyby na Florydzie istniał obowiązek stylizowania się na tropiki. – Było cudownie. Czuję się jak nowo narodzona!

– No, no – mruknęłam, gdy mnie puściła. – I to wszystko w trzy dni?

– Właśnie tego było mi potrzeba. – Poszła przodem do kuchni. – Od ślubu była tylko praca i stresy, a wcześniej całe to planowanie i organizowanie... To zbyt wiele, sama rozumiesz.

Wolałam jej nie przypominać, że właściwie nie kiwnęła palcem przy planowaniu i organizowaniu, więc w milczeniu oparłam się o zlew. Matka wyciągnęła ensure z lodówki.

– Ale gdy już tam dotarłam, zobaczyłam prawdziwy raj. –

Przycisnęła rękę do serca i zamknęła oczy. – Surfowanie, zachody słońca, moje wielbicielki... Nareszcie znów poczułam się sobą, wiesz?

– Wspaniale – przytaknęłam, choć sama już od dawna nie czułam się sobą.

Przez całą noc nieustannie rozmyślałam o Dexterze, o tym, jak machał rękami i mnie wołał.

– Wróciłam wcześniejszym lotem w nadziei, że podzielę się tym zachwytem z Donem, ale go nie ma. – Znowu napiła się ensure i wyjrzała przez kuchenne okno.

– Prawie wcale tu nie bywa – poinformowałam ją. –

Pracował chyba przez cały weekend.

Z powagą skinęła głową i odstawiła ensure na blat.

– To właśnie nasz problem – westchnęła. – Jego praca, moja praca. Czuję, że nawet nie mieliśmy szansy pogłębić małżeńskiej więzi.

Oho, pomyślałam, słysząc ostrzegawcze dzwonki w głowie.

– No wiesz, jesteście dopiero dwa miesiące po ślubie – zaczęłam.

– Otóż to – potwierdziła. – Podczas wyjazdu uświadomiłam sobie, że muszę się skupić na małżeństwie. Praca zaczeka.

Wszystko zaczeka. Chyba za długo mieszały mi się priorytety, ale tym razem będzie inaczej. Lepiej.

To zabrzmiało niezłe.

– Świetnie, mammo.

– Naprawdę w to wierzę, Remy. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Może i mamy trochę problemów z przystosowaniem się do nowej sytuacji, ale ten mężczyzna jest na zawsze. Nareszcie zaczynam rozumieć, co to znaczy być partnerką, i świetnie się z tym czuję.

Wydawała się bardzo szczęśliwa, tak jakby gdzieś na południowowschodnim wybrzeżu w końcu znalazła odpowiedź na dotąd nierozwiązywalną zagadkę. Matka zawsze uciekała od związków, gdy robiło się trudno. Nie chciała brudzić sobie rąk szczegółami. Może jednak ludzie potrafili się zmieniać.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. – Podeszła do stołu po torebkę. – Chyba popędzę do salonu i przyniosę mu lunch.

Uwielbia, gdy to robię. Jeśli zadzwoni, nic nie mów, dobrze? Chcę mu zrobić niespodziankę.

– Okej – zgodziłam się.

Posłała mi całusa i poszła do auta. Nie mogłam nie podziwiać miłości, która nie była zdolna poczekać choćby kilku godzin. Ja nigdy nic takiego nie czułam. To musiało być przyjemne, wręcz romantyczne – o ile kogoś kręcą takie klimaty.

Następnego ranka, gdy tkwiłam w kolejce do Jump Java i na wół przytomna czekałam na poranną mokrą Loli, zobaczyłam podjeżdżającą furgonetkę Truth Squad. Ze środka wyskoczył Ted i po chwili był już w kawiarni, wyciągając z kieszeni zmięte banknoty.

– Cześć – powiedział do mnie.

– Cześć. – Udawałam, że szalenie pochłonał mnie artykuł z pierwszej strony lokalnej gazety, o nowym podziale na okręgi wyborcze.

Kolejka była długa i pełna rozdrażnionych ludzi, którzy żądali tak skomplikowanych napojów, że samo słuchanie

zamówień przyprawiało mnie o ból głowy. Scarlett obsługiwała ekspres, próbując z kwaśną miną połapać się w zalewie zleceń na podwójne kawy z odtłuszczonym mlekiem sojowym.

Ted nie stał bezpośrednio za mną, ale facet, który nas rozdzielał, zirytował się czekaniem i sobie poszedł. W takiej sytuacji nie pozostało nam nic innego jak porozmawiać ze sobą.

– Lucas mówił, że macie spotkanie z Rubber Records –

odezwałamsię.

– Tak, dziś wieczorem w Waszyngtonie. Wyjeżdżamy za godzinę.

– Naprawdę? – Ruszyliśmy jakiś centymetr w stronę lady.

– Tak. Chcą, żebyśmy zegrali na miejscu. Potem może załatwią nam występ w czwartek, a jeśli się spodobamy, dostaniemy coś na stałe.

– Świetnie.

– Tylko jeśli wpadniemy im w ucho. – Wzruszył ramionami.

– Ale upierają się przy jakichś głupich coverach, a to zupełnie wbrew etyce naszego zespołu.

– Hm – mruknęłam.

– Chodzi o to, że chłopaki zrobiłyby wszystko dla byle umowy, a mnie chodzi o coś więcej. Liczy się muzyka, wiesz, sztuka. Wyrażenie siebie, a nie jakieś korporacyjne pierdy dla prezesików.

Biznesmen z „Wall Street Journal” w dłoniach zerknął na nas, ale Ted wpatrywał się w niego ze złością tak długo, aż tamten odwrócił wzrok.

– Czyli zagracie *Opus ziemniaczane*? – zapytałam.

– Moim zdaniem powinniśmy. Na to cały czas nalegam. Albo będą nas lubić za nasze własne kawałki, albo wcale. Ale znasz Lucasa. Nigdy nie podobały mu się ziemniaczane wariacje.

Cholerny prostak. Aż trudno uwierzyć. Przecież grał w kapeli metalowej! Co on wie o prawdziwej muzyce?

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

– A John Miller zagrałby wszystko, byle tylko nie wrócić do szkoły i pewnego dnia nie przekładać papierków w firmie tatusia –

ciągnął. – Czyli zostaje Dexter, a wiesz, co z nim.

To mnie lekko zaniepokoiło.

– Co z nim? – powtórzyłam.

– Gość jest niepoprawnym optymistą. – Ted przewrócił oczami. – Zawsze wierzy, że wszystko będzie dobrze. Gdyby sam miał decydować, nie byłoby żadnego planu, żadnych wymagań. Po prostu wszystko by się potoczyło swoim biegiem. Nie ma planu, nie ma zmartwień. Nienawidzę takich ludzi. Przecież wiesz, o czym mówię.

Odetchnęłam głęboko, zastanawiając się, jak zareagować.



Podejście Dextera też mnie denerwowało, jednak słowa Teda zabrzmiały jak opinia małego krytykanta. Zachowywał się, jakby zjadł wszystkie rozumy. Dexter faktycznie czasem za mało zastanawiał się nad pewnymi sprawami, ale przynajmniej można było...

– Następny! – wrzasnęła Scarlett.

Stałam na samym początku kolejki, więc poprosiłam kawę dla Loli, taką jak zawsze, a potem się odsunęłam, żeby Ted zamówił ekstraduzą czarną kawę bez wiezka.

– No cóż, powodzenia – powiedziałam, gdy zapłacił.

– Dzięki – odparł.

Wyszliśmy razem. On ruszył do furgonetki, a ja do Joie, gdzie powoli kończyłam pracę jako tymczasowa recepcjonistka.

Był dwudziesty sierpnia i za trzy tygodnie miałam wyjechać na studia. Gdyby nie wcześniejsze zerwanie, właśnie zostawiłabym Dextera. Wyglądało jednak na to, że ja na razie zostanę, on zaś odjedzie. Dziwne, jak to się wszystko potoczyło, ale tak było lepiej. Oczywiście, że tak.

Kiedy Dexter wyjechał na pełny tydzień, już nie musiałam się martwić krępującymi przypadkowymi spotkaniami. To

ułatwiało mi życie i znów nabrałam chęci do pracy, tak jakby bliskość Dextera wpływała na moją równowagę.

Najpierw zajęłam się sprzątanym wszystkim. Zrobiłam porządek w samochodzie, wymieniłam olej, wyszorowałam

szamponem wnętrze, ułożyłam płyty w kolejności alfabetycznej i, owszem, wymyłam od środka szyby. To mnie natchnęło do tego stopnia, że wysprzątałam pokój. Udało mi się zebrać cztery worki ubrań do luneksu, a potem poszłam na wyprzedaż do Gapa, gdzie kupiłam nowe studenckie ciuchy. Byłam zaszokowana swoją przedsiębiorczością.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wcześniej dopuściłam do

kompletnej dezorganizacji. Dawniej odkurzanie było moją drugą naturą. Teraz znalazłam w garderobie resztki błota z butów, smugi tuszu do rżęs w szufladzie i but bez pary pod łóżkiem. Przeszło mi przez myśl, że dostałam amnezji. Przywrócenie porządku w moim wszechświecie nagle wydało mi się niezbędne, więc poskładałam koszulki i wepchnęłam bibułę do nosków w butach. Rachunki ułożyłam porządnie, jeden na drugim – dotąd leżały ciśnięte byle jak.

Przez cały tydzień sporządzałam listy, stopniowo wykreślając z nich kolejne

punkty. Dzięki temu mogłam skończyć każdy dzień z poczuciem satysfakcji zakłóconym tylko przez kompletne

wyczerpanie. Powtarzałam sobie, że właśnie tego chcę:

bezkonfliktowego odejścia. Plan był już przygotowany i wciąż zostało sporo czasu.

– Oho, znam to spojrzenie – mruknęła Jess, gdy usiadłyśmy w Bendo.

Chloe spjrzała na zegarek.

– To mniej więcej ta pora – mruknęła. – Wyjeżdżasz za trzy tygodnie.

– O nie! – Lissa wreszcie załapała. – Nie Paul. Jeszcze nie.

Wzruszyłam ramionami, bawiąc się szklanką piwa.

– To ma sens – powiedziałam – Przed wyjazdem chcę się skupić na rodzinie i na was. Nie ma sensu tego przeciągać i doprowadzać do jakiejś wielkiej sceny na lotnisku.

– Faktycznie – zgodziła się Chloe. – Na pewno na to nie zasłużył.

– Ale ja lubię Paula – zaprotestowała Lissa. – Jest taki miły.

– Zgadza się. Tyle że jest przejściowy, tak jak ja dla niego.

– Czyli dołączył do klubu. – Chloe uniosła piwo.

Wypiłyśmy, ale nagle przypomniało mi się, co Dexter powiedział na parkingu przed Quik Zipem o tym, że skończył tak jak facet przed nimi tak jak skończy facet po nim. Faktycznie, był

tylko przelotnym chłopakiem między palantem Jonathanem i idealnym Paulem. Okazał się jeszcze jednym wakacyjnym partnerem, o którym już zapomniałam.

A może nie? Wciąż zdarzało mi się o nim myśleć. To dlatego, że mimo naszych wysiłków cała sprawa kiepsko się skończyła. Z

nim nie poszło tak, jak planowałam, i nie mogłam tego wykreślić z listy.

Paul z kolei od kilku dni zmierzał we właściwym kierunku, ale jeśli miałabym być szczerą, od początku nie wkładałam w to serca. Nie z jego winy – może po prostu zmęczyłam się i potrzebowałam przerwy, zanim zacznę coś nowego. Często

czułam, że tylko mechanicznie mówię i robię co trzeba, chodzę na kolacje czy spotykam się z jego przyjaciółmi, a nawet całuję się z nim w ciemnościach jego sypialni lub swojej. Czasem, z dala od Paula, miałam kłopoty z przypomnieniem sobie jego twarzy.

Wyglądało na to, że nadeszła pora na zerwanie.

– Klub chłopaków. – Jess usiadła wygodniej. – Boże. Z iloma facetami spotykała

się Remy?

– Z setką – odparła natychmiast Lissa, a potem się skuliła, gdy spiorunowałam ją wzrokiem – To znaczy, nie wiem

– Z pięćdziesiątką – oszacowała Chloe. – Na pewno nie było ich mniej.

Wszystkie na mnie spojrzały.

– Pojęcia nie mam – mruknęłam – Dlaczego o tym rozmawiamy?

– Bo to aktualny temat, zwłaszcza teraz, gdy zamierzasz wyjechać i rozszerzyć swoje randkowe doświadczenia na cały kraj...

Jess wybuchnęła śmiechem

– Wypada, żebyśmy przejrzały największe hity twojej przeszłości.

– Upiłaś się? – zapytałam

– Najpierw Randall Baucom – odparła, całkiem mnie ignorując.

– Och, Randall – westchnęła Lissa. – Też się w nim kochałam

– To była szósta klasa – zauważyłam – Jak daleko chcecie się cofnąć?

– Potem siódma klasa – ciągnęła Jess. – Mitchell Loehmann, Thomas Gibbs, Elijah jak mu tam...

– Ten z siodłatym łbem – sprecyzowała Lissa. – Jak miał na nazwisko?

– Nigdy nie chodziłam z nikim z siodłatym łbem – oburzyłam się.

– Potem było sześć miesięcy Rogera. – Chloe pokręciła głową. – Kiepskie czasy.

– Bo to był palant – przytaknęłam

– Pamiętasz, jak cię zdradził z Jennifer Task i cała szkoła wiedziała oprócz ciebie? – spytała Lissa.

– Nie – odparłam ponuro.

– Dalej: dziewiąta klasa i potrójny cios złożony z Kela, Daniela i Evana, kiedy Remy postanowiła metodycznie zaliczyć wszystkich napastników drużyny piłki nożnej.

– Zaraz, zaraz. – Wiedziałam, że zaczynam się bronić, ale przecież byłam do tego zmuszona. – Robicie ze mnie okropną puszczalską.

Zapadła cisza, a potem wszystkie wybuchnęły śmiechem

– To wcale nie jest zabawne – burknęłam – Zmieniłam się.

– Przecież wiemy – przytaknęła Lissa szczerze i poklepała mnie po ręce. –

Mówimy o dawnych czasach.

– Może pogadamy o was, co? – zaproponowałam – O Chloe i jej pięćdziesięciu chłopakach?

– Przyznaję się do każdego z nich – oświadczyła z

uśmiechem – Boże, Remy, co się z tobą dzieje? Nie jesteś już dumna ze swoich podbojów?

– Wszystko w porządku – odparłam.

Dalej liczyły, a ja starałam się nie wiercić. Niektórych facetów nie pamiętałam, na przykład Antona, który sprzedawał

witaminy w centrum handlowym. Innych wolałabym nigdy nie poznać, jak choćby Petera Scrantona: nie tylko był dupkiem, ale jeszcze zadawał się z dziewczyną ze szkoły w Fayetteville, która specjalnie jechała dwie godziny, żeby skopać mi tyłek. To dopiero był wesoły weekend.

Nazwisk wciąż przybywało.

– Brian Tisch. – Lissa odgięła palec. – Jeździł niebieskim porsche.

– Edward z Atlantic Beach – dodała Jess. – Obowiązkowy dwutygodniowy wakacyjny romans.

Chloe odetchnęła głęboko i oświadczyła dramatycznie:

– Dante.

– O rany. – Jess strzeliła palcami. – Uczeń z wymiany. Remy wypływa na międzynarodowe wody!

– Co doprowadza nas do Jonathana i Dextera. A teraz...

– Do Paula – odpowiedziała Lissa ze smutkiem – Do idealnego Paula.

Który właśnie nadchodził. Zatrzymał się w drzwiach Bendo, żeby okazać dowód tożsamości. Na mój widok się uśmiechnął i ruszył przez salę, tak jak kiedyś Jonathan, nieświadomy, co się szykuje. Odetchnęłam głęboko, mówiąc sobie, że powinnam już do tego przywyknąć, jak człowiek, który skacze do wody i natychmiast płynie. Mimo to tylko siedziałam bez ruchu.

– Cześć – powiedział i zajął miejsce obok mnie.

– Cześć.

Wziął mnie za rękę i nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Znowu zerwanie, znowu koniec. Nawet nie miałam czasu

zastanowić się nad ewentualną reakcją Paula.

– Chcesz piwo, Remy? – zapytał.

– Posłuchaj. – Te słowa same wydobyły się z moich ust, nie musiałam nawet myśleć. To był mechaniczny proces, tak jak rozwiązywanie równania. Mogłabym być kimś innym, kto tylko patrzył i słuchał. – Musimy pogadać.

### **Rozdział piętnasty**

– I za tamten dzień, kiedy powiedziała tej okropnej pani Tucker, żeby usiadła i poczekała na swoją kolej – powiedziała Talinga, unosząc kieliszek.

– I za tamten dzień, kiedy wyplątała włosy żony sędziego z suszarki – dodała Amanda.

– I za wszystkie dni, w które dawała sobie radę z bałaganem w salonie – dorzuciła Amanda głośniejszym głosem.

Zapadła cisza. Talinga pociągnęła nosem i otarła oko palcem z idealnie wymanikiuowanym paznokciem.

– Za Remy – dokończyła Lola i znów stuknęłyśmy się kieliszkami tak energicznie, że szampan wylał się na podłogę. – Będziemy za tobą tęsknić, dziewczyno!

Wypiłyśmy. To było nasze jedyne zajęcie, odkąd Lola

zamknęła salon o czwartej, dwie godziny wcześniej niż zwykle, żebyśmy mogły w wielkim stylu uczcić mój wyjazd na studia. Inna sprawa, że tego dnia i tak ruch był niewielki. Talinga przyniosła mi bukiet kwiatków i uparła się, żebym go przypięła. W rezultacie przez cały dzień odbierałam telefony, wyglądając tak, jakbym czekała, aż zjawi się mój partner na bal matralny. To był jednak uroczy gest, podobnie jak tort, szampan i koperta z pięcioma setkami dolarów.

– Na wszelki wypadek. – Lola wcisnęła mi ją w rękę. – Na ważne rzeczy.

– Takie jak manikiur – dodała Amanda. – I modelowanie brwi.

Byłam bliska płaczu, ale udało mi się opanować, i dobrze, bo bym je sprowokowała. Dziewczyny z Joie lubiły sobie popłakać.

Przez to wszystko uświadomiłam sobie, że naprawdę wyjeżdżam na studia, a lato się kończy. Miałam zacząć prawdziwe życie, które znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Wszędzie widziałam znaki. Otrzymywałam mnóstwo

korrespondencji z uniwersytetu, a mój pokój był pełen podpisanych pudeł z rzeczami, które wyjeżdżały lub zostawały. Nie ludziłam się, że matka urządzi w moim

pokoju kapliczkę Remy. Tuż po starcie samolotu z całą pewnością zacznę myszkować i

zastanawiać się, jak rozplanować półki w bibliotece, którą chciała urządzić od zawsze. Kiedy wrócę do domu, wszystko będzie inne, zwłaszcza ja.

Wszyscy szykowali się do zmian. Lissa najbardziej rozpacziała, chociaż przenosiła się tylko na drugi koniec miasta, a z akademika widać było wieżyczkę kościoła na jej ulicy. Jess znalazła pracę w szpitalu, w administracji oddziału

pediatrycznego, a po pierwszym poniedziałku września zaczynała studia wieczorowe. Chloe zajęła się własnymi pudłami. Kupowała nowe rzeczy do szkoły na tyle oddalonej od miasta, żeby tamtejsi facyci nie mieli pojęcia o jej reputacji łamaczki serc. Nasz czas przejściowy, który kiedyś zdawał się rozciągać w nieskończoność, kurczył się z każdym dniem.

Poprzedniego wieczoru wyciągnęłam discman z garderoby, po czym siadłam z nim na łóżku i ostrożnie przełożyłam płytę ojca do pudełka. Zabierałam odtwarzacz, ale gdy już miałam spakować kompakt, coś mnie powstrzymało. Wcale nie musiałam przyjmować do wiadomości przesłania ojca, który przekonywał

mie, że mężczyźni sprawią mi zawód. Dlatego odłożyłam płytę do szuflady w pustym biurku – mimo to jeszcze nie zakleiłam pudła, w razie gdybym zmieniła zdanie.

– Kto chce dolewkę? – spytała Lola, podnosząc butelkę.

– Ja – powiedziała Talinga. – I poproszę jeszcze kawałek tortu.

– Nie powinnaś jeść więcej tortu – zauważyła Amanda.

– Szampana też już nie powinnam pić – odparła Talinga. –

Ale to mnie za cholerę nie powstrzyma.

Wszystkie się roześmiały, a potem zadzwonił telefon i Lola pobiegła z butelką, żeby odebrać. Wrzuciłam do ust różyczkę z tortu i poczułam, jak cukier rozpuszcza mi się na języku. Miałam oszczędzać miejsce w żołądku na uroczystą kolację rodzinną, którą matka szykowała z okazji mojego wyjazdu. Nadal była w

świetnym humorze po Florydzie i ciężko pracowała nad rolą żony Dona. Najwyraźniej postanowiła wstrzymać pisanie powieści, a ja zastanawiałam się, co teraz robi Melanie. Matka zwykle nie porzucała książek, zwłaszcza tak blisko końca. Za każdym razem, kiedy ogarniał mnie niepokój, powtarzałam sobie jednak, że wszystko będzie w porządku.

Popijając szampana, podeszłam do witryny i wyjrzałam na parking. Zobaczyłam, że drzwi Flash Camera są otwarte, po czym przycisnęłam czoło do szyby. Truth Squad wrócił parę dni wcześniej. Widziałam z oddali Lucasa, jak przed Mayor's Market jadł chipsy z wielkiej torby, ale celowo nie podeszłam, żeby spytać, jak im poszło w Waszyngtonie. Od dnia, w którym odjechałam sprzed żółtego domu, zostawiając ich na werandzie, czułam, że ich los nie jest w żaden sposób związany z moim.

Mimo to nadal myślałam o Dexterze. To była jedyna niezakończona sprawa, a tego nienawidziłam. Nie chodziło o nic uczuciowego. Po prostu nie chciałam przemierzać całego kraju, czując się tak, jakbym zostawiła włączone żelazko. Lekko wstawiona, przekonywałam samą siebie, że to kwestia mojego zdrowia psychicznego.

Nagle zobaczyłam, jak Dexter wchodzi do laboratorium fotograficznego. Z miejsca rozpoznałam go po chwiejnym kroku. Doszłam do wniosku, że to idealny moment. Dopiliśmy resztkę szampana i zerknęłam do lusterka, żeby sprawdzić makijaż.

Byłoby przyjemnie załatwić tę ostatnią sprawę i zdążyć na kolację.  
– Dokąd idziesz?! – zawołała Talinga, gdy otworzyłam drzwi. Ona i Amanda puściły muzykę i boso tańczyły w pustym salonie, Lola zaś obżerała się tortem – Musisz się jeszcze napić, Remy! W końcu to przyjęcie.

– Za sekundę wracam – odparłam – Nalejcie mi kieliszek, dobra?  
Talinga skinęła głową, ale nałała sobie, a Amanda zachichotała, kołysząc biodrami i wpadając na stolik pełen lakierów do paznokci. Wychodząc, słyszałam głośny śmiech całej trójki.  
Kręciło mi się w głowie, gdy podchodziłam do Flash Camera. W środku zastałam Lucasa, zajętego obsługą maszyny do wywoływania zdjęć.

– Cześć – powiedział na mój widok. – Kiedy bal?  
Zmarszczyłam brwi i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że mówi o moim przypiętym bukietku, który już przywiadł, tak jakby też się upił.

– Jest Dexter? – zapytałam  
Lucas odepchnął krzesło i zajrzał na zaplecze.  
– Dex! – zawołał. – Klientka!

Dexter wyszedł z uprzejmym uśmiechem, wycierając ręce o koszulę. Na mój widok spoważniał, ale nie bardzo.

– Hej – powiedział. – Kiedy tańce?

– Słabe – wymamrotał Lucas, wracając do maszyny. – I wtórne.

Dexter go zignorował i podszedł do lady.

– Czynnogę ci służyć? – Wziął do ręki stosik zdjęć. – Mam coś wywołać albo powiększyć? Dzisiaj jest specjalna oferta.

– Nie – odparłam głośno, żeby przekrzyczeć szum maszyny.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Okej. – Nadal przeglądał zdjęcia, unikając mojego wzroku.

– Mów.

– Jak tam w Waszyngtonie?

Dexter wzruszył ramionami.

– Ted zrobił awanturę o artystyczną integralność, a potem wypadł ze studia.

Jakoś udało się nam namówić ich na kolejne spotkanie, a na razie szykujemy się do następnego wesela.

Słowem, jak zwykle tkwimy w próżni.

Stałam przez chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

Zachowywał się trochę jak dupek, ale nie odpuszczałam.

– Wiesz, wyjeżdżam i...

– Wiem – Teraz dopiero na mnie spojrzał. – W przyszłym tygodniu, tak?

– Tak. I chciałam... pogodzić się z tobą.

– Pogodzić? – Odłożył zdjęcia. Na samej górze leżała fotografia grupki uśmiechniętych kobiet. – A co, kłócimy się?

– Cóż, pod Quik Zip nie rozstaliśmy się w przesadnej komitywie.

– Byłem trochę zalany – przyznał. – I może nie najlepiej radziłem sobie z tym twoim spinnerbaitowym związkiem

– Spinnerbaitowy związek dobiegł końca – powiedziałam powoli.

– Tak? Nie mogę powiedzieć, że mi przykro. To kompletnie beznadziejna kapela, a jej fani...

– Dobra, dobra – przerwałam mu. – Nienawidzimy Spinnerbait.

– Nienawidzimy Spinnerbait! – wymamrotał Lucas.

– Posłuchaj, Remy, naprawdę cię lubiłem – Dexter pochylił

się ku mnie. – Może i nie udało się nam zaprzyjaźnić, ale trzeba przyznać, że nie



marnowałaś czasu, co?

– Nie chciałam, żeby źle wypadło – odparłam – I pragnęłam się z tobą zaprzyjaźnić. Tyle że to nigdy nie wychodzi. Nigdy.

Zastanawiał się przez moment.

– Chyba masz rację, ale pewnie oboje trochę zawiniliśmy.

Nie byłam do końca szczera, kiedy mówiłam, że dam sobie radę z przyjaźnią. A ty nie byłaś całkiem szczera, kiedy mówiłaś, no wiesz, że mnie kochasz.

– Co? – zapytałam trochę za głośno. Wszystko przez alkohol.

– Nigdy nie powiedziałam, że cię kocham

– Niekoniecznie wprost, ale oboje znamy prawdę. –

Przełożył zdjęcia.

– Bzdury – burknęłam

– Za pięć dni byś mnie pokochała – oświadczył, unosząc dłoń.

– Wątpliwe.

– Założmy się. Pięć dni i...

– Dexter.

– Żartuję. – Odłożył zdjęcia i uśmiechnął się do mnie. – Ale nigdy się już nie dowiemy, prawda? Mogłoby się tak zdarzyć.

– Kto wie. – Odpowiedziałam uśmiechem

I tak to się skończyło. Wykreśliłam ostatni punkt na liście.

– Remy! – usłyszałam wrzask, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam w drzwiach Joie Amandę w czepku na głowie. –

Przegapisz tańce!

Talinga i Lola za jej plecami pękały ze śmiechu.

– O rany – mruknął Dexter, patrząc, jak Amanda kontynuuje swoje wygibasy, nieświadoma ganiącego spojrzenia pary

starszków, którzy przechodzili obok z workiem karmy dla ptaków.

– Muszę wracać – powiedziałam

– Okej, ale najpierw zerknij na to. – Wyciągnął z szuflady błyszczące odbitki i rozłożył je na ladzie. – Ostatnie i najlepsze zdjęcia na naszą ścianę wstydu. Tylko popatrz.

Rzeczywiście, nadawały się na ścianę wstydu. Jedno

przedstawiało faceta w średnim wieku, który pozował jak kulturysta, napinając mięśnie, a jego wielki brzuch wystawał nad bardzo obcisłymi kąpielówkami speedo.

Na innymdwie osoby stały na dziobie statku. Mężczyzna się uśmiechał, kobieta była dosłownie zielona i nie ulegało wątpliwości, że na następnym zdjęciu by wymiotowała. Motywemkolekcji było zepsucie i zażenowanie, a każda następna fotografia wydawała się głupsza lub obrzydliwsza od poprzedniej. Tak bardzo skupiałam uwagę na kocie usiłującymchyba kopulować z iguaną, że niemal przeoczyłamzdjęcie uwodzicielsko upozowanej kobiety w bieliźnie.

– Dexter – mruknęłam – Naprawdę.

– No co? – Wzruszył ramionami. – Trzeba sobie jakoś radzić, nie?

Nagle uświadomiłam sobie, że znam tę kobietę. Miała

ciemne włosy, kusząco wydęte wargi i siedziała na skraju łóżka z rękami na biodrach, prezentując dekolt. Co ważniejsze, rozpoznałamto, co widniało za nią: wielki brzydki gobelin z biblijnymi scenami. Nad kobietą, nieco z lewej strony, zobaczyłam głowę Jana Chrzciciela na tacy.

– O Boże – jęknęłam

To był pokój matki, a kobietą na łóżku okazała się Patty, sekretarka Dona. Na dole zdjęcia widniała data: czternasty sierpnia. Czyli poprzedni weekend, kiedy ja nocowałam u Lissy, a matka przebywała na Florydzie i tamdoszła do wniosku, że teraz wszystko się uda.

– Niezłe, co? – spytał mnie Dexter, zerkając na zdjęcie. –

Wiedziałem, że ci się spodoba.

Popatrzyłam na niego i wszystkie elementy układanki nagle trafiły na swoje miejsca. To była zemsta Dextera – przypuścił atak, gdy nie uważałam Nagle tak się wściekłam, że czułam, jak krew mnie zalewa.

– Ty zasańcu – wycedziłam

– Co? – Otworzył szeroko oczy.

– Myślisz, że to jakieś gierki? – warknęłam, rzucając w niego zdjęciem. Uderzyło go w pierś i spadło na podłogę. – Chcesz się na mnie zemścić i robisz coś takiego? Boże, a ja tylko chciałam wszystko naprawić i mieć to za sobą.

– Remy... – Uniósł ręce, a Lucas się odwrócił i tylko na mnie patrzył. – O czym ty mówisz?

– Tak, jasne – ciągnęłam z wściekłością. – Ta cała gadanina o wierze i miłości, a potemrobisz coś takiego, żeby mnie zranić.

Nawet nie mnie, moją rodzinę...

– Remy! – Usiłował chwycić mnie za rękę i uspokoić, ale ją wyrwałam i

uderzyłam się o kasę. – Po prostu powiedz...

– Pieprz się! – wrzasnęłam piskliwym głosem

– Masz jakiś problem?! – wykrzyknął, po czym podniósł zdjęcie z podłogi i zapatrzył się na nie. – Przecież nawet...

Ja jednak już szłamku drzwiom. Wciąż myślałam o matce, która próbowała poukładać sobie życie, i o jej kolejnych małżeństwach. Żeby się usatkwować, była gotowa zrezygnować ze wszystkiego, nawet z prawa do własnego głosu. Wszystko po to, by zostać z tym mężczyzną, który nie tylko popełnił cudzołóstwo, ale jeszcze utrwalił je na zdjęciu. Skurwiel. Nienawidziłam go i nienawidziłam Dextera.

Odkrycie prawdy o Donie zakończyło przyjęcie. I dobrze, bo Amanda zdążyła zasnąć na stole w pokoju do depilacji, a Lola i Talinga kończyły tort, zastanawiając się, która ma bardziej żalosne życie uczuciowe. Pożegnałyśmy się i wyszłam z kopertą,

darmowym pudłem butelek mojej ulubionej odżywki do włosów oraz świadomością, że ostatni mąż matki jest najgorszy ze wszystkich. Nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę ich charaktery.

W drodze do domu nastawiłam klimatyzację na pełny

regulator i próbowałam się uspokoić. Szok po zobaczeniu Patty na łóżku matki, w jej pokoju, szybko mnie otrzeźwił. Byłam wściekła na Dextera, że pokazał mi to zdjęcie, i zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie dostrzegłam jego małostkowej, złej strony. Dobrze ją ukrywał. Wplątywanie w to mojej rodziny było odrażające. Zranił mnie, w porządku, mogłam sobie dać z tym radę. Ale matka to co innego.

Wjechałam na podjazd i zgasiłam silnik, po czym tylko

siedziałam, bojąc się tego, co należy zrobić. Ktoś inny być może nic by jej nie powiedział i pozwolił, by małżeństwo, nawet tak beznadziejne, trwało, ja jednak nie mogłam do tego dopuścić. Nie byłabym w stanie wyjechać ze świadomością, że matka utkwiała w kłamstwie. Wierzyłam w to, że trzeba wyklądać kawę na ławę, od razu i bez owijania w bawełnę. Musiałam jej powiedzieć.

Podchodząc do werandy, zauważyłam, że coś jest nie tak. Nie wiedziałam, co dokładnie: to było przecucie. Jeszcze nim natrafiłam na puszki ensure rozrzucone na dróźce przed domem, w trawie i pod krzakami, czułam, że już za późno.

Otworzyłam drzwi, które uderzyły o kolejną puszkę. Ensure leżały też na korytarzu i musiałam je omijać w drodze do kuchni.

– Mamo?! – krzyknęłam, ale nie doczekałam się odpowiedzi.

Na stole zobaczyłam jedzenie na naszą wielką rodzinną

uroczystość: steki, kolby kukurydzy, większość rzeczy jeszcze w plastikowych torebkach z supermarketu. Obok leżał stosik poczty.

Jedna koperta, zaadresowana drukowanymi literami do matki, była rozerwana.

Przechodząc przez kuchnię, nastąpiłam na kolejną puszkę i minęłam próg gabinetu. Matka siedziała na krześle przed maszyną.

Wystawała z niej odbitka zdjęcia, którym rzuciłam w Dextera.

Fotografia była ustawiona jak kartka papieru tuż przed okręceniem jej na wałku.

Matka wydawała się bardzo opanowana. Furia, która doprowadziła do eksplozji i rzucania puszkami, najwyraźniej przeminęła. Teraz matka ze stoickim spokojem przyglądała się uwodzicielsko nadąsanej i upozowanej Patty.

– Mam? – powtórzyłam, kładąc dłoń na jej dłoni. – W porządku?

Przełknęła ślinę i pokiwała głową. Zauważyłam, że płakała.

Jej mascara była rozmazana pod oczami i to mnie najbardziej zaszokowało. Nawet w najgorszej sytuacji matka zawsze wyglądała jak należy.

– Zrobili to zdjęcie w moim pokoju – powiedziała. – Na moim łóżku.

– Wiem – odparłam, a ona odwróciła głowę, patrząc na mnie pytająco.

Natychmiast się wycofałam, świadoma, że lepiej nie mówić o istnieniu jeszcze jednej odbitki. – Ten gobelin za nią, prawda?

Oderwała ode mnie spojrzenie i przez chwilę spoglądałyśmy na zdjęcie. Dało się słyszeć tylko lodziarkę w lodówce, która radośnie wypuła nową porcję kostek.

– Tak niewiele brakowało... – westchnęła w końcu matka.

– Wiem – powiedziałam cicho. – Tak niewiele brakowało, a zazałabyś szczęścia, bo przecież czułaś się przy tym skunksie naprawdę dobrze, a on...

– Nie – przerwała mi. – Tak niewiele brakowało, a rąbnęłabym go prosto w łeb. Tyle puszek, a nie trafiłam ani razu.

W ogóle nie potrafię celnie rzucać. Gdybym mu dowaliła, od razu poczułabym się lepiej.

Przez chwilę zastanawiałam się nad jej słowami.

– Obrzuciłaś go tymi wszystkimi puszkami?

– Obawiam się, że nerwy wzięły nade mną górę – odparła, a następnie pociągnęła nosem i wydmuchała go w chusteczkę. –

Och, Remy, serce mi pęka.

Nawet jeśli rozbawiła mnie wizja Dona atakowanego puszkami, to teraz natychmiast spowaźniałam.

Matka znowu pociągnęła nosem i mocno złapała mnie za rękę.

– Co teraz? – Bezradnie machnęła chusteczką. – Co mam zrobić?

Poczułam ból dawno uśpionego wrzodu na żołądku.

Wiedziałam, że matka znowu mnie potrzebuje. Ogarnęła mnie kolejna fala nienawiści do Dona za jego egoizm, za to, że zostawił

mnie z tym całym bałaganem, a sam ulotnił się bez żadnych konsekwencji.

Żałowałam, że nie było mnie na miejscu, gdy doszło do awantury, bo mam dobre oko i na bank by oberwał.

– Chyba powinnaś zadzwonić do prawnika, mecenasa Jacobsa czy Johnsona – odparłam. – Zabrał coś ze sobą?

– Tylko torbę. – Znów otarła oczy.

Czułam, że przechodzę w tryb gotowości kryzysowej. W

końcu matka rozwodziła się z Martinem wcale nie tak dawno temu. Szlak może trochę zarósł, ale nadal był wyraźny.

– Okej – powiedziałam. – Musimy skontaktować się z nimi ustalić, kiedy konkretnie wróci po swoje rzeczy. Nie wolno mu wpadać, kiedy zechce, poza tym któraś z nas musi być na miejscu.

I chyba powinnyśmy skontaktować się z bankiem, tak na wszelki wypadek, żeby zablokować nasze wspólne konto. Wiem, że on ma własne pieniądze, ale w pierwszych dniach ludzie robią dziwne rzeczy.

Matka milczała, wpatrzona w ogród za oknem, gdzie drzewa lekko kołysały się na wietrze.

– Znajdę numer prawnika. – Wstałam. – Pewnie nie ma go w domu, bo jest sobota, ale zostawimy mu wiadomość, więc się z tobą jak najszybciej skontaktuje...

– Remy.

Umilkłam, gdy zdałam sobie sprawę, że matka na mnie patrzy.

– Tak?

– Skarbie, wszystko w porządku – powiedziała cicho.

– Mamo, wiem, że jesteś wytrącona z równowagi, ale to

ważne, żebyśmy...

Chwyliła mnie za rękę i posadziła z powrotem na krześle.

– Myślę... – zaczęła i nagle urwała, jednak po chwili dokończyła: – Chyba już pora, żebyś sama z tym sobie poradziła.

– Och – mruknęłam. Dziwne, ale poczułam się lekko urażona. – Po prostu sądziłam...

Mama uśmiechnęła się bez przekonania i poklepała mnie po ręce.

– Wiem – westchnęła. – Ale chyba zrobiłaś już swoje, prawda?

Siedziałam nieruchomo. Przecież tego właśnie pragnęłam: oficjalnego zwolnienia z obowiązków, jednak nie było tak, jak się spodziewałam. Zamiast triumfu czułam osamotnienie, jakby wszystko nagle zniknęło i zostało jedynie bicie mojego serca. To mnie przerażało.

Matka chyba zauważyła moją minę.

– Remy, wszystko będzie dobrze – powiedziała cicho. – Dla odmiany powinnaś teraz pomyśleć o sobie. Ja dam sobie radę.

– Ale dlaczego teraz? – zapytałam.

– Bo tak czuję – odparła. – A ty nie? Po prostu jest okej.

Czy też to czułam? Wszystko nagle wydało mi się bardzo skomplikowane, jednak coś zrozumiałam. Matkę i mnie miały od teraz dzielić nie tylko poglądy, ale i wielokilometrowy dystans, niemożliwy do pokonania spojrzeniem czy dotykiem. Może i odebrała mi część dzieciństwa, ale nadal mogła ofiarować coś w zamian. To byłoby sprawiedliwe rozwiązanie: lata za lata. Te minione za te przyszłe.

Teraz jednak pochylałam się ku niej tak, że stykałyśmy się kolanami, ramionami i czołami. Zamiast się odsunąć, zbliżyłam się ku niej. Wiedziałam, że zawsze tak będzie, niezależnie od tego, jak bardzo świat nas rozdzieli. Pozostanie między nami silne poczucie wspólnych doświadczeń, dobrych i złych, które doprowadziły mnie do początku mojej własnej opowieści.

## **Rozdział szesnasty**

W ciągu godziny poprzedzającej przyjazd Chrisa i Jennifer Anne pozbierałam wszystkie puszki z ogródka i rozmaitych miejsc w domu, a następnie wyrzuciłam je do kubła na surowce wtórne.

Matka brała prysznic. Uparła się, że kolacja mimo wszystko się odbędzie. Choć robiłam, co mogłam, żeby przyzwycząić się do nowej sytuacji, pewne nawyki trudno

wypłenić. Tak sobie przynajmniej powtarzałam, zdejmując wielką gołą babę z kuchennej ściany i wsuwając ją za lodówkę.

Po rozmowie matka wtajemniczyła mnie w brutalne szczegóły historii. Romans z Patty najwyraźniej trwał już jakiś czas, a zaczął się, jeszcze zanim matka poznała Dona. Patty miała męża, a jej relacje z Donem sprowadzały się do ciągłych kłótni i przeprosin, ultimatów, rozstań i powrotów, aż w końcu Don oświadczył, że jeśli dla Patty nie jest to na tyle poważne, by zostawiła męża, to on się wypisuje. Najwyraźniej jednak ślub Dona z moją matką był katalizatorem separacji Patty. Choć próbowali trzymać się z dala od siebie, nie mogli „przezwyciężyć uczucia”, jak to ujął Don. Moja matka skrzywiła się, powtarzając te słowa. Jestem pewna, że ja również, gdy je usłyszałam. To Patty wysłała zdjęcie, bo miała dość czekania na Dona. Podobno nawet się nie wypierał, tylko westchnął i poszedł prosto do sypialni, żeby spakować torbę. Moim zdaniem jego zachowanie było niezwykle.

Który sprzedawca samochodów nawet nie próbuje się usprawiedliwić i wymigać od odpowiedzialności?

– Nie mógł – oznajmiła matka, gdy ją o to zapytałam – Kocha ją.

– To palant – orzekłam.

– Rzeczywiście, nie wyszło to najlepiej – zgodziła się.

Zachowywała się spokojnie, ale nie byłam pewna, czy to przypadkiem nie szok. – Właściwie wszystko sprowadza się do nieodpowiedniego czasu.

Zastanawiałam się nad tym, układając steki na półmisku, a potem wyszłam i otworzyłam nowy, skomplikowany grill. Jakiś kwadrans później, po stoczeniu boju z rzekomo łatwym w

obsłudze urządzeniem, postanowiłam oszczędzić brwi i wyciągnęłam zza sterty leżaków stary grill. Wystarczyło trochę węgla drzewnego, nieco łatwopalnego płynu i sprawa była załatwiona.

Grzebiąc w żarze, rozmyślałam o niedokończonych sprawie z Dexterem, która powinna trafić na stertę kiepskich związków. W sumie od początku tego chciałam.

Byłam w kuchni i układałam chipsy i salsę na talerzu, kiedy podjechali Chris i Jennifer Anne. Idąc przez trawnik, trzymali się za ręce, a ona niosła te swoje plastikowe pojemniki. Mogłam sobie wyobrazić, jak Jennifer Anne zareaguje na

nowiny, skoro uznała mój sceptycyzm wobec tego małżeństwa za obrzydliwy. Chris zapewne od razu wyrazi współczucie matce, skrycie ciesząc się z odzyskania całych bochenków chleba.

Weszli do domu rozchichotani, a gdy znaleźli się w kuchni, zauważyłam rumieńce na ich twarzach. Jennifer Anne była odprężona jak nigdy, zupełnie jakby tego dnia zafundowała sobie podwójną dawkę afirmacji. Chris też wydawał się szczęśliwy, przynajmniej dopóki nie zobaczył pustego miejsca na ścianie nad stołem.

– O rany, co się dzieje? – Natychmiast przestał się uśmiechać, ale Jennifer Anne wciąż się szczyrzyła.

– No więc, właściwie... – zaczęłam

– Jesteśmy zaręczeni! – wykrzyknęła Jennifer Anne, pokazując dłonie.

– ...Don odszedł do kochanki – dokończyłam.

Na chwilę zapadła całkowita cisza, gdy obie trawiłyśmy nowiny.

– Co takiego? – wydusiłyśmy z siebie w tym samym momencie.

– O Jezu – jęknął Chris i oparł się ciężko o lodówkę.

– Jesteście zaręczeni? – upewniłam się.

– Po prostu... – Jennifer Anne zasłoniła usta dłonią, na której dopiero teraz zobaczyłam spory diament, tak błyszczący, że odbijał światło od lampki nad zlewem.

– Cudownie! – usłyszałam głos matki. Odwróciłam się. Stała teraz za mną, lekko zapłakana, ale uśmiechnięta. – O mój Boże.

Cudownie!

To wiele mówiło o mojej matce i o jej wierze w miłość, którą nie tylko opisywała, lecz i przeżywała, choć dwie godziny wcześniej jej piąte małżeństwo legło w gruzach w atmosferze banalnej zdrady. Chwyciła Jennifer Anne w ramiona, a ja poczułam dla matki uznanie, o którym mnie byłoby mowy jeszcze trzy miesiące temu. Tam gdzie ja byłam słaba, ona wydawała się silna. Upadła, cierpiała, czuła. Żyła i mimo chaosu nie traciła nadziei. Może następnym razem będzie lepiej, a może nie. Rzecz w tym, że nie sposób tego stwierdzić, nie biorąc udziału w grze.

Jedliśmy z papierowych talerzy przy stole w ogródku. Matka kupiła brazylijskie befsztyki, sałatkę z importowanych karczochów i świeży włoski chleb, dziś



pieczony. Jennifer Anne przyniosła makaron z serem, sałatkę z lodową sałatą i sosem tysiąca wysp, a także galaretkę z bitą śmietaną. Świat mógł się walić, ale rozmowa dotyczyła wyłącznie weselnych planów i przygotowań.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć – poskarżyła się Jennifer Anne. Przez całą kolację ona i Chris trzymali się za ręce, co było trochę beznadziejne, ale w sumie do zniesienia, biorąc pod uwagę ich świeże zaręczyny. – Sale balowe, torty, zaproszenia. To wszystko mnie przytłacza.

– Nie jest tak źle – pocieszyłam ją i nadziałam sałatę na widelec. – Spraw sobie teczkę, notes i poproś kogoś, żeby skorygował twoje szacunkowe wydatki. I nie korzystaj z usług Inverness Inn, bo przepłacisz, a na dodatek nie znajdziesz tam papieru toaletowego w łazienkach.

– Wesela to świetna zabawa! – zaczęła matka, popijając wino. Przez moment na jej twarzy gościł smutek, z którego szybko się otrząsnęła. – Jeśli będziecie potrzebowali pomocy czy pieniędzy, dacie mi znać, prawda? Obiecujcie.

– Obiecujemy – odparł Chris.

Zebrałam talerze, kiedy rozmawiali o datach, lokalizacjach i wszystkim, o czym myślałam mniej więcej w tym samym czasie rok wcześniej, po zaręczynach matki i Dona. Było coś

niestosownego w tym, że jedno małżeństwo kończyło się w dniu, w którym inne kielkowało, zupełnie jakby to była wymiana studencka i należało zachować odpowiednie proporcje

uczestników.

Otworzyłam siatkowe drzwi i obejrzałam się za siebie.

Patrzyłam na ogródek, nad którym zapadał mrok, słyszałam cichsze i głośniejsze głosy moich bliskich. W takich chwilach mój wyjazd wydawał się wyjątkowo rzeczywisty, podobnie jak fakt, że tutejsze życie będzie toczyło się beze mnie. Ogarnęła mnie pustka, ale odepchnęłam to uczucie. Stałam nieruchomo, zapamiętując tę chwilę, żeby móc ją wspominać, gdy będzie mi to najbardziej potrzebne.

Po kolacji i deserze Jennifer Anne oraz Chris zebrali plastikowe pojemniki i wrócili do siebie, uzbrojeni w makulaturę, którą zatrzymałam po zaplanowaniu ślubu matki z Donem:

broszury, cenniki i numery telefonów we wszystkie możliwe miejsca, począwszy od wypożyczalni limuzyn, na najlepszej makijażystce w mieście skończywszy. Jako stuprocentowy cynik nie wątpiłam, że te informacje jeszcze się nam przydadzą, i miałam rację, choć nie do końca tak, jak sądziłam.

Matka pocałowała mnie i poszła spać, nieco zapłakana, ale ogólnie w nie najgorszej kondycji. Wróciłam do pokoju, żeby raz jeszcze sprawdzić pudła i przełożyć kilka rzeczy, a także zapakować ostatnie niezbędne przedmioty. Potem usiadłam na łóżku i niespokojnie słuchałam buczenia klimatyzacji, aż wreszcie nie mogłam już tego znieść.

Gdy podjechałam do Quik Zip, spragniona bardzo dużej coli, ze zdumieniem zobaczyłam samochód Lissy zaparkowany przed budkami telefonicznymi. Zakradłam się za nią do działu ze słodyczami, gdzie zastanawiała się, czy wziąć skittles, czy spree.

Przyglądała się torebkom w dłoniach, a gdy szturchnęłam ją w krzyż, podskoczyła i wrzasnęła, opakowania upadły na podłogę.

Zarumieniona, trzepnęła mnie w rękę.

– Boże, przestraszyłaś mnie.

– Wybacz, nie mogłam się oprzeć – odparłam.

Lissa podniosła cukierki.

– To nie było zabawne – burknęła. – Co tu robisz? Myślałam, że macie ważną rodzinną kolację?

– Owszem, mieliśmy. – Ruszyłam do dystrybutora. Dziwne, że przez takie drobiazgi już zaczynałam tęsknić. Z powagą wyciągnęłam kubek i wrzuciłam do niego kostki lodu. – Nawet ważniejszą, niż możesz sobie wyobrazić. Napijesz się?

– Pewnie – odparła.

Wręczyłam jej kubek i przez chwilę nie rozmawiałyśmy, kiedy nalewałam, przerywając co chwila, żeby pianka opadła.

Czasem przy wciśnięciu guzika wypływała dodatkowa porcja syropu, co było fantastyczne. Wzięłam pokrywkę i rurkę, a Lissa zrobiła to samo z 7UP. Popijając, zauważyłam, że bardzo ładnie wygląda z pomalowanymi paznokciami u stóp i w nowej spódnicy.

Do tego pachniała ładnym kwiatowym zapachem i na bank podkręciła rzęsy.

– Dobra, pora na zwierzenia – oznajmiłam – Co dziś robisz?

Lissa uśmiechnęła się przebiegle i położyła słodycze przy kasie.

– Mam randkę – wyznała lekko.

– Niemożliwe – powiedziałam.

– Trzy siedemdziesiąt osiem – oświadczył kasjer.

– Za nią też zapłacę. – Lissa wskazała głową moją colę.

– Dzięki – mruknęłam ze zdumieniem.

– Nie ma sprawy. – Wręczyła kasjerowi parę złożonych banknotów. – Wiesz, że ostatnio P.J. i ja trochę krążyliśmy wokół siebie.

– Tak – odparłam, gdy zabrała resztę i ruszyliśmy do drzwi.

– Lato się kończy. Dzisiaj, gdy reklamowaliśmy KaBoom na jarmarku rzeniosła, uznałam, że dość już tego. Zmęczyło mnie czekanie i zastanawianie się, czy P.J. wreszcie zrobi pierwszy krok.

Zaprosiłam go na randkę.

– Lissa, jestem pod wrażeniem.

– Nie było aż tak trudno. Nawet... całkiem miło. – Wypiła łyk 7UP. – Czułam się silna. Podobało mi się.

– P.J. powinien uważać – powiedziałam, gdy usiadłyśmy na masce jej samochodu.

– Mamy tu nową dziewczynę.

– Za to wypiję – odparła i stuknęłyśmy się kubkami.

Przez chwilę tylko tak siedziałyśmy, obserwując przejeżdżające auta. To był kolejny sobotni wieczór w Quik Zipie, jeden z wielu, odkąd się zaprzyjaźniłyśmy.

– No więc... mama i Don się rozstali – oświadczyłam w końcu.

Lissa wyszarpnęła słomkę z ust i spojrzała na mnie.

– Nie.

– Tak.

– Niemożliwe. Co się stało?

Opowiedziałam jej wszystkie szczegóły od chwili, kiedy zobaczyłam zdjęcie w laboratorium Flash Camera. Co jakiś czas urywałam, żeby mogła pokręcić głową, zadać pytanie i dobitnie powiedzieć, co myśli o Donie, tak jak ja wcześniej, co zresztą nie przeszkadzało mi jej wtórować.

– O rany – powiedziała, gdy skończyłam – Beznadzieja.

Biedna ta twoja mama.

– Wiem, ale myślę, że nic jej nie będzie. Aha, Chris i Jennifer Anne się zaręczyli.

– Co? – spytała zaszokowana. – Nie wierzę, że stałaś tak spokojnie, piłaś colę i gadałaś o bzdurach, kiedy miałaś takie rewelacje! Remy, Boże!

– Wybacz – odparłam – Miałam ciężki dzień.

Westchnęła głośno, z irytacją.

- Co za lato – zauważyła. – Trudno uwierzyć, że parę miesięcy temu twoja mama i Don się pobierali, a Adamnie rzucił.
- To był beznadziejny sezon dla związków. Do tego stopnia, że można się na dobre zniechęcić do miłości.
- E tam – odparła lekko, nawet się nad tymnie zastanawiając. – Tego się nie da zrobić.
- Upiłamłyk i odgarnęłam włosy z twarzy.
- Bo ja wiem? – mruknęłam – Ja dałam radę. To znaczy, nie wierzę w to, że związek może wypalić, a historia z Donem tylko to potwierdza.
- Co potwierdza?
- Że związki są beznadziejne i że słusznie zrobiłam, zrywając z Dexterem, bo nigdy by nam się nie udało, nawet za milion lat. Lissa zastanawiała się nad tym przez chwilę.
- Wiesz co? – mruknęła. – Szczerze mówiąc, pieprzysz. Omal nie zakrztusiłam się colą.
- Co? – wyjąkałam
- Słyszałaś. – Przejechała dłonią po gęstych lokach i założyła jeden z nich za ucho. – Remy, odkąd cię znam, zawsze sądziłaś, że wszystko rozgryzłaś. Nagle zdarzyło się coś, przez co zaczęłaś się zastanawiać, czy faktycznie tak jest. I moim zdaniem zawsze wierzyłaś w miłość, w głębi duszy.
- Wcale nie – oznajmiłam stanowczo. – Niejedno przeżyłam, Lisso. Widziałam...
- Wiem – przerwała mi, podnosząc rękę. – Jestem mniej doświadczona od ciebie. Ale gdybyś naprawdę nie wierzyła w miłość, to po co przez cały czas byś jej szukała? Tylu chłopaków, tyle związków. Po co?
- Dla seksu – odparłam
- Nieprawda. – Pokręciła głową. – Chodzi o to, że jakaś część ciebie chciała znaleźć miłość. Pragnęłaś udowodnić samej sobie, że nie masz racji. Wierzyłaś w to, przecież wiesz.
- Wcale nie. Straciłam tę wiarę dawno temu.
- Popatrzyła na mnie, a na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.
- A może wcale nie – powiedziała cicho. – Może jej nie straciłaś.
- Lissa...
- Nie, nie. Posłuchaj. – Zerknęła na ulicę, a potem znów na mnie. – Może po prostu ją zawieruszyłaś. Ona w tobie jest, tylko szukałaś w niewłaściwym miejscu.

Bo utrata jest na zawsze, a zawieruszenie... to znaczy, że gdzieś jest, tylko nie tam, gdzie sądziłaś.

Gdy to mówiła, oczami duszy ujrzałam twarze wszystkich chłopaków, z którymi byłam, dosłownie albo w przenośni.

Przesuwały się jedna po drugiej i zlewały jak strony w jednej z moich starych książeczek o Barbie i były nieodróżnialne. Pewne cechy je łączyły, ale nic ponadto. Ci facyci mieli ładne rysy, zadbane ciała. Musieli spełniać określone kryteria. Właściwie zawsze tak podchodziłam do chłopców – metodycznie, upewniając się, że są do zaakceptowania. Dopiero potem robiłam pierwszy krok.

Oczywiście, poza jednym wyjątkiem.

Usłyszałam trąbienie, a gdy podniosłam wzrok, ujrzałam parkującą obok Jess. Na fotelu pasażera siedziała Chloe.

– Hej. – Jess wysiadła i zatrasnęła drzwi. – Nikt nie mówił o spotkaniu. Co jest grane?

Lissa i ja tylko się na nie gapiliśmy.

– Co się dzieje dziś wieczorem? – nie wytrzymała Lissa. –

Wszyscy powariowali? Dlaczego jesteście razem?

– Nie emocjonuj się tak – poradziła jej Chloe. – Złapałam gumę pod centrum handlowym, a żadna z was nie odbierała, kiedy dzwoniłam.

– Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy się okazało, że jestem jej ostatnią nadzieją – dodała Jess oschle.

Chloe wykrzywiła się do niej, ale nie złośliwie, raczej z lekką irytacją.

– Przecież podziękowałam – mruknęła. – I kupię ci colę, tak jak obiecałam.

– Miałas mi ją kupować do końca życia – przypomniała jej Jess. – Ale teraz wystarczy mi jedna. Największa, dietetyczna, z lodem.

Chloe przewróciła oczami i weszła do sklepu, a Lissa ześliznęła się z maski.

– Pora na dolewkę – oznajmiła. – Chcesz?

Wręczyłam jej kubek, a ona weszła za Chloe. Jess usiadła obok mnie i uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że jest mi winna przysługę – powiedziała, patrząc, jak Chloe nalewa napoje.

Lissa coś gadała, a gdy zobaczyłam, że Chloe w szoku

otwiera usta, stało się jasne, że wysłuchuje pełnej wersji historii o mojej matce i Donie. Wobec tego powiedziałyśmy o tym Jess. Jej reakcja była identyczna. Kiedy

Chloe i Lissa wróciły, wszystkie wiedziały mniej więcej tyle samo.

– Palant – oświadczyła Chloe dobitnie, a następnie wypła łyk napoju, skrzywiła się i zakaszła. – P fuj. To zwykła cola.

– Bogu dzięki. – Równie niezadowolona Jess wymieniła się z nią kubkami. – Bo to, co mam w ustach, smakuje do dupy.

– Niech się upewnię. – Chloe spojrzała na mnie. – Patty wysłała zdjęcie twojej mamy?

– Tak – potwierdziłam.

– I robiła odbitki we Flash Camera.

– Zgadza się.

Chloe zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Jak rozumiem, Dexter wiedział, że to ona i co to oznacza, więc pokazał ci to zdjęcie, bo postanowił dać ci nauczkę za to, że go rzuciłaś.

– Tak jest.

Nagle zapadła cisza. Słyszałam tylko grzechotanie kostek lodu i skrobanie słówek o papierowe kubki.

– Nie ogarniam tej logiki – oświadczyła w końcu Jess.

– Ja też nie, jak się nad tym zastanowić – dodała Lissa.

– Bo nie ma w tym logiki – odparłam – Zachował się jak gówniarz. Wiedział, że tylko tak może mi dopiec, więc to zrobił, i to akurat wtedy, gdy zależało mi na pogodzeniu się z nimi straciłam czujność.

Znowu zapadła cisza.

– Co? – warknęłam z irytacją.

– Moim zdaniem mógł nawet nie wiedzieć, że ją znasz – zaczęła z wahaniem Chloe.

– Mylisz się. Poznał ją na przyjęciu matki, a resztą była też na Toyotafaire.

– Ale nie goła – zauważyła Lissa.

– A co to ma do rzeczy? – burknęłam ze złością. – Goła czy nie, twarz jest ta sama.

– Tak, tylko skąd miał wiedzieć, że to Don zrobił to zdjęcie?

– zapytała Chloe. – I że to jest sypialnia twojej mamy? Nawet ja tam nie byłam.

Tym razem zamilkłam. Nagle wszystko w mojej głowie

zaczęło się łączyć w całość. Zszokowana, założyłam wcześniej, że Dexter widział sypialnię mojej matki, a zwłaszcza ten paskudny gobelin. Tyle że dla niego było to tylko zdjęcie kobiety, która pracowała dla mojego ojczyma i lubiła robić sobie pieprzne fotki w sypialni, nie wiadomo czyjej.

– Jestem za tym, żebyś wkurzała się na Dextera, tyle że powinnaś mieć powody. – Chloe zastukała paznokciami w maskę.

– Remy Starr, spójrz prawdzie w oczy. To ty się mylisz.

Miała rację. Byłam gotowa obwiniać Dextera o wszystko, od rozpadu małżeństwa matki do zdobycia mojego zaufania, co od dawna nikomu się nie udało. Rzecz w tym, że to wcale nie była jego wina.

– O Boże... – powiedziałam cicho. – Co teraz?

– Znajdź go i przeproś – oświadczyła Lissa stanowczo.

– Przyznaj sama przed sobą, że popełniłaś błąd, nie szukaj Dextera i żyj dalej – sprzeciwiła się Chloe.

Spojrzałam na Jess, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – mruknęła. – To twoja sprawa.

Nawrzeszczałam na niego. Cisnęłam w niego zdjęciem, gdy próbował się usprawiedliwiać. Rzuciłam go, bo chciał być kimś więcej niż tylko wakacyjnym chłopakiem na zamówienie,

pachnącym słońcem i chlorem.

Co się zmieniło? Nic. Nawet gdybym go znalazła, było już za późno. Wkrótce mieliśmy się rozjechać w przeciwnych

kierunkach, a każdy wie, że związki na odległość są bez przyszłości. Kto by pomyślał, że jedna sekunda, minuta czy godzina mogą wszystko zmienić? Życie składa się z drobiazków, a słowa tworzą opowieść. Co powiedział Ted? Jedno słowo może zmienić cały świat.

Gdybym porozmawiała chwilę dłużej z Donem w gabinecie,

Dexter pewnie zdążyłby odjechać, zanim bym wyszła. Gdybym razem z matką zaczekała jeszcze godzinę, Dona być może nie byłoby już w salonie w dniu, w którym poszłyśmy kupić nowe auto. A gdyby Jennifer Anne nie umówiła się na wymianę oleju akurat tamtego dnia akurat w tamty tygodniu, może nawet nie zjawiłaby się w warsztacie Jiffy Lube i nie zobaczyła Chrisa. Coś jednak sprawiło, że nasze ścieżki się przecięły. Tego nie dałoby się znaleźć na liście rzeczy do odhaczenia, i to nie było też częścią równania. Po prostu tak się stało.

– O rany. – Jess pociągnęła mnie za nogawkę dżinsów. –

Popatrz.

Uniosłam wzrok, jeszcze rozkojarzona. To był Don.

Przyjechał nowiutkim, lśniącym land cruiserem prosto z salonu i zaparkował po drugiej stronie placu przed Quik Zipem. Nie widział nas, gdy wysiadał i wchodził

do środka, przyglądając rzadniejące włosy z tyłu głowy.

W milczeniu przyglądałyśmy się, jak szedł alejką sklepową, biorąc opakowanie aspiryny i torbę czipsów ziemniaczanych.

Nawet gdy płacił, nie spojrzął na nas, tylko na nagłówki gazet przy kasie. Potem wyszedł, odkręcił wieczko fiołki z aspiryną i wsiadł do auta.

– Palant – mruknęła Chloe.

Miała rację. Bardzo skrzywdził moją matkę i niewiele mogłam zrobić, żeby poprawić jej samopoczucie. Poza jednym. Samochód Dona ruszył ku nam, a ja uniosłam kubek z colą i zważyłam go w ręce.

– O tak – wyszeptała Lissa.

– Na trzy – powiedziała Jess.

Nie widział nas, dopóki nie znalazł się tuż obok auta Lissy, a wtedy już zdążyłam się zamachnąć i posłać kubek prosto na przednią szybę samochodu Dona. Siła uderzenia sprawiła, że napój rozprysnął się po całej lśniącej masce. Don gwałtownie zahamował

i lekko skrzywił, a w tym samym momencie dosięgły go kolejne dwa pociski: jeden trafił w tylne drzwi, drugi w przeszklony dach. O

dziwo, najlepszy rzut należał do Lissy. Trafiła idealnie w uchylone okno, a fala lodu i 7UP obryzgała twarz Dona oraz koszulę.

Zwolnił, ale nie przystanął, a kubki odtoczyły się po ziemi, gdy wyjeżdżał na drogę, pozostawiając za sobą mokry szlak.

– Świetny rzut – pochwaliła Jess Lissę. – Idealny łuk.

– Dzięki – odparła Lissa. – Chloe też wspaniale sobie poradziła. Widziałyście ten rozprysk?

– To kwestia pracy nadgarstka. – Chloe wzruszyła ramionami.

Potem tylko siedziałyśmy. Słyszałam buczenie neonu nad

nami i na chwilę skupiłam się wyłącznie na nim. Przypomniałam sobie, jak Dexter nie tak dawno temu stał w tym samym miejscu i machał rękami – przywoływał mnie albo żegnał się ze mną. Może jedno i drugie.

Miał w sobie nieustraszony optymizm, który tak niepokoił

cyników mojego pokroju. Zastanawiałam się, czy wystarczyłoby tej pogody ducha dla nas obojga, choć co oczywiste, nie było mi dane przekonać się o tym. Czas płynął. Mijały ważne minuty i sekundy, z których każda mogła zmienić wszystko.



Odjechałam, a przyjaciółki odprowadziły mnie wzrokiem, siedząc na masce auta Lissy. Gdy wtoczyłam się na drogę, zerknęłam do lusterka i zobaczyłam, jak machają, krzycząc coś do mnie. Prostokąt lusterka tworzył ramę z pożegnalnym obrazkiem, dopóki dziewczyny nie zniknęły mi z oczu, kiedy skręcałam.

### **Rozdział siedemnasty**

Wiedziałam z doświadczenia, że w mieście jest dziewięć przyzwoitych sal bankietowych. W piątej znalazłam Truth Squad. Zobaczyłam białą furgonetkę, kiedy tylko wjechałam na parking przed Hannover Inn. Była zaparkowana z tyłu, przy wejściu dla personelu, obok samochodu dostawczego. Gdy

wysiadłam, dobiegły mnie przyciszone dźwięki gitary basowej, a za długimi oknami ujrzałam tańczących ludzi. Panna młoda pośrodku parkietu wiodła korowód rozbawionych gości weselnych.

W recepcji minęłam kilka dziewczyn w obrzydliwych jasnoniebieskich sukienkach drухen z wielkimi kokardami na tyłkach, oraz człowieka, który transportował na wózku olbrzymią lodową rzeźbę przedstawiającą weselne dzwony. Przy drzwiach wisiał napis „Przyjęcie Meadows-Doyle”. Weszłam do środka i przemknęłam pod ścianą, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Zespół grał na scenie, przebrany w stroje G Flats. Dexter śpiewał jakiś stary utwór Motown, będący ich stałym coverem. W

głębi sceny stał Ted i z cierpiętniczą miną brzdąkał na gitarze, jakby sama obecność na weselu sprawiała mu fizyczną przykrość.

Piosenka zakończyła się wirtuozowskim popisem Johna

Millera, który następnie wstał w oczekiwaniu na gorącą owację, lecz publiczność nagrodziła go tylko skromnymi oklaskami, więc usiadł z westchnieniem.

– Witam wszystkich – powiedział Dexter głosem wodzireja.

– Jeszcze raz gratulujemy Janine i Robertowi Doylem!

Rozległy się wiwaty, a rozpromieniona panna młoda rozsyłała w powietrzu pocałunki.

– Następną piosenkę panna młoda dedykuje panu młodemu – oznajmił Dexter i zerknął na Lucasa, który skinął głową. –

Zachęcam wszystkich do wspólnego śpiewu!

Zespół zagrał pierwsze nuty ze ścieżki dźwiękowej

ostatniego przeboju kinowego. To była sentymentalnie kiczowata ballada i nawet Dexter, który najczęściej robił dobrą minę do złej gry, wydawał się przybity, gdy musiał zaśpiewać o „miłości aż po gwiazd kres i sercu mym co kamieniem jest”. W okolicach refrenu Ted zaczął udawać, że wymiotuje i przerwał dopiero wtedy, gdy musiał zagrać gitarowe solo. Państwo młodzi wydawali się jednak nieświadomi tego wszystkiego i podczas całego tańca patrzyli sobie w oczy, przytuleni do siebie.

Po piosence wszyscy klaskali, panna młoda płakała, a pan młody ku zachwytowi gości ocierał jej oczy chusteczką.

Członkowie zespołu zeszli ze sceny, już się kłócąc, i zniknęli za bocznymi drzwiami. Chwilę potem personel wtoczył tort na wózku, czteropiętrowy i ozdobiony różyczkami.

Ruszyłam za chłopakami, ale coś mnie powstrzymało, więc się cofnęłam i przywarłam do ściany. Przybyłam tu na fali euforii po skapaniu Dona w napojach, ale teraz miałam zrobić coś, co naprawdę było szaleństwem. Odniosłam wrażenie, że jadę samochodem pod prąd albo zwlekam z tankowaniem aż do całkowitego opróżnienia baku. Robiłam coś całkowicie wbrew swojej naturze i wszystkiemu, w co dotąd wierzyłam.

Co sprawiło, że zabrnęłam tak daleko? Seria chłopaków.

Reputacja zimnej, zgorzkniałej suki, a także kokon, którym otoczyłam się tak szczelnie, że nikt nie mógł przeniknąć do środka, nawet jeśli miał najlepsze intencje, a ja chciałam go wpuścić. Żeby do mnie dotrzeć, trzeba było wyruszyć z samobójczą misją i pokonać barykady, bez żadnej gwarancji na powodzenie.

Tamtego wieczoru przed Quik Zip wyznał mi ze złością, że mówił prawdę, od pierwszego dnia. Wtedy nic nie pamiętałam, ale teraz wszystko wróciło.

*Inagle pomyślałem sobie, że coś nas łączy, jakaś naturalna chemia, powiedział wtedy.*

To było tuż po tym, jak się ze mną zderzył i ciągle bolała mnie ręka.

*Czułem, że coś wielkiego przydarzy się nam obojgu.*

Nagle przypomniałam sobie, jak głupio to zabrzmiało.

Przemawiał jak prorok z salonu samochodowego.

*Bo jesteśmy sobie pisani.*

Pisani. Przecież wcale mnie nie znał. Dopiero mnie zobaczył.

*A ty nic wtedy nie poczułaś?*

Wtedy nie. Chyba że może gdzieś, gdzie nawet tego nie

podejrzewałam... A kiedy nie mogłam tego znaleźć później, bo się zawieruszyło, w pewnym momencie samo do mnie przyszło.

– Zaraz pokroją tort! – zawołała kobieta w błyszczącej niebieskiej sukience.

Oderwałam się od ściany i ruszyłam do drzwi z boku. W połowie drogi zgubiłam się w tłumie, który stawał puste kieliszki na stołach i nacierał na parkiet.

Brnęłam między ludźmi, wśród garniturów, smokingów i marszczonych sukienek, w gęstej chmurze perfum, aż w końcu wyłoniłam się po drugiej stronie. Drzwi na parking były otwarte, ale na zewnątrz nie widziałam zespołu. Pozostało tylko kilka skórek po mandarynkach na krawężniku.

Za plecami usłyszałam łomot bębnow i huk talerzy, a po chwili do mikrofonu przemówił drużba, unosząc kieliszek. John Miller siedział przy perkusji i dłubał w zębach, a Lucas ukradkiem nalewał sobie piwa do kubka. Ted stał ponuro przy wzmacniaczu, jakby przegrał zakład. Wypatrywałam Dextera, ale duża kobieta w różowej sukience zasłoniła mi widok. Nagle dotarło do mnie, że jest już za późno.

Wysłałam na świeże powietrze i skrzyżowałam dłonie na piersi. Znowu nie trafiłam w porę. Trudno było nie dopatrywać się w tym przesłania od wszechświata, który w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że jestem na niewłaściwej drodze. Próbowalam, nie udało się. Teraz już po wszystkim.

Tylko, na litość boską, kto zdołałby tak żyć? Ciągłe zgadywanie może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Dryfowałam bez żadnego wytyczonego kursu, a każda fala mogła mnie zatopić. To było szaleństwo, głupota i...

Wtedy go zobaczyłam. Siedział na krawężniku, pod latarnią, z podciągniętymi pod pierś kolanami. Drużba w sali wznosił toast i mówił coś głosem łamiącym się z emocji.

– Za szczęśliwą parę – oznajmił w końcu, a wszyscy to powtórzyli.

*Za szczęśliwą parę.*

Ruszyłam w kierunku Dextera, zaciskając dłonie. Słyszałam wiwaty, gdy państwo młodzi kroili tort. Ostatnich kilka kroków pokonałam niemal biegiem, aż wpadłam na Dextera tak

gwałtownie, że prawie się przewrócił. Teraz wiedziałam, że tak musiało się to zacząć, całym pędem.

Zaskoczyłam go, ale kiedy odzyskał równowagę, tylko na mnie popatrzył. Nie powiedział ani jednego słowa. Oboje wiedzieliśmy, że tym

razem to ja muszę zacząć.

– Hej – odezwałam się.

– Hej.

Czułam zapach jego skóry, patrzyłam na ciemne loki i tani smoking, postrzępiony na rękawach. Dexter też tylko patrzył, nie wycofywał się, ale i nie przysuwał. Nagle zakreśliło mi się w głowie. Wiedziałam, że już nie stoję nad przepaścią i nie spoglądam w otchłań, ale frunę w powietrzu.

– Naprawdę wierzyłeś wtedy, że dane nam jest być razem? – zapytałam.

– Jesteś tutaj, prawda? – powiedział.

Podeszłam i pocałowałam go, czując, że już nie obawiam się upadku w otchłań. Przyciągnęłam Dextera bliżej i położyłam dłoń na jego szyi, żeby odszukać tętno. Serce biło mu szybko, podobnie jak moje. Przycisnęłam palce mocno, jakby łączył nas wspólny puls i przez długą chwilę pozostawałam w bezruchu.

## **Listopad**

### **Rozdział osiemnasty**

*Melanie wiedziała, że ma wybór. Kiedyś uganiałaby się za Lukiem i za bezpieczeństwem, które jej zapewniał. W innej, jeszcze dalszej przeszłości, Brock wydawałby się odpowiedzią na wszystkie pytania, które wciąż budziły ją w nocy, a ona z galopującym sercem zastanawiała się, jak tu trafiła. Wybór wydawał się prosty, a jednak wcale tak nie było. Gdy Melanie wsiała do pociągu, który miał ją zawieźć do Paryża, zajęła miejsce przy oknie i przyłożyła dłoń do szyby. Wiejski pejzaż wkrótce miał zniknąć, zastąpiony przez piękne miasto, gdzie spędziła znaczną część życia. Przez całą podróż mogła się zastanawiać, co dalej. Gdy pociąg ruszył, nabierając prędkości, usiadła wygodnie, skupiona wyłącznie na drodze ku własnemu przeznaczeniu.*

– Remy?

Podniosłam wzrok na moją współlokatorkę Angelę, która stała w otwartych drzwiach pokoju.

– Tak?

– Poczta. – Podeszła i usiadła obok mnie, a potem podzieliła koperty na dwa stosiki. – Szkolne pierdoły. Reklama karty kredytowej. Coś od Świadców Jehowy... to na pewno twoje...

– Nareszcie – mruknęłam – Od zawsze na to czekałam.

Angela pochodziła z Los Angeles, pracowała na pół etatu jako instruktorka aerobiku i nigdy nie słała łóżka. Nie była idealną współlokatorką, ale jakoś się

dogadywałyśmy.

– A ta wielka jest do ciebie. – Wręczyła mi dużą beżową kopertę, którą wysunęła spod swojego podręcznika do rachunków.

– Jak tamksiążka?

– Niezła. – Zaznaczyłam stronę i zamknęłam lekturę.

To była tylko oprawiona wersja korektorska najnowszej powieści Barbary Starr *Wybór*, ale już trzy dziewczyny z piętra prosiły mnie o pożyczanie, kiedy skończę. Pomyślałam, że zaskoczy je zakończenie, tak jak zaskoczyło redaktorkę i wydawcę. Sama byłam nieco zaszokowana, czytając pierwszą wersję tekstu w samolocie, w drodze na uczelnię. Czytelniczki romansów oczekują, że bohaterka w końcu będzie z mężczyzną – z jakimkolwiek mężczyzną. Melanie jednak postanowiła nie

dokonywać żadnego wyboru. Zabrała ze sobą paryskie wspomnienia i wyruszyła na drugi koniec świata, żeby zacząć od nowa, bez żadnych dawnych miłości, które byłyby kulą u nogi.

Przyszło mi do głowy, że to nie najgorsze zakończenie. W końcu nie tak dawno temu planowałam takie rozwiązanie dla siebie.

Angela wyszła do biblioteki, a ja otworzyłam beżową kopertę i wysypałam jej zawartość na kolana. Najpierw ujrzałam plik zdjęć ściągniętych recepturką. Na górze znajdowała się moja fotografia, z oczami zmrużonymi przed słońcem. Coś jednak było nie tak, zdjęcie wydawało się pozbawione równowagi. Jakby tego było mało, na górze widniała rozmazana smuga, a z lewej pojawiło się dziwaczne odbicie. Uświadomiłam sobie, że wszystkie fotografie są nieco nieudane. Większość przedstawiała Dextera, kilka mnie, a parę innych Johna Millera. Na nielicznych widniała martwa natura, typu opona czy mandarynka, również z defektami. W końcu uświadomiłam sobie, co to takiego, gdy przypominały mi się zdeformowane aparaty, którymi Dexter i jego kumple bawili się latem. A zatem zdjęcia wyszły, jak to przewidział Dexter. Choć nie były doskonałe, tak jak podejrzewałam, nie wydawały się też złe.

Kolejną rzeczą w kopercie była płyta kompaktowa owinięta tekturą i zaklejona taśmą. Na naklejce widniał duży napis Rubber Records, a pod spodem mniejszymi literami, Truth Squad. Dobrze znałam pierwszy kawałek: nosił tytuł *Pieśń ziemniaka, część pierwsza*. Drugi utwór znałam jeszcze lepiej.

Sięgnęłam po odtwarzacz i włożyłam słuchawki.

Przeskoczyłam pierwszy utwór i puściłam drugi, a następnie położyłam się na

łóżku i wzięłam ostatnie zdjęcie ze stosika.

Przedstawiało mnie i Dextera na lotnisku, w dniu mojego wyjazdu na studia. Górna krawędź była nieco rozmyta, a w prawym dolnym rogu pojawiła się jasna plama, lecz poza tym fotografia wyszła niezłe. Staliśmy przed oknem, opierałam głowę na ramieniu Dextera i oboje się uśmiechaliśmy. Tamtego dnia byłam smutna, ale nie zrezygnowana. Podobnie jak Melanie, wyruszałam, by odkryć nowy świat, zabierałam jednak fragment mojej przeszłości i przyszłości.

Pierwsze słowa zabrzmiały na tle nowej, nieco jazzowej muzyki w stylu retro. Odwróciłam zdjęcie i zobaczyłam, że coś tam jest nabazgrane i rozsmarowane (oczywiście): *Waszyngton, Baltimore, Filadelfia, Austin... i Ty. Wkrótce przyjadę.*

Podkręciłam dźwięk i wsłuchałam się w głos Dextera, dźwięczny i aksamitny. I chociaż słyszałam to tyle razy, znowu zaparło mi dech w piersiach, gdy zaczął.

*Moja kołysanka to ledwie kilka słów*

*I parę prostych akordów*

*Tu, w gościnnym pokoju jest cicho,*

*Ale ty ją słyszysz dobrze*

*Dokądkolwiek pójdiesz.*

*Nawet jeśli sprawię ci zawód*

*Moja kołysanka będzie ci towarzyszyć...*

Wiedziałam, że nie ma żadnych gwarancji ani możliwości przewidzenia tego, co czeka mnie, jego czy kogokolwiek. Pewne rzeczy nie trwają wiecznie, jednak inne tak: dobra piosenka, dobra książka czy dobre wspomnienie. Można je zabrać ze sobą i wykorzystać w najgorszych chwilach. Dexter był teraz oddalony ode mnie o niemal cały kraj, ale czułam, że znajdzie się przy mnie, w taki czy inny sposób. A jeśli nie, udowodniłam już, że potrafię wyjść mu naprzeciw i spotkać się z nim w pół drogi.

W tej chwili jednak leżałam na łóżku i słuchałam mojej piosenki. Tej napisanej dla mnie przez mężczyznę, który wcale mnie nie znał, a śpiewanej przez mężczyznę, który znał mnie najlepiej. Może to będzie przebój, tak jak liczyła na to wytwórnia.

Może wywoła powszechną falę wspomnień, które pozwolą

Dexterowi i kapeli spełnić najskrytsze marzenia. A może nikt nie będzie tego słuchał. Nigdy nie wiadomo. Teraz jednak nie chciałam myśleć ani o przyszłości, ani o przeszłości, tylko zatracić się w tych słowach. Leżałam więc z zamkniętymi oczami, a mój umysł wypełnił się jednocześnie tym, co nowe i co znajome. Tym wszystkim,

co uspokoiło mój oddech i ukoło mnie do snu.

- [Sarah Dessen](#)
- [Kołysanka](#)
  - [Czerwiec](#)
    - [Rozdział pierwszy](#)
    - [Rozdział drugi](#)
    - [Rozdział trzeci](#)
    - [Rozdział czwarty](#)
    - [Rozdział piąty](#)
    - [Rozdział szósty](#)
    - [Rozdział siódmy](#)
  - [Lipiec](#)
    - [Rozdział ósmy](#)
    - [Rozdział dziewiąty](#)
    - [Rozdział dziesiąty](#)
    - [Rozdział jedenasty](#)
  - [Sierpień](#)
    - [Rozdział dwunasty](#)
    - [Rozdział trzynasty](#)
    - [Rozdział czternasty](#)
    - [Rozdział piętnasty](#)
    - [Rozdział szesnasty](#)
    - [Rozdział siedemnasty](#)
  - [Listopad](#)
    - [Rozdział osiemnasty](#)